

W SZECH ŚWIAT KOBIEŃ

Bonda, Chmielewska, Dębska, Duczmał, Machińska, Piotrowska-Oliwa

nr 1 (28), 2019

KWARTALNIK

Teraz Polska

KREATYWNA POLSKA / NOWOCZESNY BIZNES / ZRÓWNOWAŻONY ROZWÓJ / EDUKACJA

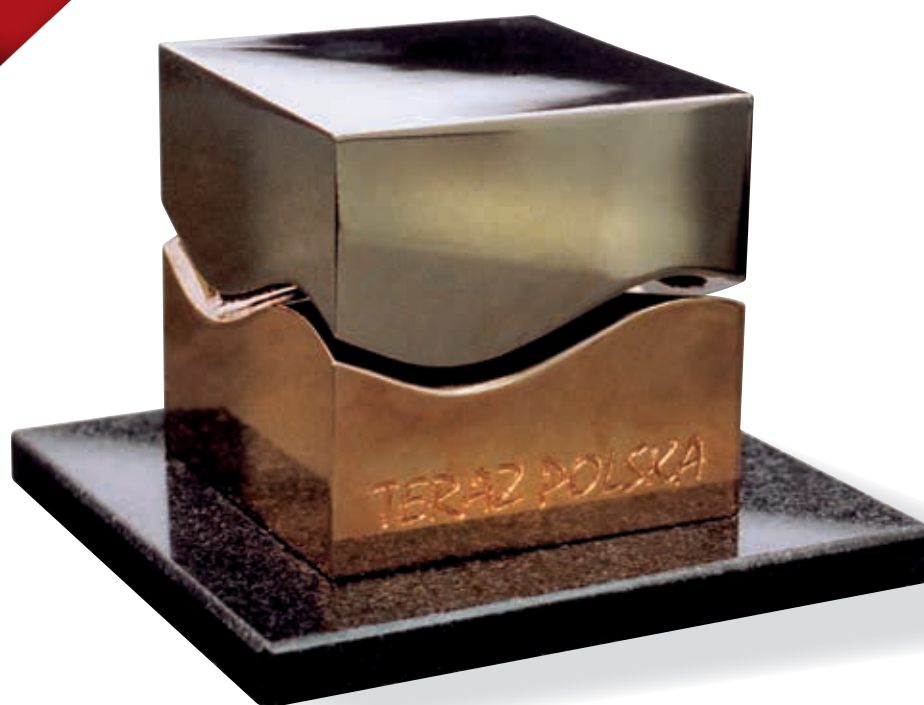


ISSN 2299-1395





www.terazpolska.pl



PROMUJEMY POLSKIE MARKI

TERAZ POLSKA

XXIX EDYCJA KONKURSU



Wartości nowym paradygmatem

Stało się już doroczną tradycją, że marcowe wydanie naszego czasopisma oddajemy kobietom. Chcemy przybliżyć, w jaki sposób interpretują dzisiejszy świat i pojmują własną rolę. Pragniemy również wysłuchać wpływowych liderek opinii, bowiem ich poglądy będą miały coraz większy wpływ na całe społeczeństwo.

Żyjemy w czasach wielkiej niepewności. Świat pędzi i znalazł się tuż przed jakimś wielkim zakretem... Właściwie można by rzec: przed serpentyną. Nie czeka nas jedna rewolucja, tylko prawdziwe ich zatrzęsienie. Wystarczy wymienić tutaj kilka gorących dziś haseł: sztuczna inteligencja, zmiany związane z automatyzacją pracy, pogłębiający się deficyt zaufania społecznego, radykalizacja w polityce, populizm, wzrost niepewności w relacjach międzynarodowych, zanieczyszczenie środowiska, migracje itd. Jak odpowiedzieć na stojące przed nami wyzwania? Musimy zrobić to, co robili ludzie na przestrzeni dziejów, mianowicie odwołać się do umysłu. Od wieków kultura była jednym z najważniejszych źródeł odpowiedzi na pytania nurtujące człowieka. I my do niej sięgamy. W numerze rozmowy z twórczyniami, które zaglądają w zakamarki ludzkiej duszy, by wyjawić nam to, czego sami o sobie nie wiemy, a co często wiedzieć powinniśmy. Skoro wyzwaniem przyszłości jest relacja między człowiekiem a technologią, to być może przy okazji

należy znów zwrócić uwagę na drugiego człowieka. Skoro kolejne odsłony różnych technologii zyskują numer porządkowy (2.0, 3.0, 4.0), może powinniśmy również pomyśleć nad ulepszoną wersją humanizmu. Najlepiej się go uczyć od tych, którzy pomagają innym. W tym kontekście polecam rozmowę z siostrą Małgorzatą Chmielewską.

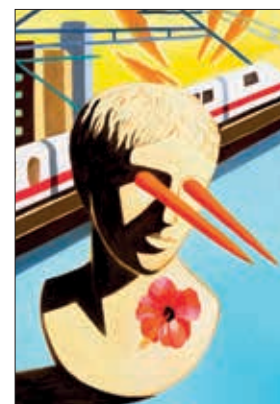
Marzec to czas powitania wiosny – wzrasta poziom optymizmu, witalność, poczucie sprawczości. Nieprzypadkowo właśnie w owym okresie, już od niemal 30 lat, Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego pracuje na najwyższych obrotach. Eksperti weryfikują i oceniają zgłoszenia firm nadesłane do Konkursu „Teraz Polska”, zaś cały nasz zespół przygotowuje wystawę nominowanych oraz jedno z najważniejszych świąt polskiego biznesu – Galę „Teraz Polska”. Na szczęście energii nam nie brakuje. Trochę w tym zasługi pogody, słońca, przyrody budzącej się do życia. Jednak przede wszystkim napędza nas przeświadczenie – potwierdzone opiniami płynącymi od przedstawicieli rynku – że Godło „Teraz Polska” wciąż jest potrzebne firmom. Ba, są i tacy, którzy uważają, że jest dziś potrzebne bardziej niż kiedykolwiek. Dlaczego? Bo Godło łączy świat materialny ze światem wartości, a taka synergia wydaje się dziś urastać do rangi kluczowego paradygmatu.

Zapraszam do lektury.

Krzysztof Przybył

*Redaktor naczelny
Prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego
„Teraz Polska”*

6	Kobiety tworzą
12	Najwyższą stawką jest życie. O zbrodni, która wynika z lęku, i tajnikach pracy powieściopisarza z Katarzyną Bondą rozmawia <i>Kamil Broszko</i> .
18	Moim szefem jest film. O wpływie dzieciństwa na tworzoną sztukę i relacjach między reżyserem i postacią z Kingą Dębską rozmawiają <i>Marzena Tataj</i> i <i>Kamil Broszko</i> .
23	Maestra. O radościach dyrygenta i karierze kobiety w świecie zdominowanym przez mężczyzn z Agnieszka Duczmal rozmawia <i>Kamil Broszko</i> .
27	Powinniśmy kierować się wrażliwością. O tajnikach sztuki współczesnej i misji edukacyjnej z Olga Wysocką rozmawiają <i>Marzena Tataj</i> i <i>Kamil Broszko</i> .
	Sztuka to mój język komunikacji ze światem. O duchach dawnych twórców i urzekającej abstrakcji z Kingą Nowak rozmawia <i>Kamil Broszko</i> .
32	Kobiety działają
37	Staje przede mną człowiek i trzeba mu pomóc. O dehumanizacji relacji społecznych i nadziei, którą dają oddolne inicjatywy, z siostrą Małgorzatą Chmielewską rozmawia <i>Kamil Broszko</i> .
43	Aby zachęcić do pomagania, trzeba wskazać cel. O doraźnym i trwałym zmienianiu świata oraz ludzi, którzy nie mają wiele, ale potrafią dzielić się wszystkim, z Ewą Piekarską rozmawia <i>Kamil Broszko</i> .
	Dziś ludzie są gotowi oddać część swojej wolności. O konieczności ochrony kobiet i torturach w XXI w. z Hanną Machińską rozmawia <i>Kamil Broszko</i> .
48	Kobiety zarządzają
52	Ze środków publicznych nie zbudujemy wielkich biznesów. O potencjale polskich start-upów i wizerunku technologicznym kraju z Bogusławą Skowrońską rozmawia <i>Kamil Broszko</i> .
57	Opowieści zarządzających. <i>Kamil Broszko</i>
58	Nie uda się osiągnąć różnorodności bez wzorów do naśladowania. <i>Marzena Tataj</i>
	Przedsiębiorcze Polki podbijają kolejne branże w biznesie. <i>Sukces Pisany Szminką</i>
61	Idee
	Biznes, kultura, społeczeństwo. Debata
67	Regiony
70	Wielkie śpiewanie w Warszawie. <i>Witold Rudziński</i>
75	Szczepiek, Bralczyk, Przybył, Person o kobietach i sporcie.
	Nagrania gigantów. <i>Karol Skarżewski</i>
78	Felieton
79	Czas decyzji. <i>Adam Szejnfeld</i>
80	Polska kultura i Polonia w USA. <i>Anna Stasiak-Apelska</i>
	Dlaczego dzisiaj zmiany w biznesie są trudniejsze? <i>Grażyna Piotrowska-Oliwa</i>
81	Wydarzenia



MAGAZYN
FUNDACJI
POLSKIEGO GODŁA
PROMOCYJNEGO
www.terazpolska.pl

Magazyn TERAZ POLSKA

Redaktor naczelny:
Krzysztof Przybył
Redaktor prowadzący:
Marzena Tataj
Redakcja:
Kamil Broszko,
Justyna Kwaśniok
Okładka:
Kinga Nowak,
„Trip”, 60 × 40 cm,
olej na płótnie, 2013 r.,
dzięki uprzejmości artystki

Adres redakcji:
ul. Górskiego 1,
00-033 Warszawa
tel. 22 201 26 90
e-mail:
m.tataj@terazpolska.pl
www.terazpolska.pl

Wydawca:
Fundacja Best Place
– Europejski Instytut
Marketingu Miejsc
na zlecenie
Fundacji Polskiego
Godła Promocyjnego
„Teraz Polska”
www.bestplaceinstitute.org

**Projekt graficzny
i skład:**
Tamburyn, www.tamburyn.eu

Korekta:
Justyna Kwaśniok

Druk:
Miller Druk Sp. z o.o.
www.m-druk.pl

Promotor Polski



Promotor Polskiej Gospodarki



Uroczyste wręczenie
wyróżnień w Toruniu,
Katowicach i Białymstoku.

Promotor Polski i Promotor Polskiej Gospodarki

Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego organizuje coroczny Konkurs „Teraz Polska”, którego celem jest wyłonienie najlepszych produktów i usług. „Teraz Polska” promuje ludzi i firmy, których osiągnięcia współtworzą pozytywny wizerunek naszego kraju. Wyróżnienia **Promotor Polski** i **Promotor Polskiej Gospodarki**, przyznawane od 2017 r. w poszczególnych regionach Polski, mają w sposób szczególny nagradzać i promować osiągnięcia lokalnie sukcesy Polaków i rodzimej przedsiębiorczości.

Wręczenia wyróżnień odbywają się podczas regionalnych kongresów i wydarzeń biznesowych. Silną gospodarkę narodową cechuje obecność rozpoznawalnych marek. Wyróżnienie **Promotor Polskiej Gospodarki** otrzymują polskie firmy, które odnoszą sukcesy na rynku polskim i rynkach międzynarodowych, oferują innowacyjne rozwiązania, są ambasadorami regionu oraz przyczyniają się do zwiększania konkurencyjności gospodarki.

Wizerunek Polski budują jednak nie tylko produkty, usługi i innowacje, ale także – a może przede wszystkim – ludzie. Stąd nasze przekonanie, że warto wyróżniać Polaków, którzy poprzez swoją działalność i osiągnięcia na polu naukowym, kulturalnym, sportowym lub biznesowym wzmacniają wizerunek marki narodowej. I za to właśnie nagradzani są wyróżnieniem **Promotor Polski**.

Organizator



Partnerzy



Najwyższą stawką jest życie



O zbrodni, która wynika z lęku, tajnikach pracy powieściopisarza i zmianach społecznych, które są ważne dla przyszłych pokoleń kobiet, z **Katarzyną Bondą** rozmawia Kamil Broszko.

Katarzyna Bonda (ur. 1977 r. w Białymstoku) – najpopularniejsza autorka powieści kryminalnych w Polsce. Z wykształcenia dziennikarka i scenarzystka. Obecnie mieszka w Warszawie. Wszystkie jej powieści zyskały status bestsellerów. Jest autorką trylogii kryminalnej z Hubertem Meyerem: „Sprawa Niny Frank”, „Tylko martwi nie kłamią”, „Florystka”; dokumentów kryminalnych „Polskie morderczynie” i „Zbrodnia niedoskonała” oraz podręcznika „Maszyna do pisania”. Ogromną popularność i prestiżowe nagrody przyniosła jej seria z profilerką Saszą Załuską: „Pochłaniacz”, „Okularnik”, „Lampiony”, „Czerwony Pająk”. „Pochłaniacz” otrzymał nagrodę publiczności na Międzynarodowym Festiwalu Kryminałów 2015, a „Okularnik” – nagrodę Bestsellera Empiku 2015. Prawa do wydań zagranicznych zostały dotąd sprzedane do 13 krajów, zakupiły je największe wydawnictwa na świecie, m.in. Hodder & Stoughton i Penguin Random House.

Kamil Broszko: Media co jakiś czas donoszą o nowych zbrodniach, podając wymyślne motywy, a często szczegóły zwykłego bestialstwa. Czy pani w takich sytuacjach stawia się w roli organów ścigania i przewiduje, jakie będzie rozwiązanie kryminalnej zagadki?

Katarzyna Bonda: Staram się nie śledzić mediów pod kątem wydarzeń kryminalnych na bieżąco. Chyba skończyłabym w domu bez klamek, gdybym mentalnie angażowała się w każdą taką sprawę. Musi minąć naprawdę sporo czasu, aby sprawa wzbudziła moje zainteresowanie. Zwykle jest już po procesie sprawcy, znane są detale i przyczyny niegodziwości. Wierzchnia, sensacyjna warstwa zbrodni komunikowanych przez media zawiera w sobie tylko ten pierwiastek populistyczny, angażujący nasze pierwotne emocje lęku, a one mnie najmniej interesują. Nie warto żyć w poczuciu grozy, a media zawsze informują tylko o negatywnych wydarzeniach, w myśl zasady: im gorsza wiadomość, tym lepsza wiadomość. Dobre wieści nie sprzedają nakładów, mówiąc współczesnym językiem, nie powodują klikalności. Pracowałam w mediach i wiem dobrze, jak się nakręca tę spiralę. Ponieważ nie zgadzam się na takie manipulacje, przestałam wykonywać zawód dziennikarki, choć swego czasu kochałam tę robotę.

Poświęciłam kawał życia na zgłębianie tajników kryminalistyki, wiktymologii, medycyny sądowej i psychologii śledczej. Z tą wiedzą patrzę na doniesienia prasowe nieco inaczej niż laicy. Świat dąży do równowagi, ale nie jest ani gorszy, ani lepszy niż 100 lat temu czy przed narodzeniem Chrystusa. To lęk jest winien zbrodniom, obłudzie, wszelkiej niegodziwości, kłamstwom. Groza nie może towarzyszyć nam w życiu, bo czyni nas niewolnikami. Należy ją pokonywać dobrem. Ale nie chodzi o ślepe posłuszeństwo, karność i nadstawianie policzka, lecz wyjście z tego zakłętą kręgu, pójście własną drogą, bycie uczciwym wobec siebie. Dlatego tak ważne jest, by nie ulegać swoim strachom – zarówno tym wyimaginowanym, jak i rzeczywistym zagrożeniom – lecz zaakceptować je i pozwolić światu doświadczać.

Kamil Broszko: Obserwacja wielu różnych dziedzin życia wskazuje, że raczej wszystko już było. Czy podobna zasada dotyczy świata zbrodni? A gdyby tak było – czy utrudnia to pracę autorom kryminałów?

Katarzyna Bonda: Nie wypowiadam się w sprawie świata zbrodni, bo nie jestem przestępcą ani przedstawicielem organów ścigania – żadna z tych ról społecznych mnie nie interesuje. Pisałam powieści kryminalne, by pokazać dobro, właśnie dlatego musiałam sięgnąć po zło. Nie jestem zafascynowana seryjnymi zabójcami czy zaburzonymi jednostkami, które nie radzą sobie ze swoim życiem, więc oddają agresję innym. Ich istnienie traktuję jako jeden z aspektów życia. Niegodziwość przejawia się nie tylko w zbrodni, doświadczamy jej codziennie. Ludzie kłamią, manipulują, wymuszają, wykorzystują, kradną i bardzo często robią to z uśmiechem na ustach, zapewniając, że działają w dobrej wierze, lub dorabiając

jakieś szczytne idee. Nie godzę się na takie mechanizmy, dlatego piszę książki. Jeśli chodzi o struktury dramaturgiczne, pomysły narracyjne – wszystko już było w Biblii, bajkach, mitach. Pisarze nie tylko nie wymyślają niczego nowego, ale wręcz powinni zdawać sobie sprawę z archetypów, jakimi się posługują. Bo w książkach nie chodzi o nowinkę – to nie technologia, nie fizyka – ale o samą opowieść, o pojedynczego człowieka. Zajmuję się daną historią przez kilka lat. To zawsze musi być doniosła rzecz, nie śmiałabym czytelnikowi zająć cennego czasu, gdybym w nią nie wierzyła. Jedynie nawiązanie do przeszłości jako fundamentu pozwala nam budować wielkie rzeczy, dzieła, wznosić się w rozwoju wyżej i wyżej. Szacunek do tego, skąd się wywodzimy, jest kluczem do prawdziwego rozumienia świata. Jeśli ktoś odcina się od korzeni, sam czyni siebie ubogim i wcześniej czy później przyjdzie mu za to zapłacić. Nie jesteśmy na tym świecie sami. Mówiąc słowami ludzi o wysokiej świadomości: to, co było, jest i pozostaje w nas, jesteśmy częścią wszechświata, a nie odrębnym bytem. Młodość ma swoje prawa, nieprzypadkowo młodzi ludzie buntują się przeciwko starym, ale w moim wieku – a mam już 41 lat – wraca się do źródeł. Idzie się w górę rzeki i konfrontuje własne dokonania z dziedzictwem przodków. Tak samo jest z literaturą. Aby być dobrym pisarzem, trzeba znać książki wielkich nieżyjących: Hemingwaya, Bułhakowa, Tolstoja, Máraia, Manna itd. Długo by wymieniać. Kłasyka to nasze źródło, bez względu na rodzaj literatury, którą się tworzy. Szczególnie gdy się chce być popularnym pisarzem. Większość czytelników zna wielkie dzieła i czuje metafizyczną energię wielkich mistrzów płynącą spomiędzy wierszy mojej książki.

Kamil Broszko: Czy uważa pani, że tworząc skomplikowane intryki kryminalne, przyczynia się w pewnym sensie do romantyzowania zbrodni? Wszak potężna większość – według badań kryminologicznych – popełniana jest w sposób bardzo prymitywny przez ludzi z niższym od przeciętnego ilorazem inteligencji.

Katarzyna Bonda: U mnie zawsze punktem wyjścia jest realna historia i to ona jest osią narracji. Często zawarty jest w niej pierwiastek śmierci. Ale nie chodzi o samą zbrodnię, rodzaj obrażeń itd. Stawką zawsze jest ludzkie życie. Dlaczego akurat ta konkretna historia? Bo jej nie rozumiem, bo pojawiają się pytania dramaturgiczne. Znam mnóstwo historii, ale są takie, które ze mną zostają, które kolekcjonuję – jedne przydają się do epizodów, inne stają się kanwą całych powieści. Niektóre noszę w sobie przez lata i one we mnie rosną, inkubują się. Nabokov zbierał motyle, obserwował je, ja obserwuję ludzi. Wydaje mi się, że nie można być tylko opowiadaczem – choć w gruncie rzeczy pisanie do tego się sprowadza – i nie ma znaczenia, czy autor tworzy książki, reportaże, wywiady, rzeźby, czy robi filmy. Dobra historia, która czerpie z rzeczywistości, oddziałuje na wszystkie zmysły. Wierzę w rzeczywistość – jest najbardziej zaskakująca, najbardziej nieoczekiwana. Mój twórczy świat transformują nie stałe elementy rzeczywistości, jak moje dzieło czy rodzina, lecz obcy

ludzie. Czasem wynika to z przerażenia, nieraz absolutnego lęku, który prawdopodobnie łączy się z lękami ukrytymi gdzieś w moim wnętrzu, kiedy indziej zaś z doświadczenia piękna. Wiele zależy od tego, na jakim etapie życia jestem i na co mam siłę. Napisalam na przykład książkę dokumentalną o morderczyniach, kobietach, które dokonały zbrodni. Pracowałam nad nią długo. Samo pisanie zajęło mi trzy lata, a rozpoczęłam pracę po 10 latach od czasu, gdy na ławie oskarżonych zobaczyłam jedną z tych kobiet. Dziesięć lat inkubacji i kolejne lata na wydanie książki. Dziś nie dałabym rady jej stworzyć. Nie mam w sobie ani takiej ciekawości, ani determinacji, ani otwartej traumy, która stanowiłaby przestrzeń cienia, niezbędną dla zgłębiania tematu. Mnie dziś nudzą rzeczy, które już robiłam, bo wierzę w rozwój. Wierzę w to, że kończy się jeden etap, zamyka się go i trzeba wejść wyżej. A poprzeczka musi być ustawiona na samej górze, bo w przeciwnym razie zaczniemy działać rutynowo. Oczywiście są ludzie, którym wystarczy rutyna, chcą poczucia bezpieczeństwa, stabilizacji. Jednak dla mnie zawsze ważniejsze były ciągle rozwój i podnoszenie poprzeczki. Wystarczy spojrzeć na mój biogram. Skończyłam dwa kierunki studiów – najpierw dziennikarstwo, potem scenariopisarstwo – bo potrzebowałam usankcjonowania mojej wiedzy, uporządkowania jej. Większość twórców nie ma takich potrzeb. Naprawdę im zazdroszczę. Jeżeli ktoś mi mówi, że nie potrzebuje dokumentować wymyślonych scenariuszy, nie musi wychodzić z domu, by tworzyć, i że jedyną inspiracją dla niego jest on sam, to ja po prostu klękam przed taką osobą, bo to jest prawdziwy artysta. Uważam, że artystą się bywa. Bardzo rzadko udaje się wejść na meta-poziom. Ja doświadczam takich stanów sporadycznie, ale myślę, że to dobrze, bo pokora wobec tego, co się robi, jest konieczna, zwłaszcza gdy pojawia się sukces komercyjny. Nie muszę mówić ludziom, jakie książki piszę, bo nawet jeżeli ktoś ich nie czytał – słyszał o nich. I gdybym nie miała w sobie pokory, to chyba pękłabym jak balon z nadmiaru próżności i nic nie mogłabym już napisać. Brak pokory może zniszczyć, lecz moim zabezpieczeniem jest analityczna natura.

Kamil Broszko: Dlaczego tak wielu zwykłych ludzi niemających ciągłych przestępstw chce czytać o zbrodniach?

Katarzyna Bonda: Bo żyjemy w stosunkowo bezpiecznych czasach (choć to się może wkrótce zmienić), zaś niskie emocje są nam potrzebne, by w sposób kompletny przeżywać życie. Chcemy czytać o opresji, ale nie doświadczać jej realnie. To zdrowe. Ludzie, którzy tkwią w patologii lub żyją w warunkach wojny, nie czytają kryminałów. Im potrzebna jest inna energia. Książki są jej nośnikiem, między wierszami zawarty jest duch, którego autor tchnął w swoje postaci, ożywił nim historię. A gdy przeanalizujemy treść bajek, mitów, przypowieści, okaże się, że to są opowieści o zbrodniach. Czytamy o nich cały czas, od dziecka, żeby umieć rozpoznać zło. Czy widzi pan w tym coś nienaturalnego? Świat jest piękny, ale istnieje w nim zło, bo człowiek nie jest doskonały, bo nasze cele bywają sprzeczne, bo zdarzają się konflikty. Trzeba zdawać sobie sprawę, że na świecie są nie tylko różowe jednorożce i tęcza, ale też drapieżcy, hyeny oraz demony.

Kamil Broszko: Czytając kryminał, mamy komfort wynikający z kontaktu z fikcją. Ale pani, prowadząc research, często musi dowiadywać się o zupełnie realnych ludzkich dramatach. Czy to wiąże się z obciążeniem, a jeśli tak, czy ma pani sposób, aby się go pozbyć?

Katarzyna Bonda: Gdy zbieram dane i gromadzę materiał, jestem jak gąbka, która nasiąka. Nasycam się także wiedzą z książek, robię wywiady z ekspertami, odwiedzam różne miejsca. Wtedy moje kompetencje ciekawskiego dziecka się przydają. Kiedy przychodzi czas konstruowania fabuły – procentuje moja analityczna natura. Uwielbiam porządek, zarówno w życiu, jak i w opowieści. Mam tę cechę i zazwyczaj ona mi okrutnie przeszkadza. Nie znoszę na przykład niedokończonych spraw; dotąd układam puzzle, aż wskoczą na swoje miejsce. Lubię też jednak się schować, ukryć w jaskini przed światem. Tę część osobowości dopieszczam, kiedy piszę. Czasem myślę sobie, że jestem typem idealnym do tej pracy, ona zapewnia mi każdy rodzaj doznań. Każdy człowiek powinien zdawać sobie sprawę z własnych walorów, z tego, co daje mu radość, szczęście, i do siebie dopasować robotę. Jeśli mu się to uda, nigdy się nie męczy, nie nudzi, nie doznaje frustracji. Pozostaje tylko wziąć się w garść i dokonywać małych cudów, czyli przekraczać samego siebie. Na każdym etapie mojej pracy zdarzają się sytuacje, które są dla mnie problemem; podczas dokumentacji pokonuję nieśmiałość, w trakcie pisania konspektu organizuję chaos, a przy zapisie – mierzę się z lenistwem. Pewnie dlatego, kiedy skończę książkę, jestem tak szczęśliwa. Rozwijam się nie tylko jako pisarz, ale przede wszystkim jako człowiek. Ubogacam się w tej walce o fabułę.

Zbrodnia bierze się ze słabości, z tego, że człowiek nie radzi sobie z własnym życiem; czasem chodzi o sprawy prozaiczne, choćby finansowe, innym razem o samotność, brak rodziny, korzeni, dobrego wzorca. Jestem przeciwniczką demonizowania zła jako siły. Nigdy nie fascynowali mnie seryjni zabójcy, postaci mitologizowane przez filmy klasy G. W matrycy psychologicznej tych ludzi jest błąd, który się multiplikuje, zaś to, co oni czynią, jest zwykłe przekazaniem agresji, której sami doświadczyli. Każdy, kto dopuszcza się przestępstwa, był kiedyś ofiarą przemocy fizycznej lub psychicznej. By dożyć do tych wniosków, gromadziłam wiedzę latami. Z niej zrodziły się moje dokumenty, one były dla mnie przełomowe. To jednocześnie mój fundament – książki dokumentalne, których geneza związana jest z moją pracą sprawozdawcy sądowego, pozwoliły mi wykorzystać warsztat dziennikarski, ale też opowiedzieć historię inaczej niż w gazecie. Okazało się, że na przykład książka „Polskie morderczynie”, która miała być offowa – tworzyłam ją głównie dla siebie, bo chciałam znaleźć odpowiedzi na nurtujące mnie pytania – jest dziś pozycją kultową i, co dziwniejsze, nie starzeje się, lecz zyskuje z czasem. Dla mnie samej to wielkie zaskoczenie, choć wiem, skąd bierze się jej fenomen. Po pierwsze, była nowatorska – dopiero teraz naukowcy zaczynają w podobny sposób badać zabójczynie. A po drugie, jej bohaterki pokazały twarze, otworzyły się przede mną. Do dziś nie wiem, jak to się mogło udać. Ale pa-

miętał moją obsesję, by książkę skończyć. Było wiele przeszkód: nie miałam samochodu, borykałam się z kłopotami finansowymi, bo już wtedy odeszłam z pracy i ledwie wiązałam koniec z końcem, mierzyłam się z niezliczoną ilością kwestii formalnych, aby do tych więzień się dostać, dodatkowo pracowałam z fotografem, stylistką, ekspertami, odwiedzałam sądy i osobiście czytałam wszystkie akta, a nieraz do jednej sprawy było 20 tomów. Do tego zaszłam w ciążę, ale nawet to mnie nie powstrzymało, by materiał zebrać, a potem książkę napisać. Prawie wszystkie bohaterki uciekały się do manipulacji, licząc na to, że ich historia zacieka mi najbardziej. Kilka z nich miało faktycznie niezwykle życiorysy, a okoliczności dokonanych przez nie zbrodni były szokujące. W sumie rozmawiałam z 21 kobietami, zaś wybrałam 14. Pozostałe historie zbadałam, ale zdecydowałam się zostawić je na później. Trzeba umieć dokonywać selekcji. Dokumentalista w pewnym momencie zbliża się na tyle do swoich bohaterów, że zanika bariera w relacjach i nie ma problemu z wywiadem. Każda z moich rozmówczyń autoryzowała swoją opowieść. Wydawca nie mógł zrozumieć, jak tego dokonałam. A to było proste – patrzyłam na nie jak na ludzi, a nie zabójców. I one wiedziały, że nimi nie gardzę, że pochylałam się nad ich życiem; nikt tego wcześniej nie robił. To doświadczenie było bezcenne dla mnie jako przyszłej twórczyni kryminałów.

Widzę więcej niż inni, bo byłam po obu stronach barykady – rozmawiałam z policjantami, zabójcami i ofiarami. Wszystkie te doświadczenia są obecne w moich kryminałach i dzięki nim odważyłam się napisać powieść. Nie wierzę w „bajeczki” kryminalne, nigdy ich nie czytam. W świecie naszych babć agresją cechowali się głównie mężczyźni, dlatego zbrodnie popełniane przez kobiety zdarzały się niezwykle rzadko. Dziś to się zmieniło, kobiety są coraz silniejsze, wyemancypowane i działają „po męsku”. Jednak ich motywy są emocjonalne, bo taka jest nasza babska struktura psychiczna. Potem chcą być święte, więc kłamią, zacierają ślady, chowają zwłoki, manipulują policjantami. Gdy zaczęłam zajmować się fabułą, musiałam w sobie zabić dziennikarkę, inaczej nie napisałabym książek o Meyerze czy Saszy. Owszem, nawyki reporterkę przydają się podczas zbierania danych. Wiem, gdzie, jak i do kogo dotrzeć, by wyrwać z rzeczywistości konkretne informacje, ale nie to czyni mnie pisarką. Zajmuję się dziwną działalnością, polegającą na wymyślaniu historii i zapisywaniu ich w formie grubych książek. Kierują mną doświadczenie życiowe i nadmiar (lub też brak) emocji, ciekawość świata i pragnienie zgłębiania ludzkiego losu, a rozmaite sploty okoliczności czasem mnie zachwycają, a innym razem przerażają. To mnie popycha do fabuły i choć przeklinam ten wybór zawodu w trakcie samego pisanie, nigdy mi się nie znudzi. Taką mam w każdym razie nadzieję, bo nic innego nie umiem, a bierna egzystencja zupełnie mnie nie interesuje. Po prostu lubię pracę, daje mi ona siłę, jest jak bateria, którą wciąż muszę ładować. Liczę więc, że starczy mi siły i pomysłów, by pisać do śmierci. Oby tylko zdrowie dopisywało, bo jestem już w wieku, kiedy zaczyna się myśleć o tych sprawach i z szacunkiem traktuje wizyty lekarskie.

Rysuję historie grubszą kreską, bo wiem, że tempo jest ważne, zaś najwyższą stawką w moich powieściach jest życie ludzkie. Kiedy ktoś zagraża naszym bliskim, jesteśmy gotowi na wszystko. Odpowiedzialność matki za swoją pociechę, konieczność obrony swojego dziecka przed złem zdaje mi się nawet wyższą stawką niż własne życie. Sasza składa się głównie ze słabości, a by wydobyć jej siłę, wrzucam ją w takie sytuacje, które wyzwolą ją z okowów lęku, niepewności i słabości właśnie. My też – jako ludzie – ciągle mierzymy się ze światem. Na szczęście w większości przypadków nikt nie uprowadza nam dzieci, nie zagrażają nam mafiozi i nie doświadczamy realnych katastrof, ale na poziomie emocjonalnym nawet utrata pracy, odejście partnera lub podwyżka stopy procentowej naszego kredytu może być doświadczeniem krytycznym, które musimy zaakceptować, zintegrować, by znaleźć w sobie siłę i pójść naprzód. Taką właśnie historię opowiadałam za każdym razem, choć fabuła jest odmienna, podobnie jak miejsce akcji czy żywioł patronujący tomowi. Wątek kryminalny jest jedynie metaforą, a może tylko scenografią dla świata, który tworzę w książkach.

Kamil Broszko: W amerykańskich filmach typu thriller popularny jest trop scenariuszowy polegający na tym, że winnym zbrodni jest pisarz. Dlaczego scenarzyści uważają, że taka konstrukcja może być wciągająca i ciekawa dla odbiorców? Czy ze względu na tajemnicze życie pisarzy, a może ich tajemnicze umysły?

Katarzyna Bonda: Każdy scenarzysta w głębi duszy chce być autorem książek, ale często nie decyduje się na to z powodów finansowych. Pisanie dla telewizji czy filmu zapewnia pieniądze, lecz nie daje niezależności. Jest zgoła przeciwnie: scenarzyści piszą na zlecenie, pod kuratelą sztabu producentów, redaktorów, kierowników literackich, bo praca nad filmem to grupowe dzieło. Rola scenarzysty jest naprawdę bardzo nikła w tym procesie, choć najważniejsza. Bez dobrego tekstu nie ma filmu. Na szczęście obecnie bardzo wielu scenarzystów wydaje książki, zwykle są to opowieści, których nie udało im się sprzedać filmowcom. Czy to jest dobre? Pozostawiam to ocenie czytelników. Sama fabuła nie uczyni z opowieści dobrej książki. Talent literacki to nie to samo co dobre pomysły. One nie wystarczą, by poruszyć serce wymakanego czytelnika. Na świecie używa się słowa *writer* (ang. autor, pisarz) – nie ma podziału na piszących książki, scenariusze, sztuki teatralne itd. U nas to bardzo młody zawód. Jeśli chodzi o zabieg dramaturgiczny, o którym pan wspominał, uważam go za wielce słaby. Podobnie jak książki o sfrustrowanych pisarzach, którzy opowiadają o swoich problemach, zamiast pójść na terapię.

Kamil Broszko: Nieraz podkreśla pani w wywiadach, że od zawsze pochłaniała książki, a czy już wtedy kryminały cieszyły się pani szczególną atencją?

Katarzyna Bonda: Mogę podać konkretne tytuły, ponieważ nie wszystkie książki moich ukochanych autorów są równie porusza-

jące. Traktuję z estymą jedynie ich wybrane dzieła – i tak należy podchodzić do świata. Szczególnie ważne są dla mnie książki: „Middlesex” Jeffreya Eugenidesa, tomy opowiadań „Przestępstwa” i „Wina” Ferdinanda von Schiracha, „Żar” Sándora Máraia, „Anna Karenina” Lwa Tołstoja, „Mistrz i Małgorzata” Michaiła Bułhakowa, zaś z kryminałów – „Czarne minuty” Martina Solaresa i „Rzeka tajemnic” Dennisa Lehane’a. Mogłabym wymienić do rana książki, które zostały u mnie na półce. Nie kieruję się gatunkiem. Każdy ma swoje gusta. Dla mnie wysoką artystyczną wartość ma „Middlesex” Eugenidesa. Stworzył sagę rodzinną rozgrywającą się w trzech miejscach na świecie. Z kolei książka Donny Tartt „Tajemna historia” jest odwróceniem historii kryminalnej. Gdyby ta kobieta pisała w Polsce, odsądzono by ją od czci i wiary. Tak samo jak robią to krytycy ze mną, biadoląc, że profanuję gatunek, jakim jest kryminał. Uważają, że powinien być absolutnie ortodoksyjny. Donna Tartt, zabawiając się formą kryminalną, stworzyła genialną opowieść o grupie przyjaciół. Na tysiącu stron zbudowała prawdziwą zagadkę, której rozwiązanie znamy od początku, a jednak powieść trzyma w napięciu. To jest prawdziwa sztuka!

Kamil Broszko: W świecie, który pani tworzy na kartach powieści, kluczową rolę odgrywają motywy postaci. A jaka jest pani motywacja – taka najbardziej pierwotna i najgłębsza – by pisać i osiągać sukces?

Katarzyna Bonda: Lubię swoją pracę. Opowiadanie historii to moja pasja, choć daje mi ona byt, i to bardzo godziwy. Odkąd zaczęłam pisać książki, życie nieustannie stawia przede mną wyzwania. Staram się brać na warsztat tylko takie tematy i historie, które mnie ubogacają, sprawiają, że się rozwijam, i czynią moje życie pełniejszym. Każdy nowy projekt musi być obowiązkowo trudniejszy niż poprzednie. To mi daje kopa, bo nie działam rutynowo, muszę pokonać własne słabości, wchodzić na nowe terytorium, więc konieczne jest nieustanne doszkalanie się i zdobywanie nowych kompetencji. Za każdym razem to inna materia, zarówno jeśli chodzi o research, badania terenowe miejsca akcji, jak i wybór narracji. Wierzę, że prawdziwa siła wynika ze słabości. Moc rodzi się, kiedy pokonujemy własne lęki, mierzymy się z wadami, przekuwając je w indywidualne atrybuty, niwelując mankamenty, czyli kiedy bierzemy się w garść i zaczynamy działać. Brawura, popis i pycha nie mają nic wspólnego z mocą. Ona bowiem objawia się spokojem. Nie trzeba wtedy walczyć, nikomu niczego udowadniać, tłumaczyć się z podjętych decyzji czy motywować działań.

Kamil Broszko: W wielu wywiadach akcentuje pani kwestię swojej samoświadomości, niezależności, prawa do samostanowienia. Czy takie podejście do życia ma źródło w ideach feministycznych, czy może jest przejawem silnego indywidualizmu?

Katarzyna Bonda: Walka w ogóle nie jest domeną kobietą, więc wygląda na to, że bardzo dawno temu, już kiedy wyjeżdża-

łam z mojego rodzinnego miasteczka, wzięłam włóczęgę w dłoni i zaczęłam żyć niejako po męsku. Wtedy jednak nie zdawałam sobie z tego sprawy. To nie był mój wybór, po prostu tak ułożyło mi się życie. Ale potem faktycznie konsekwentnie dążyłam do osiągania założonych celów. Nie mam oporów, by być aktywną – w życiu prywatnym, służbowym czy intymnym. Ale doskonale się podporządkowuję, jeśli czuję, że mogę powierzyć moje życie jakiejś solidnej osobie. Kiedy rozmawiałam z joginami, tantrykami i ludźmi o bogatej duchowości i skarżyłam się, że brakuje mi tego pierwiastka kobiecości, że nieustannie działam po męsku, usłyszałam rzecz, która mnie zaskoczyła: aktywność jest siłą kobiecości. A więc tylko w naszej kulturze gloryfikowana jest bierność, naturalna dla kobiety jest moc działania, lecz bynajmniej nie walka. Kiedy trzeba negocjować i stawiać twarde warunki, kiedy trzeba zdobyć informacje, nie dać się oszukać, wtedy nie siadam i nie płaczę – nie mam w zwyczaju użalać się nad sobą i nie chowam urazy. Rozumiem, że biznes to biznes i czasem cele są sprzeczne. Wtedy odcinam emocje i działam po męsku. Mam taki pstryczek, którym włączam moją kobiecość (słabość, delikatność, wrażliwość itd.), kiedy tego chcę, potrzebuję. Ale kiedy przychodzi bitwa – a w mojej pracy sam proces pisania jest rodzajem potyczki ze sobą – nie ma czasu na emocje, trzeba działać. Czy to męskie, czy kobiece, nie ma z mojej perspektywy znaczenia. Denerwuję mnie te genderowe podziały. Należy po prostu żyć w zgodzie z własnym sumieniem i potrzebami, być uczciwym, starać się racjonalnie ocenić sytuację i użyte środki dostosowywać do niej, a nie do tego, jak sobie ktoś wyobraża szyję, która kręci głową. Mierzi mnie na samą myśl, że miałabym udawać idiotkę, żeby jakiś facet poczuł się lepiej.

Kamil Broszko: Jak odnosi się pani do ruchów kobiecych i głoszonych przez nie postulatów?

Katarzyna Bonda: Nigdy nie lubiłam należeć do organizacji, stowarzyszeń. Może wynika to z mojej pracy, która wymaga samotności i ciszy. Zresztą mam bardzo wąskie grono znajomych kobiet, przed którymi się otwieram. Nie czuję takiej potrzeby, to mnie osłabia. Jeśli mam być szczerą – nie lubię pustego gadania. Jestem z tych konkretnych, pragmatycznych, kierujących się rozumem i lubię efektywność, a nie mieszanie wody w szklance. Pewnie to przychodzi z wiekiem. W każdym razie zamiast chodzić na zebrania, wolę poświęcić czas na czytanie, medytację albo pospać. Ale rozumiem, że to jest potrzebne, i kiedy widzę konkretny cel, chętnie zabieram głos i jestem aktywna. Wspieram też różnego rodzaju inicjatywy, bo wierzę, że warto rozmawiać i korzystać z własnych mocy, dzielić się nimi. Jeśli jest zadanie, chętnie się go podejmę. Byle to przynosiło skutek, a nie było substytutem życia towarzyskiego pod płaszczykiem grona aktywistek. Jednocześnie zachwyca mnie, że coraz więcej kobiet bierze życie w swoje ręce; dba o siebie, o swój wygląd, zdrowie, marzenia. To jest bardzo pięknie i budujące. Potrafimy powiedzieć, co myślimy, a jeśli trze-

ba – wyjść na ulice z transparentem i głośno krzyczeć. Niech tak pozostanie. Na pewno można mówić o niezależności kobiet. To szczebel wyżej w emancypacji, którą wywalczyły nasze matki. Czy pan wie, że jeszcze moja babka nie mogła mieć własnych pieniędzy, a nawet jeśli zarabiała, odbierał je od pracodawcy jej mąż, brat lub najstarszy członek rodu płci męskiej. Ta sytuacja miała miejsce zaledwie kilka dekad temu. Dlatego obecne zmiany są bardzo ważne dla przyszłych pokoleń kobiet. One może nie będą musiały domagać się swoich praw siłowo, może będą miały okazję, by powrócić do naturalnej łagodności i pielęgnować kobiecość, delikatność.

Kamil Broszko: Czy dziś książka pełni w naszym świecie jakąś szczególną rolę, czy jest raczej – w dobie wielu nośników, wielu sposobów przekazywania treści – jedynie przyjemnym artefaktem w stylu retro?

Katarzyna Bonda: Pochodzę z domu, w którym się czytało. Wszystkie ściany były zajęte przez książki. Myślę, że z czytaniem jest jak z wirusem. Jeżeli dzieci widzą, że rodzic czyta, nie trzeba robić pogadarek i namawiać, to przychodzi naturalnie. Moja córka wie, że na wakacje zabieram pół walizki książek, i robi dokładnie to samo. Wydaje mi się, że ta książkowa infekcja, zaszczepiona bardzo wcześniej młodemu czytelnikowi, procentuje tym, że wcześniej czy później sięgnie on po literaturę wysoką, po prostu będzie chciał więcej. To tak jak z nauką języka – tworzy się pewien rytuał, nawyk. Funkcjonujemy w przestrzeniach powtarzalnych, trochę podobnie jak psy Pawłowa. Jeżeli się nauczymy, że czytanie nie jest groźne i nie jest mordęgą, tylko relaksem, a nawet pewnego rodzaju katharsis, będziemy wciąż odczuwać niedosyt literatury. Gdy jest mi ciężko, źle i nie jestem w stanie poradzić sobie ze swoimi emocjami, biorę książkę, która mnie oderwie od rzeczywistości, przeniesie emocjonalnie w opowieść, która jest fikcyjna, nie dotyczy bezpośrednio mojego życia. W ten sposób jestem w stanie ochłonąć. Obiegowa opinia głosi, że Polacy nie czytają. Nie wierzę w to! Oczywiście jest grupa ludzi, która nie czyta wcale, ale są też tacy, którzy osiągają maksymalne wyniki czytelnicze. Wystarczy zajrzeć do katalogów wydawniczych, by zobaczyć, ile jest wydawanych polskich książek. Pamiętam moment, kiedy składałam swoją pierwszą książkę u wydawcy. Właściwie nie miałam gdzie jej złożyć, ponieważ wszędzie dominowały głównie tłumaczenia zagranicznych powieści. Do wyboru miałam jedynie trzy wydawnictwa. Dzisiaj każde – nie mówię tylko o tych największych – wyda literaturę popularną, ba, są nawet takie, które utrzymują się wyłącznie z tego. Każde społeczeństwo, które jest już nasycone dobrostanem materialnym, potrzebuje też karmy dla ducha. Biblioteka Narodowa ponownie przebadła Polaków i znów okazało się, że głównie czytamy Sienkiewicza i lektury szkolne, ale w tym zestawieniu znalazłam się też ja, zaś najbardziej popularnym pisarzem w Polsce jest obecnie Stephen King, czyli po prostu czytana jest literatura popularna. Fakt, że jestem

w stanie dotrzeć do masowego odbiorcy, jest dla mnie największym wyróżnieniem. Trudno mi uwierzyć, że Polacy nie czytają, bo mnie czytelnicy rozpieszczają. Przyjeżdżają na spotkania autorskie, czasem z bardzo daleka, nawet z zagranicy, sale są pełne. To dla mnie niewyobrażalne i wzruszające. Ale dowodzi również, że czytelnicy nie tylko potrzebują literatury, potrzebują też człowieka. Pisarz dzięki swoim książkom staje się osobą publiczną, a czytelnicy są złażnieni bezpośredniego kontaktu z autorem swoich ulubionych powieści. Był taki czas, gdy mówiono, że książka umrze śmiercią naturalną, zwłaszcza kiedy pojawiły się e-booki. Uważam, że papier nigdy nie umrze, a książka to już na pewno, ponieważ jest to jedyne medium, które uruchamia naszą wyobraźnię. Gdyby spojrzeć na kontekst historyczny, to faktem jest, że w czasie drugiej wojny światowej wymordowano praktycznie całą polską inteligencję. Przez lata w społeczeństwie dominowali robotnicy, którzy nie mieli czasu dla siebie, na pielęgnowanie potrzeb duchowych. A dziś młodzi inteligenci mają takie możliwości. Myślę, że pokolenie, które obecnie czyta, zapoczątkuje ważne zmiany. Książki takie jak moje mają więcej niż jedno życie. Po przeczytaniu powieści, poznaniu zakończenia można przekazać ją dalej. Ja sama kupuję książki z drugiego obiegu i oddaję je, gdy już przeczytam. Zatrzymuję tylko te, które są dla mnie ważne, które mnie zachwyca. Mam tak dużo książek, że nie mogę ich wszystkich zatrzymać. W domu jest ich kilka tysięcy, a wciąż dochodzą kolejne, bo jestem cały czas głodna nowych.

Kamil Broszko: Tworzy pani powieści i reportaże. Czy któryś z gatunków jest pani bliższy?

Katarzyna Bonda: To dwie różne działalności, obie fascynujące. Nie potrafię wybrać. Wkrótce przygotuję kolejny dokument. Muszę tylko zakończyć rozpoczęty projekt. Nie umiem zajmować się wieloma rzeczami jednocześnie. Zresztą na wszystko jest czas.

Kamil Broszko: Wspominała pani wielokrotnie o głodzie odkrywania nowych terytoriów. Czy możemy się spodziewać eksploatacji nowych odmian gatunkowych?

A może w ogóle wyjścia poza literaturę?

Katarzyna Bonda: Tak, może pan się spodziewać.

Kamil Broszko: Wiemy od wydawcy, że obecnie przygotowuje pani kolejną książkę. Proszę zdradzić, o czym będzie.

Katarzyna Bonda: To będzie całkiem nowa historia. Chyba najtrudniejsza i najmocniejsza rzecz, z jaką przyszło mi się zmierzyć. Bez profilerów, ale pierwiastek śmierci i intryga będą jak najbardziej. Najchętniej opowiedziałabym panu wszystko, ale jestem przesądna i się powstrzymam. Ci, którzy lubią moje książki, będą zadowoleni, adwersarze zaś będą mieli znów pole do popisu. Proszę trzymać za mnie kciuki, bo codziennie mam spadek formy i walczę z własnymi słabościami. Wzięłam na warsztat sprawę, która jest tak trudna do opowiedzenia, że przypomina walkę ze smokiem.



O wpływie dzieciństwa na tworzoną sztukę, relacjach między reżyserem i postacią oraz o roli rodziny w życiu człowieka z **Kingą Dębską** rozmawiają Marzena Tataj i Kamil Broszko.

Moim szefem jest film



Marzena Tataj: Niedawno odbyła się premiera pani najnowszego filmu „Zabawa, zabawa”, który uderza widza prosto między oczy. Mnie skojarzył się z wcześniejszym filmem dokumentalnym „Aktorka” o Elżbiecie Czyżewskiej.

Kinga Dębska: To prawda, oba filmy są ze sobą w pewnym sensie powiązane. Gdybym nie zrobiła filmu „Aktorka”, nie zrozumiałabym tak dobrze problemu alkoholizmu. W podejściu do tego zjawiska albo się jest po jednej stronie, albo po drugiej. Jeżeli nie jest się alkoholikiem, to od razu przyjmuje się postawę krytyczną, oceniającą, umoralniającą. Robiąc film o Czyżewskiej, spędziłam z nią cały rok – choć oczywiście nie dosłownie, bo zmarła cztery lata wcześniej – i wydaje mi się, że zdołałam wejść w jej skórę. Bardziej ją zrozumiałam i w rezultacie – polubiłam. Była trudnym, ale i niezwykle wrażliwym człowiekiem, pewnie stąd jej alkoholizm. Oczywiście jest milion powodów, żeby pić. Ale w jej przypadku decydująca była nigdy niezaspokojona potrzeba bycia kochaną. Mimo sukcesów w Polsce miała stałe poczucie niedowartościowania i wewnętrznej pustki, której nic nie było w stanie zapełnić. Zapewne wynikało to z jej trudnego dzieciństwa. Obie z siostrą wychowywane były przez mamę, która okresowo oddawała je

do domu dziecka. Oddawała i zabierała z powrotem. Wyraźnym piętnem odcisnął się też burzliwy związek z Jerzym Skolimowskim, polegający na miłości, ale jednocześnie na wykorzystywaniu, w dużej mierze przez Jerzego. Już wtedy pojawił się u niej nałóg alkoholowy. Od Skolimowskiego odeszła dla Davida Halberstama, dziennikarza, korespondenta „New York Timesa”, laureata Pulitzera, i dla niego opuściła Polskę (kiedy został wydany jako *persona non grata*). I tak w kwietniu 1968 r. znalazła się w Nowym Jorku, na Manhattanie, jako 30-letnia aktorka, niezwykle popularna w Polsce, ale nieznająca ani słowa po angielsku. Małżeństwo z Halberstamem zniszczyła niejako na własne życzenie. Nowojorskie mieszkanie zapełniała wieloma ludźmi z Polski, którym matkowała, a którzy ją wykorzystywali. Nie stroniła od bliskich kontaktów z innymi mężczyznami. Wydaje mi się, że Halberstam i tak długo z nią wytrzymał, bo rozwiódł się dopiero w 1977 r. Nie płacił jej potem alimentów, co przyczyniło się do kłopotów finansowych. W tym okresie pogłębił się też jej alkoholizm. Tyle o faktach, natomiast, jak wiemy, prawda o związku dwojga ludzi zawsze jest gdzieś pośrodku. A może w ogóle nie ma jednej prawdy. Kiedy rozmawiałam z przyjaciółmi Czyżewskiej – każdy kreował inny jej



Kinga Dębska (ur. 1969 r. w Białymstoku) – reżyserka, scenarzystka, pisarka. Absolwentka kulturoznawstwa na Wydziale Orientalistycznym UW (1996), Camerimage Film School w Toruniu (2001) oraz reżyserii w FAMU w Pradze (2007). Laureatka wielu nagród festiwalowych, m.in. za filmy „Józek i jego dzieci” (2007), „Hel” (2010), „Aktorka” (2015), „Moje córki krowy” (2015). Za ten ostatni otrzymała nagrodę dziennikarzy, nagrodę publiczności, nagrodę Sieci Kin Studyjnych i Lokalnych na Festiwalu Filmowym w Gdyni oraz Orły – publiczności i za najlepszy scenariusz. „Moje córki krowy” zostały ponadto dostrzeżone i docenione w Chicago, Moskwie oraz na China Golden Rooster & Hundred Flowers Film Festival (nagroda publiczności w 2017 r.), mają na koncie ponad 20 nagród.

obraz. Ale jedna opinia stale powracała: że jej prawdziwą miłością był Jerzy Skolimowski. Hanna Kosińska-Hartowicz, jej przyjaciółka, opowiedziała mi, jak bardzo Elżbieta liczyła na spotkanie ze Skolimowskim, kiedy przyjechał do Nowego Jorku promować swój film „Cztery noce z Anną”. Niestety, nie spotkał się z nią, wręcz udał, że jej nie widzi. Bardzo ją to bolało. Po tylu latach od rozstania nadal uczucie do niego było silne – to przecież coś znaczy.

MT: W Polsce Elżbieta Czyżewska była uwielbiana za role w popularnych komediach. Ale miała też na swoim koncie role dramatyczne w filmach Kutza, Forda, Hasa, Skolimowskiego czy u Wajdy we „Wszystko na sprzedaż”. A potem nastąpiła cisza, aż dowiedzieliśmy się, jak bardzo doceniła ją Meryl Streep po wspólnych występach w „Biesach” Dostojewskiego, wyreżyserowanych przez Wajdę w USA.

KD: Bo w Stanach Zjednoczonych tak właśnie jest, że uczelnie zapraszają wybitnych reżyserów, aby ze swoimi aktorami i studentami aktorstwa wystawiali sztuki, dzięki czemu studenci mają okazję pracować z doświadczonymi przedstawicielami zawodu. W ten sposób w Yale Repertory Theatre Meryl Streep jako studentka mogła zagrać z Elżbietą Czyżewską. Dobrze też się stało, że mój film przyczynił się do wyjaśnienia wielu nieporozumień, w tym podważenia plotki, jakoby Streep odebrała Czyżewskiej rolę w „Wyborze Zofii”. Nigdy nie było takiego pomysłu, żeby Czy-

żewska zagrała Zofię, choćby z tego powodu, że była już do tej roli po prostu za stara. Natomiast bezsprzecznie była inspiracją do budowania samej postaci.

Akurat dobrze się złożyło, że w trakcie kręcenia filmu byłam na stypendium w Nowym Jorku, a współreżyserką była przyjaciółka Czyżewskiej, Maria Konwicka. Dzięki niej dotarłam do różnych znajomych i przyjaciół Elżbiety, z których każdy – jak wspomniałam – opowiadał mi o innej Czyżewskiej. Nie potrafiłam złożyć jej spójnego obrazu. Dopiero w montaźowni okazało się, że ów kalejdoskop to jest cała prawda o mojej bohaterce. Miała tyle twarzy, ile spotkań z ludźmi. Dla każdego potrafiła i chciała być inna. Grała w życiu wiele ról.

MT: Dlaczego jej powrót do wolnej Polski nie powiódł się?

KD: Najwięcej o niej dowiedziałam się już po zrobieniu filmu. Bo dopiero wtedy moi rozmówcy zaczęli mówić to, czego nie chcieli powiedzieć przed kamerą. Beata Tyszkiewicz dopiero po obejrzeniu filmu powiedziała, że zawsze dziwiła się, że Czyżewska nie spłonęła we własnym łóżku, bo żyła tak dramatycznie. Była wspańska i nieznosna zarazem. Jak bardzo nieznosna, dowiadywałam się później. Kiedy w 1994 r. przyjechała do Warszawy z zamiarem wystawienia w Teatrze Dramatycznym sztuki „Szósty stopień oddalenia”, którą dla niej napisał John Guare, zaskoczyło ją, że musi się zmierzyć z uwagami reżysera i aktorów. Okazywała wobec nich pogardę, czego nikt przecież nie lubi. Nie można też zapominać, że była już starszą kobietą z twarzą zniszczoną alkoholem. W tamtym momencie zgubiła ją duma. Ale z drugiej strony bardzo jej współczuję i rozumiem jej zachowanie. Chciała dużo, być może za dużo. Musimy pamiętać, że w 1968 r. wylądowała w Nowym Jorku, nie znając słowa po angielsku. Jak w takiej sytuacji osiągnąć status Marilyn Monroe? To niemożliwe. A tego oczekiwali od niej Polacy.

Kamil Broszko: Czy ten film można odczytać jako uniwersalną opowieść o aktorze i niebezpieczeństwach tego zawodu?

KD: Jak najbardziej. Bardzo się ucieszyłam, kiedy dowiedziałam się od córki, że reżyser, z którym pracowała w teatrze, zorganizował pokaz tego filmu dla swoich aktorów. Wtedy pomyślałam, że ten film żyje i spełnia właściwą rolę. Jest to przestroga dla młodych aktorów przed pułapkami sławy i iluzorycznej kariery, z której zazwyczaj niewiele wynika. Dla mnie to archetypiczna historia człowieka o zmaganiach z losem. Celowo nie umieściłyśmy w filmie ani jednej wypowiedzi Czyżewskiej. Widzimy ją we wspomnieniach wielu ludzi, niczym odbicia w wielu lustrach. W każdym wygląda inaczej.

KB: Wróćmy zatem do najnowszego filmu fabularnego „Zabawa, zabawa”. Czy też jest przestrogą?

KD: Pewnie niektórzy tak go odczytują, ale ja chciałam, żeby to była przede wszystkim przykuwająca uwagę, przejmująca opowieść, która nie pozwoli widzom patrzeć na bohaterki z pogardą,



© NITA WEISSMAN OKAMOTO

ale ze zrozumieniem i współczuciem. Taka historia może się przecież zdarzyć każdemu z nas. Zależy mi, żeby moich bohaterek nie oceniać, nie krytykować, nie mówić „sama chciała”. Bo problem uzależnienia jest tak blisko, a czasami po prostu u nas. Nie ma takiego człowieka, który by nie miał w swoim gronie alkoholika czy alkoholiczki i nie wiedział, czym jest ta choroba. Na jednego alkoholika przypada około 10 osób, które cierpią z nim lub z jego powodu. To bardzo egalitarny nałóg.

Pracując nad biografią Czyżewskiej, zrozumiałam, czym naprawdę jest uzależnienie od alkoholu, czym w istocie jest AA i na czym polega terapia. W Polsce picie kobiet jest tematem tabu, nie umiemy o nim rozmawiać, tylko od razu zaczynamy oceniać, a w tym Polacy są mistrzami świata. Oceniamy non stop wszystkich, oszczędzamy tylko siebie samych. Ważne dla mnie było spotkanie z Ewą Wojdyłło, która skontaktowała mnie z Miką Dunin, blogerką, pisarką, niepijącą alkoholiką. I to ona wprowadziła mnie w świat kobiet uzależnionych od alkoholu. Sporo z nimi rozmawiałam i wiele ich historii wykorzystałam w filmie. Korzystałam też na planie z pomocy terapeutów, którzy pilnowali realizmu scen.

KB: Muszę przyznać, że wyszedłem z kina, oceniając film po prostu jako dobry. A po kilku dniach ze zdziwieniem zauważyłem, że nie wychodzi mi on z głowy. Czy to jest celowy zabieg reżyserski, żeby działać na widza niejako z opóźnionym zapłonem?

KD: Kiedy reżyser montuje film, ogląda go milion razy. Raz skracając sceny, raz je wydłuża. Buduje się siatkę emocjonalną, żeby widz reagował zgodnie z jego oczekiwaniami. Żeby w odpowiednim momencie się wzruszył, w innym uśmiechnął czy też przeraził. Tak chyba jest z moimi filmami, że one z upływem czasu zyskują w ocenie widzów. Grażyna Torbicka przyznała mi się, że dopiero naprawdę doceniła „Moje córki krowy”, kiedy obejrzała je po raz trzeci. Moje filmy składają się z wielu warstw. Ta pierwsza, ze-

wnętrzna, jest warstwą przygodowo-rozrywkową. Dopiero pod nią są te ważniejsze. Trzeba po kolei do każdej z warstw dotrzeć.

MT: Ja „Zabawę, zabawę” doceniłam od razu. Uderzyła mnie mocno, głównie dlatego, że przed żadną z bohaterek nie ma przyszłości. Jest pewna szansa na pozytywne rozwiązanie problemów najmłodszej bohaterki, Magdy, ale i ona nie potrafi powiedzieć ojcu całej prawdy, dawkuje ją.

KD: Przyznam, że końcowa scena u rodziców Magdy była sceną improwizowaną. Pozwalałam na to aktorom, kiedy już dobrze wejda w postać, kiedy wiedzą, kim są ich bohaterowie i jak mogą w danej sytuacji postąpić. Płacz ojca w tej scenie to była inwencja aktora Przemka Bluszcza. Jeżeli aktorzy dostają przestrzeń do grania, a nie tylko tekst do wypowiedzenia, to mogą wydobyć z siebie prawdziwe pokłady inwencji i zbudować piękne role, wypełnione ich prawdziwą duszą. Tylko muszą mieć na to miejsce i czas.

MT: Proponuje pani aktorkom wiele ciekawych ról.

W „Zabawie, zabawie” moją uwagę przykuła grająca Magdą Maria Dębska, pani córka, która musiała się zmierzyć ze sceną brutalnego gwałtu. Jak radziła sobie pani z reżyserowaniem tej sceny?

KD: Od razu powiem, że tę scenę na prośbę Marysi kręciliśmy pierwszego dnia zdjęciowego. Ja się tej sceny bałam, bardzo ją przeżywałam i chciałam się dobrze do niej przygotować. Miałam rozrysowane kadry, miejsca ustawienia kamer, ale nadal nie wiedziałam, jak do niej podejść. Marysia poprosiła mnie, aby ta scena została nakręcona jako pierwsza, gdyż to ona buduje całą jej postać. Jej dalsze zachowanie jest wynikiem tego zdarzenia. I była to słuszna decyzja, również ze względów praktycznych, bo kręciliśmy film na przełomie lata i jesieni i zależało nam na ciepłej nocy. Przyznam, że ekipa patrzyła na mnie jak na jakiegoś potwora. Jaka matka funduje takie rzeczy własnej córce? Piłam hektoli-



try lawendy, aby się uspokoić. Kamera poszła, długo nie mówiłam „stop”, Marysia ciągle krzyczała wniebogłosy. Przeróżające. A tu jeszcze kilka dubli... Po każdym dublu mocno ją przytulałam, zresztą jak i innych aktorów po wymagających scenach, bo wiem, ile takie zadania ich kosztują. To była dla mnie najtrudniejsza scena w filmie, ale po niej już wiedzieliśmy wszystko. Muszę powiedzieć, że każda z aktorek i ja solidnie przygotowywałyśmy się do tego filmu, rozmawiając z terapeutami od uzależnień i chodząc na spotkania AA.

KB: Czy „Zabawa, zabawa” opowiada również o roli rodziny w życiu człowieka? Rodzinę Magdy zawsze widzimy przy niedzielnym stole z obiadem, a widz również ma przy tym stole swoje stałe miejsce. Czy to jest wyraz przekonania, że rodzina – jaka by nie była – stanowi nasze najlepsze oparcie?

KD: Dla mnie rodzina jest wartością nadrzędną. To są moje tematy: rodzina, ojciec, ludzka słabość. Rodzina jest czymś najlepszym, co może nas spotkać, nawet ta niedoskonała, bo człowiek jest istotą społeczną. Świat jest teraz pełen ludzi samotnych. Z pozoru może się to wydawać fajne – wyjechać na święta na Bali i być z dala od choinki, makowca, prezentów. Ale gdzieś we mnie tkwi polska potrzeba, żeby mieć fundament, mieć gdzie wrócić, mieć rodzinę. Potrzebny jest dom z czterema ścianami, który będzie trampoliną do skoku we własne ja. Życie jest jak skok na bungee. Skaczemy z jakiegoś punktu, daje to wiele radości, ale dobrze jest móc potem wrócić. A co będzie, jeśli zerwie się lina? Nie wyobrażam sobie emigracji, odcięcia się na stałe od rodziny. I nie jest ważne, że nie ma się codziennego kontaktu z rodziną – ważne, że ona po prostu jest. Dlatego kamera w domu rodzinnym Magdy rejestruje ją zawsze przy stole. Nawiasem mówiąc, scena ta była kręcona w domu moich rodziców (a obecnie mojej siostry), co jeszcze bardziej przydaje jej osobistego znaczenia. Rodzina to port dla mojej bohaterki Magdy. Dla mnie też.

KB: Czy wszystkie sceny były kręcone w autentycznych wnętrzach?

KD: Tak, studia używa się częściej wtedy, kiedy nie ma jakiegoś wnętrza w rzeczywistości. Na przykład buduje się zamek czy mieszkanie peerelowskie, jak w „Ostatniej rodzinie”. Natomiast ja miałam trzy współczesne bohaterki, trzy odrębne światy, które wykreowała wspaniała scenografka Monika Sudół na bazie istniejących domów i mieszkań. Zaaranżowane przez nią wnętrza dopowiadały historie bohaterek. Teresa (grana przez Dorotę Kolak), utytułowana profesor pediatrii, mieszka w przedwojennej warszawskiej kamienicy, a w jej gustownym, ale zaniedbanym mieszkaniu widzimy bukiet uschniętych róż. Dorota (w tej roli Agata Kulesza), wpływowa pani prokurator, mieszka z mężem politykiem i synkiem w eleganckim domu pod Warszawą, gdzie jest służąca i wszystko z pozoru lśni.

MT: Dla Teresy i Doroty nie ma już przyszłości...

KD: Tego nie wiemy. Niedawno zadzwoniła znajoma i powiedziała, że była już w tym miejscu, co filmowa Teresa, ale poradziła sobie z problemem i teraz nie pije. Różnie może być. Teresa nie ma siły, żeby się leczyć, nie walczy o siebie. Widzimy wrak człowieka, „wielką” panią profesor, zaniedbaną, szarą, z tłustymi włosami, jak siedzi na przystanku autobusowym i pije wprost z butelki owiniętej w papierową torbę. Dostrzega ją inna kobieta, którą widz poznał we wcześniejszej scenie filmu, niepijąca alkoholiczka, która sama była kiedyś na dnie. Mogłaby podejść i wyciągnąć do niej rękę, powiedzieć, że wie, przez co przechodzi, bo tę drogę zna. Ale tego nie robi. Nie wierzę, że Teresa, będąca w ostatnim stadium nałogu, w stanie pełnego zaprzeczenia, przyjąłaby taką pomoc. Najmłodszej bohaterce Magdzie się udało, paradoksalnie pomogła jej ciąża. Wyciągnęła do niej rękę jej szefowa, Amerykanka, która powiedziała: „Don’t worry. Pomogę ci, tylko idź się leczyć”. I dziewczyna jej posłuchała. Poszła na spotkanie AA, udając sama przed sobą, że idzie tylko z ciekawości. Tak się często dzieje naprawdę. Ludzie z początku

mówią, że to nie o nich chodzi, ale o siostrę, koleżankę, że przyszli się jedynie rozejrzeć. Dlatego tak ważne jest zdanie, które bohaterka wypowiada podczas terapii: „Mam na imię Magda i jestem alkoholiką”. W tej historii ważne też było spotkanie z psychołożką, do której Magda trafiła z problemem przypadkowej ciąży. Usłyszała tam to, czego słyszeć bardzo nie chciała: „Ty masz inny problem, bo pijesz”. Spotkać takiego psychologa to wielkie szczęście. Usłyszałam podobną historię w czasie przygotowań do filmu. Dziewczyna chodziła na terapię z powodu depresji. Do picia się nie przynawiała, aż kiedyś przyszła na spotkanie z psychologiem kompletnie pijana. Ten od razu wysłał ją do ośrodka leczenia uzależnień i w ten sposób uratował.

KB: Czy film może dziś jeszcze pełnić rolę społeczną, a nie tylko komercyjną czy estetyczną?

KB: Może, jak najbardziej. Ucieszyły mnie recenzje, które określały „Zabawę, zabawę” jako bardzo dobrze przemyślaną kampanię społeczną. Lecz taki odbiór dokonuje się niejako przy okazji, bo ja przecież nie chciałam robić kampanii, ale dobry film. Chciałam, żeby ludzie poszli do kin zobaczyć opowieść, zabawić się, bez strachu, że idą się leczyć czy szkolić. A przy okazji dostają obuchem między oczy i w rezultacie zastanawiają się, czy w ich życiu jest wszystko w porządku. Warstwa społeczna tego filmu to jego dodatkowa wartość.

KB: Robi pani filmy według własnych scenariuszy. Jak ważną rolę w filmie odgrywa tekst?

KB: Scenariusz to tylko zapis. Mam do niego duży dystans. Oczywiście pracę na planie zaczynam od tekstu ze scenariusza, ale jeśli trzeba, zmieniam go wielokrotnie. To film jest szefem, nie ja. Jeżeli film chce czegoś innego, a ja widzę, że historia lepiej rozwija się w nowym kierunku, to jej nie przeszkadzam, a wręcz przeciwnie – staram się pomagać ze wszystkich sił. Scenariusz jest dla mnie tylko punktem wyjścia, a że jest mój, mogę go zmieniać, ile trzeba. Ale potrafię także pracować na czyimś scenariuszu. Przez pięć lat zrobiłam ponad 100 odcinków różnych seriali telewizyjnych opartych na cudzych scenariuszach. Następnie nakręciłam autorską fabułę „Moje córki krowy”, a po niej wyreżyserowałam „Plan B” oparty na scenariuszu Karoliny Szablewskiej. Nie byłabym w stanie ciągle opowiadać tylko własnych historii, bo aż tylu ich nie mam, a lubię robić filmy, być na planie, pracować z aktorami. Nie wyobrażam sobie tworzenia wyłącznie filmów autorskich. To by mnie ograniczało.

MT: Wróćmy do pani pierwszego filmu „Hel”. Opowiada o uzależnieniu od narkotyków. Temat został przedstawiony w mroczny, dramatyczny sposób. Zaś w następnych filmach widać już wyraźniej styl Kingi Dębskiej – poważne tematy są okraszone humorem, płacz przeplata się ze śmiechem, jak to w życiu bywa.

KB: To prawda, w „Helu” tworzył się mój styl. Bardzo go lubię, bo dla reżysera filmy są jak dzieci, a te się kocha bardziej, którym się gorzej powodzi. „Hel” jest dla mnie szczególnie, bo był to mój pierwszy film po praskiej szkole filmowej. Popętniłam w nim wszystkie grzechy debiutanta, tzn. chciałam powiedzieć bardzo dużo, być może za dużo. Ale już w nim szukałam swojej filmowej drogi, próbowałam używać humoru, sceny szpitalne skrzę się przecież dowcipem. Wtedy też zdałam sobie sprawę, że niedobrze czuję się w gorsecie czystego dramatu i wolę wpuścić do filmu haust świeżego powietrza, czyli odstresowującego humoru. Paweł Królikowski zagrał w „Helu” mocną, przejmującą rolę, jego partnerkę grała czeska aktorka Anna Geislerová. Lesław Żurek też miał znaczącą rolę; szkoda, że ten wspaniały aktor tak mało gra. Niestety, film trafił do dystrybucji tuż po katastrofie smoleńskiej i nie miał szans. Może i dobrze się stało, że nie odniósł wtedy sukcesu, bo jeszcze by mi się w głowie przewróciło. (śmiech) A tak spokojnie dalej pracowałam i szukałam własnej drogi.

KB: Jaka jest ta droga?

KB: Nie wiem. Jestem japonistką po studiach na Uniwersytecie Warszawskim, mam dyplom z kulturoznawstwa. Ale już będąc na japonistyce, wiedziałam, że chcę się związać z filmem. Japonistyka to bardzo trudny kierunek, więc bezpośrednio po jej ukończeniu nie miałam odwagi startować na reżyserię, która jest równie wyczerpująca. Dlatego wybrałam pracę w telewizji przy tworzeniu programów kulturalnych, jak np. „Pegaz”, oraz reportaży i dokumentów. Równoległe z pracą w telewizji skończyłam dwuletnią Camerimage Film School. Następnie pojechałam na egzamin do FAMU w czeskiej Pradze. Tam okazało się, że skoro mam już tytuł magistra z kulturoznawstwa, to mogę od razu zdawać na czwarty rok reżyserii. Musiałam tylko pokazać film, który zostanie zaliczony jako licencjat, i nauczyć się czeskiego w ciągu dwóch miesięcy. Tak też uczyniłam. Dostałam się na studia i spędziłam w Pradze kilka lat, co okazało się świetnym pomysłem, bo mogłam złapać dystans do siebie i wiatr w żagle. Czesi nie boją się śmiać z siebie. Lubię z nimi współpracować, choć nie zdarza się to często. Cieszę się, że w dwóch ostatnich filmach kompozytorem był Michał Novinski, Słowak, na stałe pracujący z największymi czeskimi reżyserami.

KB: Dlaczego kobiety są bohaterkami pani filmów? Czy to celowy zabieg, czy tajemniczy przypadek?

KB: Nie zawsze kobiety. W „Helu” głównym bohaterem był mężczyzna. Ale potem faktycznie na nie skierowałam światło, nie z powodu mody, ale dlatego, że są bardzo ciekawymi osobowościami. Poza tym jest tylu reżyserów opowiadających historie o mężczyznach, w których kobiety pełnią rolę tzw. paprotki, czyli ciotki, matki, córki głównego bohatera. A gdyby się im lepiej przyrzec, to one mogłyby stać się sednem tych historii. Oczywiście jeżeli tylko napotkam interesującą historię o facecie, która mnie głęboko przejmie, to z chęcią zrobię o tym film.



© ROBERT JAWORSKI/STUDIO FILMOWE KALEIDOSKOP

„Zabawa,
zabawa”

MT: A jaki będzie ten następny film?

KD: Niedawno ukazała się moja książka „Porozmawiaj ze mną” i to na jej motywach planuję nakręcić film. Będzie to opowieść o dzieciństwie w czasach PRL-u, o powrocie do prostych radości, umiejętności cieszenia się życiem. Choć PRL nie kojarzy się dobrze, to jednak upływ czasu uszlachetnia i lukruje wspomnienia z dzieciństwa, które dla mnie jawią się jako chwile szczęścia. Nadałam książce formę rozmowy kobiety dojrzałej z samą sobą sprzed lat, czyli z 12-letnią dziewczynką. W filmie więcej będzie przeszłości, dzieciństwa, którego zrozumienie jest kluczem do tego, kim jesteśmy dzisiaj. Tak myślę. Mam poczucie, że moje pokolenie jest specyficzne, jedyne w swoim rodzaju. Wychowanie w tamtych czasach było kompletnie inne niż dziś. Nie było psychologów szkolnych czy zajęć pozalekcyjnych. Za to były podwórko i trzepak. Byliśmy inni niż dzisiejsze dzieci. One nie chcą słuchać opowieści o tamtych czasach, nie rozumieją ich i chyba nie chcą zrozumieć. A ja chciałabym się katapultować do okresu mojego dzieciństwa, na 44 m kw. mieszkania moich rodziców w czteropiętrowym bloku, do jednego z dwóch pokoi (tzw. małego), gdzie spałam z siostrą na wersalce, a pod oknem na półkotapczanie spała babcia, która była królową mojego dzieciństwa. Do zwierząt, które wtedy z nami mieszały. Chciałabym wspomnieć wyjazdy turystyczno-handlowe moich rodziców. Przywołać gierkowskie lata „komuny z ludzką twarzą”, które tak silnie ukształtowały moje pokolenie. To czasy pięknieć politycznych w rodzinach. Moja mama należała do Solidarności, a tata do związków branżowych, rodzice ciągle się o to kłócili. A wszystkie te kłótnie słyszały dzieci, bo ściany w bloku z płyty były bardzo cienkie. Tak sobie myślę, że dopiero kiedy się przyjrzymy samym sobie z tamtych lat i kiedy siebie zaakceptujemy, wtedy będziemy mogli być szczęśliwi.

MT: Zwróciłam uwagę na spostrzeżenie opisane w książce, że pani siostra swoje dzieciństwo spędzone w tym samym domu, w tym samym pokoju, wspomina jako bardzo szczęśliwe. A pani, aby je polubić, musi się z nim raz jeszcze zmierzyć.

KD: Mieszkaliśmy w tym samym domu, ale mamy różne wspomnienia, bo pamięć ludzka jest wybiórcza, złudna i czasem kłamliwa. Postanowiłam swojej opowieści nie obiektywizować. Jestem teraz w bardzo bliskich relacjach z moją siostrą, rozmawiamy codziennie i dostałam od niej prawo do swoich własnych wspomnień. (śmiech)

MT: Różnica polega na tym, że swoje wspomnienia wspólnego dzieciństwa pani pokazała całemu światu w książce, a teraz robi to w filmie.

KD: To prawda, ale takie jest prawo autora, że karmi się własnymi przeżyciami i wspomnieniami. Tylko to wiem i znam, co sama przeżyłam. Poza tym proszę pamiętać, że moja bohaterka Marta to nie jestem cała ja. Co prawda w każdym moim bohaterze można odnaleźć jakieś odpryski mnie, ale nigdy nie jest to pełne odzwierciedlenie. Podobnie było w przypadku filmu „Moje córki krowy”, przy pomocy którego starałam się poradzić sobie z żałobą po przedwczesnej śmierci rodziców i zdefiniowaniem na nowo relacji z siostrą i całym światem. To niesamowite, że ten film ma takie długie życie i ciągle się ludziom podoba. Może dlatego, że powstał ze szczerych intencji. Teraz też po „Zabawie, zabawie” ludzie piszą do mnie, że moje filmy im pomagają, że się w nich odnajdują, że to są ich historie. Takie recenzje są dla mnie najważniejsze i za nie najszczerzej dziękuję.

Agnieszka Duczmal – najśłynniejsza polska dyrygentka. Urodziła się w rodzinie o tradycjach muzycznych. Studia dyrygenckie ukończyła w 1971 r. w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Poznaniu w klasie prof. Witolda Krzemieńskiego, uzyskując dyplom z wyróżnieniem. Rozpoczęła pracę jako dyrygent asystent w Państwowej Filharmonii w Poznaniu, a następnie jako dyrygent w Operze Poznańskiej, w której przygotowała m.in. polską prapremierę opery Benjamin Brittena „Sen nocy letniej”, premierę „Rigoletto” Giuseppe Verdiego oraz baletu „Romeo i Julia” Siergieja Prokofiewa. Już w czasie studiów, w 1968 r., założyła orkiestrę kameralną, przekształconą w 1977 r. w Orkiestrę Kameralną Polskiego Radia i Telewizji, a następnie w Orkiestrę Kameralną Polskiego Radia Amadeus. Od początku istnienia Orkiestry Agnieszka Duczmal jest jej dyrektorem i dyrektorem artystycznym. W 1970 r. została laureatką I Ogólnopolskiego Konkursu Dyrygentów w Katowicach. W 1975 r. uzyskała wyróżnienie na IV Międzynarodowym Konkursie Dyrygentów Herberta von Karajana w Berlinie Zachodnim. Rok później wraz ze swą orkiestrą zdobyła Srebrny Medal Herberta von Karajana na Międzynarodowych Spotkaniach Młodych Orkiestr w Berlinie Zachodnim. W 1982 r. otrzymała tytuł La Donna del Mondo (Kobieta Świata), przyznany przez Międzynarodowe Centrum Kultury Saint Vincent w Rzymie pod patronatem UNESCO i prezydenta Włoch za wybitne w skali światowej osiągnięcia w dziedzinie kultury, sztuki i działalności społecznej. Wielu wybitnych kompozytorów zadedykowało jej utwory. Dla swojej orkiestry dokonała licznych transkrypcji arcydzieł muzycznych. Artystka zasiadała w jury ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów muzycznych, takich jak: Eurovision Young Musicians, Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Josepha Joachima w Hanowerze czy Konkurs Kompozytorski im. Tadeusza Ochlewskiego. Za prowadzoną działalność artystyczną Agnieszka Duczmal została uhonorowana wieloma nagrodami i odznaczeniami, do których w ostatnich latach dołączyły: Nagroda Stowarzyszenia ZAiKS za propagowanie polskiej muzyki współczesnej (2016), nagroda z okazji 100-lecia ZAiKS-u (2018) oraz Złoty Fryderyk w kategorii muzyki poważnej za całokształt pracy artystycznej (2018).



Maestra

O radościach dyrygenta, specyfice pracy z orkiestrą kameralną i wielkiej karierze kobiety w świecie zdominowanym przez mężczyzn z **Agnieszką Duczmal** rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Jaka była pani droga do dyrygentury?

Agnieszka Duczmal: Pochodzę z muzycznej rodziny, mój ojciec był dyrygentem i pedagogiem. Z muzyką w sposób czynny zetknęłam się w wieku pięciu lat, gdy rozpoczęłam naukę gry na fortepianie. Uważałam go za najpiękniejszy instrument do czasu, kiedy jako ośmiolatka usłyszałam podczas koncertu orkiestrę symfoniczną wykonującą „Figue Dyla Sowizdrzała” Richarda Straussa. To przeżycie spowodowało, że fortepian przestał już być najcudowniejszym instrumentem, a stała się nim właśnie orkiestra i na tym instrumencie pragnęłam grać. W 1966 r. dostałam się do klasy dyrygentury prof. Witolda Krzemieńskiego w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Poznaniu. Tak bardzo fascynowała mnie praca z orkiestrą, że już na trzecim roku studiów założyłam zespół Pro Musica, który był niejako prototypem Orkiestry Kameralnej Polskiego Radia Amadeus. Czas upłynął, nie wiadomo kiedy, i w ubiegłym roku świętowaliśmy 50-lecie działalności artystycznej. Koncertowaliśmy niemal na wszystkich kontynentach i ze wspianymi solistami, m.in. z pianistami Marthą Argerich, Ivo Pogorelichem, wiolonczelistą Mischą Maiskym, skrzypkami Henrykiem Szeryngiem, Wadimem Brodskim i Konstantym Andrzejem Kulką, grającym na fletni Pana Gheorghem Zamfirem czy gitarzystą jazzowym Alem Di Meolą.

Przez te wszystkie lata muzyka kameralna stała się moim głównym celem życiowym i radością pracy dyrygenta. Ale pierwsze 10 lat od ukończenia studiów miłość do kameralistyki godziłam z pracą z orkiestrami symfonicznymi, najpierw jako asystent dyrygenta w Filharmonii Poznańskiej, później jako dyrygent w Operze Poznańskiej. Dyrygowanie dużymi orkiestrami wzbogaciło moje doświadczenia pracy z instrumentalistami i wokalistami oraz mój sposób słuchania muzyki i orkiestry. Była to wówczas standardowa ścieżka kariery dyrygenta i skorzystałam z niej, zdobywając kompetencje na wielu polach, co jest bardzo ważne na początkowym etapie rozwoju zawodowego.

KB: Praca z kameralistami jest inna niż z symfonicznymi?

AD: W przypadku orkiestr kameralnych wymagana jest niezwykła precyzja i dokładne opracowanie utworu. Nie ma tak wielkiej presji czasu i można posłuchać każdego z muzyków. Z orkiestrami symfonicznymi nad programem pracuje się przez pięć dni w tygodniu, mamy do dyspozycji cztery próby i piątą generalną. Ten czas musi wystarczyć, by przygotować wykonanie utworu na miarę oczekiwań dyrygenta. Nasuwa się pytanie, na ile jest to realne zadanie. Inna sytuacja jest z orkiestrą, z którą pracuje się przez lata. Wtedy jest czas, aby wykształcić indywidualny styl, wypracować brzmienie orkiestry, czyli dźwiękowy wizerunek zespołu, aby był charakterystyczny, a przez to rozpoznawalny.

KB: Idealne wykonanie utworu musi mieć rys rozpoznawalny dla melomana czy raczej powinno oddawać ducha zamysłu kompozytora bądź pierwowzoru wykonawczego?

AD: A cóż to znaczy duch pierwszego wykonania? Ono również jest obarczone wyobraźnią wykonującego, zaś każde kolejne wykonanie nosi indywidualne znamiona wynikające z interpretacji podyktowanej takim, a nie innym rozumieniem utworu czy prowadzeniem frazowania. Oczywiście wykonania mogą być podobne, ale nigdy nie będą takie same. Przygotowując utwór, najpierw sprawdzamy intonację i precyzję techniczną, ale na kształtowanie frazy mają wpływ emocje. Moja orkiestra jest już tak zgranym i jednolitym organizmem, że emocje wprowadza do gry bardzo szybko. Znam wszystkich członków zespołu, ich wrażliwość, sposób słuchania, a oni znają mnie, każdy mój gest i każdy wyraz twarzy. Nie muszę wiele mówić, bo z gestu wynika, czego oczekuję, i wszyscy bezbłędnie to odczytują. Pracuję z bardzo wrażliwymi i wspianymi muzykami.

KB: Wróćmy do początków pani dyrygowania. Czy dla ówczesnego środowiska było oczywiste, że kobieta wybiera taką ścieżkę kariery?

AD: Prof. Krzemieński nie miał żadnego problemu z faktem, że jestem kobietą. Uważał, że mam talent, i dlatego chciał ze mną pracować. Ale rzeczywiście płęć w tym zawodzie będzie pewnym problemem jeszcze długo, choć obecnie jest już trochę łatwiej i więcej kobiet staje na podium dyrygenckim. Świat idzie do przodu i kobieta dyrygent nie wywołuje takiej sensacji, jak wtedy, gdy stawiałam pierwsze kroki. Jako pierwsza kobieta dyrygent wystąpiłam na scenie mediolańskiej La Scali, w Teatrze Królewskim w Madrycie i w Brukseli. Wówczas było to sensacyjne dla publiczności, ale też trudne do zaakceptowania przez orkiestry, których składy były zdominowane przez mężczyzn, a na podium dyrygenckim zawsze stawał mężczyzna. Również w innych zawodach rzadko widzieliśmy kobiety na stanowiskach kierowniczych. Wszyscy byli przyzwyczajeni, że dyspozycje może wydawać tylko mężczyzna. Uważano też, że dyrygent powinien być niczym kapral, co nie jest prawdą. Dyrygent musi wiedzieć, czego chce, i jasno przekazywać swoje intencje, ale przecież nie musi zachowywać się jak wojskowy.

KB: Był taki dzień w pani życiu, który okazał się kluczowy dla rozwoju kariery?

AD: 1 października 1977 r. To wtedy orkiestra Pro Musica, założona przeze mnie na uczelni w 1968 r., otrzymała szansę rozwoju jako etatowy zespół Polskiego Radia i Telewizji, a od 1988 r. jako Orkiestra Kameralna Polskiego Radia Amadeus. Decyzja z roku 1977 była skutkiem moich dobrych startów w konkursach organizowanych przez Fundację Herberta von Karajana w Berlinie Zachodnim. W 1975 r. otrzymałam wyróżnienie w konkursie Karajana dla dyrygentów, a w 1976 r. wraz z moją orkiestrą zdobyliśmy srebrny medal podczas Międzynarodowych Spotkań Młodych Orkiestr w Berlinie Zachodnim. To mi dało stabilizację oraz umożliwiło skonstruowanie stałego składu zespołu i prowadzenie programowej pracy nad repertuarem.



Orkiestra Kameralna Polskiego Radia Amadeus

© JACEK MÓTTA/ORKIESTRA AMADEUS

KB: Jak zostać dobrym dyrygentem?

AD: Każdy człowiek jest inny, ma inną osobowość, sposób komunikowania i pracy z ludźmi. Nie ma jednej recepty, jak zostać dobrym dyrygentem. Na pewno trzeba być bardzo dobrym muzykiem, posiadać wielką wrażliwość, umiejętność przekazywania swojego wyobrażenia o utworze i wnikliwego słuchania orkiestry. Słuchanie ciszy i wyczuwanie czasu między dźwiękami, wyczuwanie ich barwy – to ważny dar, który powinien posiadać dyrygent. Dźwięk można modelować niemal jak glinę. Nie da się jego kształtu określić teoretycznie. Każdy ma prawo inaczej słyszeć te czarne kropki na pięciolinii zwane nutami. Mogę inaczej poprowadzić frazę niż mój przyjaciel Jurek Maksymiuk – choć oboje kipimy energią, to jednak inną. Każdy z nas może odmiennie zinterpretować partyturę, więc te same utwory – tym bardziej jeśli są grane przez różne orkiestry – brzmią zawsze nieco inaczej. Dlatego ten zawód jest tak fascynujący. Ważna jest też znajomość psychologii, gdyż pracujemy z silnymi osobowościami, z których składa się orkiestra. Połączenie ich w jedno to podstawa jednolitego brzmienia i interpretacji. Jest wielu bardzo dobrych dyrygentów, ale nie wszyscy naznaczeni są tą charyzmatyczną iskierką, która powoduje muzyczne uniesienia podczas koncertu.

KB: A propos Jerzego Maksymiuka – przypomina mi się jego odpowiedź na pytanie, czy kobieta może być dyrygentem. Stwierdził: „Absolutnie nie, chyba że to jest Agnieszka Duczmal”.

AD: Kiedyś wielki Witold Rowicki powiedział, że na podium dyrygentkim w Filharmonii Narodowej nie może stać kobieta, po czym mnie zaangażował, a po koncercie pochwalił: „Dziecko, ty masz muzykę w rękach!”. Wtedy trochę przekornie przypomina-

łam, że przecież kobieta nie ma prawa stać w tym miejscu. Na to odrzekł: „Ale ty jesteś wyjątkiem potwierdzającym regułę”.

KB: Czy jest pani perfekcjonistką?

AD: Tak, ale jednocześnie wiem, że wszystko się może zdarzyć, bo ludzie są tylko ludźmi. Moja praca polega na nieustannym poprawianiu, cyzelowaniu, dążeniu do doskonałości. Każdy chce zdobyć swój Everest. Aż strach pomyśleć, co się stanie, gdy się go już osiągnie... Tym różnimy się od himalaistów, że stale jesteśmy w drodze na szczyt. Perfekcjonizm musi być naładowany emocją, bo muzyka jest emocją. Sposób prowadzenia frazy jest odpowiednikiem intonowania podczas mówienia. Aktorzy podają tekst z konkretną emocją. Podobnie dialogują różne grupy instrumentów, prowadząc swoje tematy, czyli melodie. Zagrać czysto i równo – to jeszcze nie wszystko. Dla mnie ważne jest rubato, czyli chwiejność tempa wynikająca z minimalnego wydłużania i skracania dźwięków podczas wykonywania frazy, ale tak, by średni czas taktu granego rubato był zgodny z oryginalnym. Na tempo wypowiedzania słów mają wpływ nasze emocje i to samo dzieje się w muzyce. Muzyką możemy opowiadać, przekomarzać się, ale też wołać, nawet krzyczeć. Człowiek, aby żyć, musi oddychać, podobnie jak musi oddychać muzyka. I to dosłownie – każdy muzyk w orkiestrze musi wziąć oddech w tym samym czasie i podobnie położyć smyczek na strunach, żeby dźwięk stał się jednolity i pulsował tym samym życiem. Orkiestra staje się jednym organizmem, który oddycha i opowiada jednym tempem, jednym znakiem zapytania, jednym czułym słówkiem czy wykrzyknikiem.

KB: Czy kiedykolwiek stanęła pani przed dylematem: rodzina czy kariera?

AD: Kiedy wróciłam z konkursu Karajana, spotkałam się z jedną z naszych znakomitych śpiewaczek. Ponieważ bardzo się lubiliśmy, pozwoliła sobie na chwilę szczerości. Powiedziała, że wprawdzie nie ma dzieci, ale chce jeszcze pośpiewać kilka lat, a potem kupi psy chow-chow i będzie prowadzić hodowlę. Przyznam, że zdumiało mnie to szczerze. Sztuka wymaga wyrzeczeń, ale w granicach rozsądku. Nie możemy zapominać o zwykłym, codziennym życiu w imię podążania wyłącznie drogą artystyczną, bo stajemy się wtedy samotnymi egoistami. A potem, po latach, zostajemy sami ze swoim egocentryzmem. Rodzina to wartość, której nic nie zastąpi. To miłość bezinteresowna i bezwarunkowa. Łączenie życia artystycznego z rodzinnym jest czasem trudne, wymaga wielokrotnie różnych wyrzeczeń i dokonywania wyborów. Ale to wszystko wzbogaca nasze życie i pozwala nam się spełnić.

KB: Pani córki w świecie muzyki również zajęły ważne pozycje.

AD: Przyznam, że bardzo mnie to cieszy. Obie tworzą piękną i niezwykłą muzykę. Są „obciążone” genami umuzykalnienia z obu stron, ponieważ mój mąż, Józef Jaroszewski, jest znakomitym kontrabasistą, a ich dziadek, Henryk Duczmał, był dyrygentem. Jestem z nich bardzo dumna, bo mają wyraziste osobowości i nie są tuzinkowymi muzykami. Starsza córka, Karolina, ukończyła Juilliard School of Music w Nowym Jorku. Jest koncertującą solowo wiolonczelistką i koncertmistrzem w Filharmonii Narodowej w Warszawie. Zaś młodsza, Anna, jest świetną dyrygentką współpracującą z wieloma orkiestrami i od 10 lat prowadzi ze mną Amadeusa.

KB: Właśnie, pracują panie razem. Czy pojawił się między wami rys rywalizacji?

AD: W żadnym wypadku! To jest piękne, że mamy do siebie zaufanie i możemy się wspierać. Pracujemy ze sobą już tyle lat i wiedzie się nam doskonale. Każda z nas jest inna i ma inne spojrzenie na muzykę, ale mamy podobną emocjonalność. Nie narzucam córkom swojego sposobu myślenia, mają więc możliwość rozwijania osobowości według własnej wrażliwości. Kiedyś Henryk Szeryng powiedział mi: „Pamiętaj, nigdy nie kieruj się wszystkimi krytykami, które będziesz czytać na swój temat. Jeżeli chciałabyś je wszystkie brać pod uwagę, stracisz osobowość. Idź własną drogą”. I tak też robię.

KB: Rozmawiamy w pani gabinecie, w którym oprócz nut znajdują się również sterty innych dokumentów. Zajmuje się pani w orkiestrze również typowym zarządzaniem?

AD: Jestem dyrektorem orkiestry będącej instytucją kultury, którą współprowadzą trzy podmioty: Samorząd Województwa Wielkopolskiego, Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego i Polskie Radio. Odpowiadam za wszystko: program, angaże, finanse. Szczęśliwie mam znakomitego wicedyrektora, Piotra Łuźnego, który dźwiga na swoich barkach mnóstwo spraw administracyjnych. Mamy też małe biuro organizacyjne, w którym pracują trzy osoby prężnie zajmujące

się sprawami impresariatu, piarowsko-marketingowymi oraz organizacyjnymi. Nieoceniona pani sekretarka prowadzi również sprawy kadrowe, zaś w księgowości pracują dwie osoby. Jak więc widać, nasza orkiestra jest kameralna także pod względem organizacyjnym. Rzadko orkiestry funkcjonują w tak małej obsadzie administracyjnej, z reguły posiadają rozbudowane działy impresaryjno-marketingowe. My natomiast staramy się minimalizować te koszty. Z konieczności.

KB: Czy kultura może utrzymywać się bez środków publicznych, przykładowo wyłącznie z mecenatu?

AD: W przypadku kultury wysokiej bardzo ważny jest mecenat państwa, gdyż nie mamy wykształconych odpowiednich mechanizmów pozwalających zdać się w tym względzie wyłącznie na mecenat zewnętrzny. Kultura wysoka określa naszą tożsamość. Nie możemy proponować narodowi tylko rozrywki masowej typu kabaret czy disco polo. To nie ten dział kultury rozwija nasz intelekt i nasze osobowości. Może nazewnictwem straszmy ludzi? Mówimy „muzyka poważna”, co od razu przeraża tych, którzy nie mieli możliwości zetknięcia się z nią. Obawiają się, że muzyka poważna jest jak szpinak – wygląda brzydko i na pewno jest niedobry, więc go nie lubią, a nawet nie próbowali... Wielokrotnie ludzie, którzy przypadkowo trafili na nasz koncert, przyznawali się potem, że przyszli po raz pierwszy, ale na pewno nie ostatni. Nie wiedzieli, że muzyka może dawać tyle radości i przeżyć. Denerwuję się, gdy we współczesnych piosenkach rytm, wybijany przez perkusję, jest ustawiony na pierwszym planie, przed piosenkarzem, przykrywając melodię i tekst. Nie rozumiem tego przedstawienia akcentów. To tak, jakby w operze orkiestra zagłuszała śpiewaka. To jest ogłuszanie słuchaczy.

KB: Popiera pani łączenie muzyki klasycznej z lżejszymi formami artystycznego wyrazu?

AD: Oczywiście, lubię synergię sztuk i łączę muzykę z malarstwem, tańcem i literaturą. Zaczęło się od projektu Mariusza Kałdowskiego „Cztery pory roku, cztery pory życia”, w ramach którego namalował 22-metrowy obraz inspirowany muzyką Vivaldiego. Był ustawiony za orkiestrą, a my w jego tle graliśmy „Cztery pory roku” Vivaldiego i „Cztery pory roku” Piazzolli. Po tym koncercie artysta domalował kilka scen pod wpływem muzyki Piazzolli. Na specjalne zamówienie z okazji obchodów Roku Chopinowskiego w 2010 r. Mariusz przygotował ogromny tryptyk, który był pokazywany podczas recitali Palecznego czy Blechacza, a także podczas wykonywanych przez naszą orkiestrę koncertów Chopina. Namalował także cykl obrazów ilustrujących „Obrazki z wystawy” Musorgskiego. To zresztą przykład rozbudowanej historii pokazującej, jak różne sztuki oddziałują na wyobraźnię artystów: Musorgski stworzył muzykę inspirowaną malarstwem, ja zrobiłam transkrypcję „Obrazków z wystawy” na orkiestrę kameralną, a Mariusz Kałdowski pod wpływem tego opracowania namalował kolejne obrazy ilustrujące tę muzykę. Zaś z okazji 50. rocznicy działalności Amadeusa, inspirowując się naszym nagraniem, Kałdowski stworzył interpretację malarską do „Wariacji

na temat Franka Bridge'a" Benjamina Brittena. Muzyka klasyczna i sztuka piękna świetnie się uzupełniają, tworząc wielowymiarowy spektakl.

W inny sposób programuję koncerty dla dzieci. Tworząc małe spektakle na estradzie Auli Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, korzystam ze współpracy szkoły baletowej. Wystawialiśmy już kilkakrotnie „Opowieść o dziewczynce z zapalkami” Jacka Rabińskiego według Andersena, a także „Karnawał zwierząt” Saint-Saënsa. To cykl 14 miniatur na dwa fortepiany i orkiestrę w dowcipny sposób prezentujący różne zwierzęta. W królewskim marszu lew wprowadza kury i koguty, antylopy, żółwie, słonia, kangury, rybki, osły, kukułkę, łabędzia, a nawet zwierzęta z dawnych epok. Instrumenty imitują dźwięki zwierząt, a uczniowie szkoły baletowej opisują tańcem ich charakterystyczne ruchy. Do tego dodałam jeszcze wiersze o zwierzętach polskich poetów. Na podobnej zasadzie prezentujemy „Obrazki z wystawy” Musorgskiego, które przenoszą słuchaczy do chatki Baby Jagi na kurzej stopce, a o zainteresowanie młodych widzów walczą tańczące w skorupkach kurczęta. Podczas koncertu „Podróż w 80 minut dookoła świata” prezentowaliśmy muzykę i tańce narodów z różnych kontynentów.

Staram się też łączyć muzykę współczesną, trudniejszą w odbiorze, z muzyką bardziej popularną. Dla publiczności poznańskiej muzyka współczesna nie jest szpinakiem. Zauważyli to między innymi przedstawiciele Polskiego Wydawnictwa Muzycznego, kiedy zobaczyli pełną salę na koncercie utworów nagrodzonych w Konkursie Muzyki XX i XXI Wieku dla Młodych Wykonawców. Odnoszę wrażenie, że młodzież lepiej rozumie muzykę współczesną niż pokolenie starsze, które wychowało się w dur-moll i trudno mu opuścić „bezpieczny” świat i przejść do chrząstów i kakofonii. Oczywiście trzeba być rozsądnym w doborze utworów współczesnych, bo – jak zawsze – są lepsze i gorsze. Z drugiej strony nigdy nie wiemy, co przetrwa wieki i zostanie uznane jako wartościowe przez następne pokolenia. Bacha też doceniono po latach, a my dopiero teraz odkrywamy Mieczysława Wajnera. Wielokrotnie sięgamy do muzyki jazzowej czy klezmerskiej, a także opartej na argentyńskim tangu, ciesząc się utworami Astora Piazzolli czy Martina Palmeriego.

KB: Jakie są pani prognozy dla muzyki przez duże „M”, u nas i na świecie?

AD: Gdyby media zajęły się tym tematem rozsądnie, to widziałabym lepszą przyszłość dla muzyki. Obecnie w radiu i telewizji nadaje się na okrągło zupełnie inny jej rodzaj. Również w gazetach czytamy jedynie anonse o koncertach rozrywkowych, jakby zapomniano, że muzyka to także koncerty symfoniczne, kameralne, wystawienia operowe i baletowe. Media wpajają ludziom, że muzyką jest tylko rozrywka, obawiając się, że stracą swoje audytorium. Ale przecież nikt nie żąda emitowania dwugodzinnego koncertu. Jeżeli są teledyski muzyki rozrywkowej, dlaczego nie może być takowych z muzyką klasyczną? I wcale nie chodzi od razu o eksperyment z Warszawskiej Je-

sieni. Gdziekolwiek na świecie gramy „Orawę” Kilara – reakcja publiczności jest entuzjastyczna. A to przecież nie jest muzyka rozrywkowa ani filmowa, lecz klasyczna. Kiedyś w telewizji regularnie nadawano audycje muzyczne czy transmisje z koncertów, również naszych. Z czasem byliśmy przesuwani na coraz późniejsze godziny, aż trafiliśmy do pasma nocnego, o czym poinformowali mnie kupcy z placu Wielkopolskiego. Aby przygotować stoiska i zakupić świeży towar, wstają już około drugiej w nocy. Kiedy rano szłam do pracy i przechodziłam przez plac, mówili: „Pani Agnieszko, widzieliśmy nasze Amadeuski o drugiej w nocy w telewizji. Świetnie graliście”. Teraz muzyka „poważniejsza” właściwie zniknęła z małego ekranu. Dzisiaj postawiłabym na kilkuminutowe teledyski z utworami muzyki klasycznej, ale stworzone z wysoką kulturą. Bo naszą powinnością jest także nauka smaku. Oburzają mnie sytuacje, w których skrzypaczki ubrane w stroje kabaretowe muszą grać, jednocześnie robiąc jakieś wygibasy. Nie na tym polega promowanie muzyki.

KB: Czy młodsze pokolenie muzyków pozwala patrzeć z nadzieją w przyszłość?

AD: Nadzieję napawa mnie nasza publiczność. Na koncerty chodzą oczywiście starsi, ale też młodzież. W koncertach dziecięcych biorą udział słuchacze w wieku od 1 roku do lat 80. Dużą rolę odgrywają rodzice. To oni jako pierwsi prowadzą dziecko na koncert i w domu włączają muzykę klasyczną. Na jednym z koncertów dziecięcych, który prowadziła Anna, siedziałam na widowni. Miejsca w rzędzie przede mną zajmowało małżeństwo z dziećmi w wieku 6 i 8 lat. Dzieci były zachwycone tym, co słyszały i widziały na scenie. Aż wstały i patrzyły jak oniemiałe. Tata również był zainteresowany, a mama... znużona, co chwilę pytała, czy już mogą wyjść. Dzieci zaprotestowały i zatrzymały ją do końca koncertu. Wtedy nasunęła mi się taka smutna refleksja, kto kogo powinien wychowywać. W szkołach muzycznych mamy sporo uczniów, ale jest dużo więcej dziewczynek niż chłopców. Rodzicom się wydaje, że panowie nie utrzymają rodzin, będąc muzykami. I niestety coś w tym jest, ale to już odrębny temat na poważną rozmowę.

KB: Muzyka jest językiem uniwersalnym. Czy skłania to polskich muzyków do wyjazdu w świat w poszukiwaniu lepszych warunków bytowych?

AD: Taką tendencję widać było wcześniej. W tej chwili poziom orkiestr w Polsce bardzo się podniósł i dzięki temu zatrzymujemy wielu dobrych muzyków w kraju. A lepiej jest żyć u siebie niż na obczyźnie, gdzie zawsze można usłyszeć: „Dobry z niego muzyk, ale obcy”. Tam przecież też są artyści, którzy zabiegają o miejsca pracy. Kiedy we Francji lub w Niemczech muzycy mają przesłuchanie na członka orkiestry i prezentują podobny poziom, zawsze to Francuz lub Niemiec zdobędzie angaż. I tak powinno być. Za granicę najlepiej pojechać z gościnnym występem.

Powinniśmy **kierować się** **wrażliwością**

O tajemnicach sztuki współczesnej, misji edukacyjnej i tworzeniu strategii galerii narodowej z **Olga Wysocką** rozmawiają Marzena Tataj i Kamil Broszko.



© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM

Olga Wysocka – politolożka, menedżerka kultury, zastępca dyrektora Zachęty Narodowej Galerii Sztuki. Absolwentka Wydziału Politologii Uniwersytetu Warszawskiego. Tytuł doktora nauk politycznych uzyskała w Europejskim Instytucie Uniwersyteckim we Florencji. Pracowała w Instytucie Polskim w Berlinie. W latach 2008–2018 związana z Instytutem Adama Mickiewicza, w którym w 2014 r. objęła funkcję zastępcy dyrektora. Laureatka stypendium im. Józefa Tischnera w Instytucie Nauk o Człowieku w Wiedniu. Autorka artykułów i opracowań nt. populizmu, demokracji oraz promocji i zarządzania kulturą.

Marzena Tataj: Misją Zachęty jest popularyzacja sztuki współczesnej jako istotnego elementu życia kulturalnego i społecznego. Od razu nasuwa się pytanie: czym jest sztuka współczesna?

Olga Wysocka: Sztuka współczesna, oryginalna i niezwykle różnorodna, proponuje odbiorcom nowe doznania artystyczne, jest skłonna do eksperymentowania, zwraca uwagę na rozwój cywilizacyjny, reaguje na nowy potencjał technologiczny. Formą wyrazu nie są już tylko obraz czy rzeźba, ale instalacje artystyczne, performance czy manifesty. Artysta jest twórcą idei. Sztuka zatem porusza i wywołuje refleksje u odbiorcy. Nie oznacza to, że kiedy przychodzimy do muzeum czy galerii, zapoznajemy się z biografią artysty i oglądamy jego prace, to mamy obowiązek się nimi zachwycić. Mamy prawo wyrażenia własnej opinii. Nawet negatywny osąd będzie świadczył, że nasze zmysły zostały poruszone, emocje wywołane i że zostaliśmy sprowokowani do jego wyrażenia. Zatem sztuka spełniła swoją rolę.

MT: Co w dzisiejszych czasach można uznać za sztukę? Czy jesteśmy wystarczająco przygotowani do jej świadomego odbioru?

OW: Sztuka współczesna jest wymagająca. Korzysta z wielu mediów, eksperymentuje, poszerzając pole swojej ekspresji. Nie ogranicza się, jak kiedyś, do obrazu, czyli płótna zamkniętego ramą. Artyści, na przykład Leon Tarasewicz, wychodzą często poza ramy obrazu i poza obowiązujące schematy. Do tego dochodzi kwestia zdolności widza do percepcji i jego gotowości do podążania za eksperymentem artystycznym.

MT: Czy należy dziś wyodrębnić zjawisko sztuki kobiecej? A jeżeli tak, to czym się ono charakteryzuje?

OW: Mówimy o zjawisku sztuki feministycznej, która w świecie zdominowanym przez mężczyzn zaczęła poruszać problem zarówno obecności kobiet w sztuce, jak i w całej kulturze i społeczeństwie. W Polsce pierwsze prace poruszające tę tematykę stworzyła Alina Szapocznikow. W latach 70. XX w. siła kobiet w sztuce nabrała szczególnego znaczenia – słynne prace Natalii Lach-Lachowicz zwracają uwagę na utrwalone schematy kobiecego wizerunku i seksualności. Performance'y Ewy Partum, która pojawiała się nago na ulicy, miały na celu wprowadzenie przechodniów w stan zakłopotania. Przykładów świetnych polskich artystek zali-

„Bardzo różnie i bardzo dobrze”, grafiki z kolekcji Zachęty, widok wystawy.



© MAREK KRZYZANIEK/ZACHĘTA NARODOWA GALERIA SZTUKI

czanych do nurtu kobiecego w sztuce jest wiele, warto wspomnieć o Zuzannie Janin, Joannie Rajkowskiej, Bognie Burskiej czy Julicie Wójcik.

MT: Widzowie nie wchodzi w świat sztuki współczesnej z obawy przed jej niezrozumieniem.

OW: Dlatego działalność Zachęty jest nastawiona na zachęcanie widzów do spotkania ze sztuką. Bez negatywnych konsekwencji. Wystarczy wejść do galerii i zobaczyć dzieło artysty, zastanowić się chwilę, czy przemawia do mnie, czy też nie. Pozostaje jedynie kwestia otwartości odbiorcy na eksperyment obcowania. Zadaniem dyrektorów współczesnych instytucji kultury, galerzystów i kuratorów jest zamienić lęk odbiorcy przed sztuką współczesną w zaciekawienie. My jednak idziemy o krok dalej i chcemy owo zainteresowanie zamienić w odwagę eksperymentowania, co w wielu przypadkach będzie nagrodzone uczuciem przyjemności i zadowolenia.

MT: Jak rozumiem, w tym celu Zachęta prowadzi szeroką działalność popularyzatorską i edukacyjną.

OW: Propagowanie sztuki współczesnej to kolejne zadanie Zachęty. Prowadzimy działalność edukacyjną wśród dzieci, przyjmujemy zorganizowane grupy szkolne. Zapraszamy na warsztaty rodziców z dziećmi, ale także samych dorosłych. Przy okazji każdej wystawy można eksperymentować ze sztuką, korzystając z różnych technik pracy artystycznej pod czujnym okiem edukatorów. Organizujemy również warsztaty dla seniorów, którzy bardzo chętnie korzystają z możliwości poznawania sztuki nowoczesnej i nie obawiają się krytycznego spojrzenia na nią. Podsumowując, sztuka współczesna ma funkcje terapeutyczne i poznawcze. Umożliwia inne spojrzenie na świat.

Kamil Broszko: Zachęta stawia na otwartość?

OW: Tak, stawiamy na otwartość, dosłownie i w przenośni. Jakiś czas temu wykonaliśmy modernizację budynku. Dostosowaliśmy przestrzeń do potrzeb osób niepełnosprawnych, co nie było łatwym zadaniem z uwagi na secesyjną architekturę i ochronę konserwatorską. Zlikwidowaliśmy nie tylko bariery architektoniczne, ale także funkcjonalne i psychologiczne. Organizujemy programy edukacyjne

dla widzów z niepełnosprawnością sensoryczną i osób z dysfunkcją wzroku. Stałą pozycją w naszym programie jest audiodeskrypcja oraz oprowadzanie z tłumaczeniem na polski język migowy. Zachęta jest miejscem otwartym dla wszystkich i na wszystkich.

KB: Jak tworzy się strategię programową instytucji publicznej?

OW: Każda instytucja kultury – zarówno publiczna, jak i prywatna – jest prowadzona przez kuratorów i ekspertów, którzy przygotowują jej strategię w oparciu o swoją najlepszą wiedzę, z uwzględnieniem misji i celów danej placówki. Na podstawie wypracowanej strategii tworzony jest program. Zachęta Narodowa Galeria Sztuki prowadzi działania związane z popularyzacją artystów polskich i zagranicznych z obszaru sztuki współczesnej XX i XXI w. Są to zarówno artyści młodzi, jak i uznane osobistości w świecie kultury. Sposób realizacji tego celu zależy od koncepcji artystycznej dyrektora i rady kuratorów. Spójrzmy zatem na rok 2019 w Zachęcie. Trwa wystawa prac Hiwy K, irackiego Kurda, który kilkanaście lat temu trafił do Europy jako uchodźca polityczny, a dziś zaliczany jest do czołówek światowej sztuki. Hiwa K przypomina o tym, że od wieków materia krąży pomiędzy polem wojny i polem kultury. Wojna jest początkiem i spoiwem jego twórczości, bo to ona zmusiła go do pełnej dramatyzmu wędrówki do Europy. Wystawa w Zachęcie, której kuratorką jest Aneta Szyłak, opowiada o konsekwencjach wojny, o ucieczce i mowie nienawiści, czyli porusza tematy, które dzisiaj są bardzo ważne i aktualne.

W dolnych salach Zachęty prezentujemy prace Liliany Porter, amerykańskiej artystki argentyńskiego pochodzenia, która w przewrotny sposób opowiada o dzisiejszym świecie. Porter kolekcjonuje małe figurki i za ich pomocą pokazuje, jak dziś dajemy się manipulować obrazami. Artystka prowokuje do zastanowienia się, jak bardzo podajemy się obrazom i jak potrafi nami rządzić popkultura; czy to, co widzimy, jest rzeczywiste, czy jest jedynie naszym wyobrażeniem.

Z kolei Anna Bella Geiger, brazylijska artystka polskiego pochodzenia, spojrzała na świat z perspektywy kosmosu. Powstały prace przypominające mapy Ziemi oraz mapy nieba, a wraz z nimi pojawiły się przewrotne pytania, czym jest kraj, państwo, nasze miejsce w świecie. Poprzez swoją twórczość artystka podejmuje tematy

Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych zostało założone w Warszawie w 1860 r. przez Aleksandra Lessera, Wojciecha Gersona, Alfreda Schouppé i Marcina Olszyńskiego jako organizacja skupiająca artystów i miłośników sztuki. Głównym celem działalności była popularyzacja sztuki polskiej, niesienie pomocy młodym artystom, działalność wydawnicza oraz organizowanie wystaw i konkursów. Siedziba Zachęty, zaprojektowana przez Stefana Szyllera, została wzniesiona dzięki wysiłkom Towarzystwa i hojności społecznej. Jej budowę rozpoczęto we wrześniu 1898 r., natomiast oficjalnego otwarcia dokonano 15 grudnia 1900 r. W budynku Zachęty 16 grudnia 1922 r. został zamordowany Gabriel Narutowicz, pierwszy prezydent RP.

Podczas II wojny światowej Zachęta została przekształcona w Haus der Deut-



© MARCEL WIECZOREK/ZACHĘTA NARODOWA GALERIA SZTUKI

**„Lewo, prawo, środek”,
instalacja Zuzy
Golińskiej,
2018 r.**

schen Kultur (Dom Kultury Niemieckiej), w którym odbywały się propagandowe imprezy niemieckie. Większość zbiorów przewieziono do Muzeum Narodowego w Warszawie. Kilkaset obrazów transportowano w otwartych ciężarówkach, nie wykonano żadnych spisów czy protokołów z tej procedury. Po wojnie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych nie zostało reaktywowane. Jego zbiory przeniesiono do Muzeum Na-

rodowego, gdzie dziś stanowią ważną część Galerii Malarstwa Polskiego. Gmach Zachęty przeznaczono na siedzibę Centralnego Biura Wystaw Artystycznych. W 1994 r. została powołana Zachęta Państwowa Galeria Sztuki. W 2003 r. decyzją ministra kultury i dziedzictwa narodowego Waldemara Dąbrowskiego galeria otrzymała status narodowej instytucji kultury i nazwę Zachęta Narodowa Galeria Sztuki.

przemieszczania się i trudów adaptacji w nowych warunkach, akceptowania odrębnej kultury i wrastania w nową społeczność.

Wspomniane przykłady pokazują, w jaki sposób realizujemy cele Zachęty. Prezentowani artyści i wybrane przez kuratorów prace opowiadają o wielu ważnych problemach, włączają widza do dyskusji i pobudzają do refleksji, stawiają pytania: gdzie jesteśmy? jaka rzeczywistość nas otacza? czy odpowiada nam świat, w którym żyjemy? czy jest coś, co możemy zmienić?

KB: Czy zatem credo Zachęty to wielogłos i różnorodność?

OW: Zachęta to miejsce spraw ważnych. Galeria powstała ponad 100 lat temu z inicjatywy samych artystów, którzy nie posiadali wiele, ale mieli ogromną wolę wspierania młodych twórców i opowiadania o polskiej sztuce poprzez ich prace. Artyści i miłośnicy sztuki powołali więc Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych. Zdołali uzyskać zgodę ówczesnych władz i zebrać środki umożliwiające zamówienie projektu i budowę pięknego gmachu, stanowiącego siedzibę Towarzystwa i przestrzeń dla sztuki.

Zachęta posiada ogromną kolekcję, liczącą ponad 3,5 tys. obiektów, tworzoną po 1945 r. i uporządkowaną w latach 90., w skład której wchodzi dzieła takich tuzów i klasyków sztuki XX w., jak Alina Szapocznikow czy Tadeusz Kantor, ale także współczesnych artystów: Mirosława Bałki, Katarzyny Kozyry, Wilhelma Sasnała, Wojciecha Bąkowskiego czy Anety Grzeszykowskiej. Dzisiaj do kolekcji trafiają prace artystów biorących udział w wystawach w Zachęcie, ale także podarowane przez samych artystów czy też zakupione dzięki środkom finansowym pochodzącym od sponsorów.

Wielkim skarbem jest dokumentacja polskiego życia artystycznego po 1945 r., zawierająca dokonania prawie 30 tys. twórców. Od kilku lat zasoby te są digitalizowane. Jest to proces kosztowny i trudny technologicznie, gdyż każda praca wymaga konserwacji i odpowiedniego przygotowania.

Zachęta to także Miejsce Projektów Zachęty, czyli nieduża przestrzeń wystawiennicza przy ul. Gałczyńskiego 3, w klimatycznym zakątku Warszawy. To strefa artystycznych eksperymentów, swiste laboratorium sztuki współczesnej, w którym młodzi artyści mogą pokazać swoje prace.

MT: Czy jest w Zachęcie miejsce na stałą ekspozycję własnych zbiorów?

OW: Ideą Zachęty jest pokazanie prac z owych zbiorów, choć nie stworzyliśmy stałej ekspozycji. Dlatego organizujemy wystawy poza naszą siedzibą oraz wypożyczamy zbiory innym instytucjom. Obecnie w Narodowym Forum Muzyki we Wrocławiu prezentowana jest wystawa „Kolekcje”, przygotowana przez Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku i Zachętę. Ekspozyty pochodzą z obu instytucji i stanowią reprezentatywny zbiór polskiej sztuki drugiej połowy XX w. i początku XXI w.

W Zachęcie organizujemy czasowe wystawy prac z naszej kolekcji. Na przełomie 2018 i 2019 r. pokazaliśmy grafikę z lat 50.–70. XX w. „Bardzo różnie i bardzo dobrze. Grafiki z kolekcji Zachęty” to wystawa przygotowana przez Małgorzatę Bogdańską, Joannę Egit-Pużyńską i Marię Świerżewską. Polska w owych czasach była światową potęgą w tej dziedzinie. Państwo dokonywało zakupów dzieł, umożliwiając tym samym rozwój sztuki. Mecenat państwowy jest nieodzowny, gdyż ze względu na burzliwą historię naszego kraju nie było szansy na wykształcenie się modelu prywatnego kolekcjonerstwa, a wiele zbiorów zostało zniszczonych, spalonych i rozkradzionych podczas wojny. Nieustannie zachęcamy do kolekcjonowania sztuki współczesnej, ale potrzeba czasu, aby ten trend utrwalił się w społeczeństwie, a pewien rodzaj lęku przed sztuką współczesną zniknął. Kolekcja jest także stale dostępna na naszej stronie internetowej. W ramach prowadzonego od 2011 r. projektu Otwarta Zachęta dzielimy się zasobami, w tym reprodukcjami

dziel ze zbiorów. Zdjęcia i filmy udostępniane są na licencjach Creative Commons, co pozwala na szersze ich wykorzystanie.

MT: Myślę, że wielu odbiorców obawia się sztuki współczesnej, bo nie czują się wystarczająco wyedukowani w tej kwestii. A może wystarczy zdać się na własną wrażliwość?

OW: W wielu sytuacjach człowiek powinien kierować się własną wrażliwością. To czuła struna, którą poruszyć może właśnie spotkanie ze sztuką. To ona powoduje, że jesteśmy ludźmi. Dzisiaj rzeczywistość realna miesza się z rzeczywistością wirtualną. Nie wiadomo, co jest prawdą, a co fake newsem. Zalewa nas potok treści w trybie online i offline. Przekazywanie informacji samo w sobie niesie ryzyko manipulacji, zatem odbiorca sam musi oddzielać ziarno od plew. Sztuczna inteligencja już wywiera wpływ na życie człowieka, grozi nam wypieranie ludzi z wielu dziedzin życia na rzecz robotów. Wielcy kreatorzy nowych czasów, jak Jack Ma (twórca Alibaby) czy Larry Page (twórca Google'a), apelują o rozwijanie umiejętności plastycznych jako potencjału wrażliwości i emocjonalności. Bo wrażliwość ludzka i emocje to jedyne przewagi człowieka nad robotami, które jako twory sztuczne są ich pozbawione. W dzisiejszym świecie rozwój wrażliwości i emocjonalności odbiorcy jest powinnością instytucji kultury. Szczególnie w sytuacji, gdy brakuje zrozumienia i wsparcia po stronie państwa w tym obszarze.

MT: Czy nadal jest ważne, aby informacja była artystycznie „opakowana”?

OW: Od wieków obraz towarzyszył informacji, a w dzisiejszych czasach jest on szczególnie ważnym elementem przekazu. Żyjemy w dobie obrazów. Media drukowane rządzą się swoimi prawami, a ich wydania internetowe ulegają modyfikacji, zgodnie ze współczesnymi potrzebami. Treści są skracane i upraszczane, dominuje przekaz wizualny, młode pokolenie zwraca się ku Instagramowi. Obraz i grafika są niezwykle ważne, niezależnie od grupy docelowej. Warto, aby były najwyższej jakości. Polscy graficy, jak Daniel Ryski, Edward Bąk, Agata Endo Nowicka czy Magdalena i Artur Frankowsky, są doceniani w świecie.

MT: Sztuka współczesna to dialog i współpraca różnych dziedzin kultury.

OW: To prawda. Widoczne jest to w wielu naszych przedsięwzięciach artystycznych. W zeszłym roku zrealizowaliśmy projekt „Plac Małachowskiego 3”, którego kuratorką była Magda Komornicka. Dzięki niemu po ponad 100 latach plac przed Zachętą został odebrany samochodom i przywrócony ludziom – dostaliśmy zgodę na zamknięcie placu dla ruchu kołowego i tym samym likwidację parkingu. Odzyskane miejsce stało się przestrzenią sztuki. Zuza Golińska zrealizowała w niej projekt „Lewo, prawo, środek”. Były to kładki przerzucone ponad schodami wejściowymi gmachu. Prowadziły one widzów z zielonej przestrzeni placu wprost do galerii przez troje otwartych na oścież wielkich drzwi. Część przechodniów myślała, że

Zachęta jest w remoncie. Kładki wymusiły inny sposób poruszania się po placu i spowodowały, że widzowie nagle odkryli piękną fasadę budynku. Owa fasada pojawiła się także w instalacji „Arena III” Izy Tarasewicz, w której cały budynek został opleciony liną. W ten sposób artystka stworzyła arenę do rozmowy, zwracając uwagę, że powinnością instytucji kultury jest dzisiaj tworzenie miejsca dialogu.

Kolejny przykład to wystawa „Lalki: teatr, film, polityka”, którą można oglądać od 19 marca. Jej kuratorką jest Joanna Kordjak. Wystawa odwołuje się do historii teatru lalkowego i do samych lalek jako obiektów sztuki, tworzonych przez uznanych artystów, takich jak Leokadia Serafinowicz czy Jerzy Kolecki. Silnie wybrzmi również związek muzyki z teatrem lalek, dla którego pisali najwięksi kompozytorzy, choćby Krzysztof Penderecki, który skomponował muzykę do spektaklu „Król Ubu”. Również ten przykład pokazuje, że wszystkie rodzaje sztuk potrafią się przenikać i wzajemnie inspirować.

MT: Pod koniec marca w Zachęcie zobaczymy wystawę „„Polska« na eksport”, która w ciekawy sposób ukazuje aspekt promocji kraju na świecie poprzez sztukę.

OW: Tak. Kuratorkami wystawy są Marta Przybyło i Karolina Pučała-Rojek. Ekspozycja ukaże historię magazynu „Polska”, który powstał w 1954 r., szczególnie rozkwitł w latach 60., a zawieszono jego wydawanie w styczniu 1982 r., tuż po ogłoszeniu stanu wojennego. Ukazywał się w ośmiu wersjach językowych, a jedną z edycji wydano nawet w języku suahili. To wydawnictwo było pierwszą po wojnie opowieścią o Polsce skierowaną do zagranicznego odbiorcy. Jego celem było pokazywanie Polski jako kraju atrakcyjnego i nowoczesnego. Magazyn jest bardzo interesujący także ze względu na rangę fotografów reportaży, których zdjęcia publikowano. Był wśród nich między innymi Tadeusz Rolke. Interesuje nas utrwalenie obrazu tamtego czasu, sposób przygotowania i prezentowania reportażu, ale także forma, w jakiej opowiadano o Polsce, aby wzbudzić zainteresowanie zagranicznego odbiorcy.


KB: A propos zagranicznego odbiorcy – czy Zachęta jest produktem turystycznym?

OW: Mamy to szczęście, że jesteśmy znani i rozpoznawani na świecie. Ze względu na bliskość Traktu Królewskiego i klasę zabytku samego gmachu Zachęty jesteśmy na szlaku turystycznym. Współpracujemy z Warszawską Organizacją Turystyczną. Oprowadzamy również w języku angielskim, bo wśród naszych gości dominują anglojęzyczni turyści z całego świata. Widzimy też rosnące zainteresowanie ze strony wschodnich sąsiadów, szczególnie z Ukrainy, którym chcielibyśmy przybliżyć polską sztukę współczesną, organizując oprowadzania w języku ukraińskim. Zachęta realizuje także projekty z zagranicznymi galeriami, przykładowo w zeszłym roku w Kunsthaus w Dreźnie została pokazana wystawa prac Mariana Bogusza.

Polских i zagranicznych gości zapraszam do eksperymentowania ze sztuką współczesną. To fantastyczna przygoda, zarówno wizualna, jak i intelektualna. Zachęcam.

Sztuka to mój język komunikacji ze światem

O duchach dawnych twórców i ich wpływie na współczesną sztukę, urzekającej abstrakcji i o edukacji artystycznej z **Kingą Nowak** rozmawia Kamil Broszko.

A portrait of Kinga Nowak, a woman with short brown hair and bangs, wearing a black sleeveless top. She is smiling slightly and looking towards the camera. The background is a colorful abstract painting with blue, yellow, and green shapes.

Kinga Nowak – artystka wizualna, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. W latach 2000–2002 studiowała w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Pięknych w Paryżu. Była gościnnym wykładowcą w London College of Communication UAL. Laureatka Stypendium Twórczego Miasta Krakowa oraz stypendium z programu Młoda Polska (2005 r.). W 2014 r. jej prace zostały opublikowane w albumie „100 Painters of Tomorrow” wydawnictwa Thames & Hudson. Swoje prace prezentowała m.in. w Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK w Krakowie, MODEM – Centrum Sztuki Nowoczesnej i Współczesnej w Debreczynie, Galerii Biała w Lublinie, Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach, galerii Lokal_30 w Warszawie. Od trzech lat wraz z Michałem Bratko prowadzi niekomercyjną przestrzeń działań artystycznych Widna w Krakowie.

Kamil Broszko: Spotykamy się w pracowni, która niegdyś należała do Jerzego Jarockiego.

Kinga Nowak: To prawda. Jerzy Jarocki mieszkał tutaj podczas pracy przy realizacjach sztuk dla Teatru Starego w Krakowie. Miejsce to wygląda teraz oczywiście inaczej, ale lubię myśleć, że jest z nim związany duch wielkiego artysty.

KB: A taki duch jest zobowiązaniem, napędem twórczym czy raczej obciążeniem?

KN: Jest zobowiązaniem i motywacją. Kiedyś podczas pracy słuchałam audycji radiowej Programu II Polskiego Radia o Jerzym Jarockim. Opowiadali o nim aktorzy i scenografowie, wspominali, jak spotykali się u niego w pracowni. Było mi bardzo miło, że teraz ja pracuję w tym miejscu.

KB: A gdyby ten kontekst tworzenia rozszerzyć, wszak w Krakowie tworzył choćby Jan Matejko... Czy myśląc o swojej genezie, sięga pani tak daleko, czy raczej odnosi się do tego, co tu i teraz?

KN: Tradycja sztuki artystów związanych z Krakowem – od wspomnianego Jana Matejki, Stanisława Wyspiańskiego, Józefa Mehoffera aż po Grupę Krakowską – silnie oddziałuje na dzisiejszych twórców. Nie można także pominąć osiągnięć Andrzeja Wróblewskiego, Tadeusza Kantora, Marii Jaremy czy Edwarda Krasińskiego, który wprawdzie nie tworzył w Krakowie, ale tu studiował. Każda z tych postaci – ale też wiele innych – miała wpływ na klimat artystyczny tego miejsca. Tworząc dzisiaj, mamy szeroki dostęp do informacji. Ja korzystam ze wszystkich możliwych źródeł. Kilka lat spędziłam w Düsseldorfie. Potem ponad dwa lata mieszkałam i studiowałam w Paryżu, byłam też na stypendium w Londynie. Dzięki temu miałam szeroki dostęp do kultury w Europie. Ale Kraków oczywiście jest szczególnym miejscem i ma szczególną wagę.

KB: Co wywiera obecnie najsilniejszy wpływ na pani sztukę?

KN: Teraz moje zainteresowania krążą wokół innych zjawisk w sztuce niż jeszcze kilka lat temu. To zmienia się z biegiem czasu. Najważniejsze było dla mnie dotarcie na nowo do awangardy, która w Krakowie była i jest bardzo istotna. Ten kierunek artystyczny, obecny w krajach Europy i w Ameryce, właśnie tutaj wytworzył szczególną jakość. Bardzo ciekawa, prezentowana niedawno w Cricotece wystawa Marii Jaremy wydobyła właśnie ten wyjątkowy charakter jej twórczości, który wynika ze styku obrazu, teatru, obiektu i działania performatywnego. Ważne są też dla mnie realizacje artystów związanych z amerykańskim ruchem hard-edge painting (malarstwo ostrych krawędzi), którzy wywodzili się z malarstwa abstrakcyjnego, a przeszli do realizacji przestrzennych, malarskiego obiektu czy rzeźby. Szczególnie istotna wydaje mi się odkryta niedawno twórczość Carmen Herrery, która jako kobieta i emigrantka z Kuby nie mogła funkcjonować na równych zasadach w środowisku artystycznym Nowego Jorku lat 40. XX w. i długo



© MARCIN LIMINOWICZ

„Efekty uboczne”,
widok wystawy, BWA Katowice, 2017 r.



© MICHAŁ BRATKO (2)



„Całkiem możliwe”,
widok wystawy, galeria Lokal_30, 2018 r.

„Polski las”, widok wystawy, Galeria Biała, 2018 r.



pozostawała nieco na obrzeżach tego ruchu artystycznego. Cenię aktualne realizacje pochodzącej z Bangladeszu Rany Begum, które w bardzo interesujący sposób wchodzą w interakcję z architekturą. Ciekawe są dla mnie oparte na zestawieniu tkaniny i metalu obiekty niemieckiej artystki Evy Berendes, a także inspirowane formami odzieży rzeźby tworzącej w Chicago Diane Simpson. Niezwykłą ceramikę realizowała Betty Woodman, która dekonstruując ją, wniosła do tej techniki zupełnie nową wartość. Inspiracji jest dużo.

KB: U wielu artystów w całym okresie działalności twórczej można wyróżnić różne etapy. Czy tak też jest w pani przypadku?

KN: Zmieniam się, ale niezależnie od tego, czy sięgam po figurację, abstrakcję, czy formę przestrzenną, staram się mówić spójnym językiem, pochodzącym z jednego świata. Szczególnie istotny jest dla mnie cykl obrazów powstały w latach 2010–2015, kiedy nawiązywałam do kultury antycznej i inspirowałam się Afryką, w tym zwłaszcza wizualnym aspektem maski afrykańskiej. Moje prace z tego okresu znalazły się w publikacji „100 Painters of Tomorrow” wydawnictwa Thames & Hudson, co było ważnym wyróżnieniem. Jednocześnie pozwoliły mi w płynny sposób przejść do tego, co robię teraz. Sztuka afrykańska pojawiała się w moim życiu kilka razy. Jako dziecko mieszkalam w Olkuszu. W tym czasie otwarte zostało muzeum afrykanistyczne. Miałam możliwość obserwowania, jak ono powstaje, mogłam dotykać eksponatów, czuć ich bliskość. Następny kontakt ze sztuką afrykańską miał miejsce w Berlinie, gdzie pracowała moja mama. W Martin-Gropius-Bau odbywała się bardzo duża wystawa sztuki afrykańskiej. Zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Przede wszystkim urzekła mnie pro-



stota, która dominowała w tej sztuce. To zapoczątkowało moją późniejszą drogę w kierunku abstrakcji.

KB: Plakat tegorocznego Wielkanocnego Festiwalu Ludwiga van Beethovena wydaje się kwintesencją owego abstrakcyjnego nurtu w pani twórczości.

KN: Stowarzyszenie im. Ludwiga van Beethovena poprosiło mnie o zaprojektowanie plakatu na tegoroczny Festiwal. To było dla mnie duże wyróżnienie. Obdarzono mnie całkowitym zaufaniem i miałam pełną swobodę twórczą. Odwołam się do języka abstrakcji i do form, których pierwowzorami są litery. Za pomocą liter chciałam zilustrować rytm, instrumenty muzyczne i słowo „Beethoven”.

KB: Jaka jest dzisiaj rola sztuki?

KN: Inna jest jej rola dla odbiorcy, a inna dla artysty. Przy czym dla każdego twórcy może być różna. Świadomie wybrałam drogę sztuki i nie wyobrażam sobie innej. Cieszę się, że mogę się zmieniać, w mojej pracy nie ma nudy. Sztuka to mój język komunikacji ze światem zewnętrznym.

KB: A jaka jest rola piękna w sztuce?

KN: Obok piękna nie sposób przejść obojętnie – tak silnie działa na nasze zmysły i nas wzbogaca. Zatem doświadczanie piękna jest bardzo istotne, choć zdarza się, że sztuka kwestionuje jego wartość.

KB: Czy to może oznaczać, że dzisiaj piękno stało się mniej oczywiste i dostrzegamy inne jego aspekty?

KN: Dawne kanony piękna nie dewaluują się. Kiedy stoimy przed renesansowym obrazem, widzimy wszystkie aspekty piękna, bo ono nadal jest wyznacznikiem naszej oceny sztuki. Tak było

i jest. Być może nasze postrzeganie i rozumienie piękna dziś się zmieniło, w czym innym je odnajdujemy, ale pojęcie to stale określa najwyższą wartość.

KB: Środki masowego przekazu informują o sztuce zazwyczaj wtedy, gdy dochodzi do rekordowych wycen obrazu czy rzeźby. Czy nie jest to krzywdzące dla artystów, że w powszechnym odbiorze sprowadza się ich dzieło do aspektów merkantylnych?

KN: To przywilej mediów, że szukają sensacji, zresztą nie tylko w sztuce. Rynek rządzi się swoimi prawami, wykorzystuje fakt, że na człowieka oddziałują maksima. Cena nie jest oczywiście wyznacznikiem wartości artystycznej dzieła, ale działa w sposób symboliczny, bo może wpływać na pozycjonowanie zjawisk w sztuce.

KB: Czy tworząc obraz, myśli pani o wycenie?

KN: Kiedy tworzę – nie. Ale jednocześnie mam świadomość, że artysta funkcjonuje na rynku sztuki i jest jednym z jego elementów.

KB: Afisz dla Wielkich Pytań w Krakowie to już drugi przykład pani plakatu. Jak podchodzi pani do sztuki użytkowej?

KN: Tak, niedawno zrealizowałam plakat do wykładu „O odczytywaniu myśli i wolnej woli” Johna-Dylana Haynesa, który odbył się z inicjatywy Copernicus Center. Oba plakaty to dość specyficzne zamówienia, które nieczęsto się zdarzają, bo organizatorom zależało na autorskim projekcie, więc trudno traktować je w kategoriach sztuki użytkowej.

KB: Czy rozpatruje pani tworzenie sztuki komentującej, zaangażowanej społecznie?

Od lewej:
„Koty”, 130 × 150 cm,
olej na płótnie,
2010 r., dzięki
uprzejmości artystki
i Marty Skłodowskiej.

„Dziedzictwo”,
150 × 100 cm, olej
na płótnie, 2019 r.,
dzięki uprzejmości
artystki i Oskara
Knuplerza.

„Zanurzenie”,
150 × 210 cm, olej
na płótnie, 2013 r.,
dzięki uprzejmości
artystki oraz Sylwii
i Piotra Krupów.



KN: To ważna część sztuki, zwłaszcza współcześnie, w dobie mediów społecznościowych. Jest wiele ważnych i trudnych tematów, np. związanych z ekologią czy równouprawnieniem, które są podejmowane przez artystki i artystów. Jesteśmy częścią społeczeństwa, dlatego wielu twórców uważa za swój obowiązek mówić o tych sprawach, dotykać tematów niewygodnych, związanych np. z pamięcią historyczną. To jest bardzo istotna rola sztuki. Moja postawa wobec wielu zjawisk społecznych nie jest obojętna i manifestuję ją, jednak nie zawsze bezpośrednio za pomocą sztuki.

KB: Jest pani profesorem ASP w Krakowie i prowadzi zajęcia z młodzieżą. Jak można ją ocenić?

KN: Przedmiotem oceny jest dla mnie praca i świadomość. Ludzie rozwijają się w różny sposób. Niektórzy dojrzewają szybko i są gotowi wejść w życie artystyczne od razu po ukończeniu studiów albo jeszcze w ich trakcie. Innym zabiera to znacznie więcej czasu. Szkoły artystyczne wiele lat żyły mitem artysty, który musi ponieść pewną cenę za uprawianie sztuki. Najczęściej tą ceną stawiało się niedostosowanie społeczne. Obecnie artyści po ukończeniu szkoły powinni być dobrze przygotowani do funkcjonowania w rzeczywistości. Uczelnia powinna być pomostem do życia artystycznego. Na Wydziale Malarstwa ASP ten problem jest stale przedmiotem naszych dyskusji. Opublikowaliśmy niedawno najnowszy, 12. numer „Zeszytów Malarstwa”. Ich redakcję objęłam po prof. Jacku Waltosiu, z którym współpracowałam przy poprzednich numerach. Tematem aktualnego wydania jest właśnie dydaktyka. Teksty, często krytyczne, odnoszą się do sytuacji w wielu ośrodkach akademickich. Dydaktycy mogą wiele zmienić, jednak aby absolwentom uczelni było łatwiej, muszą zaistnieć do tego warunki. Mam tu na

myśli zarówno odbiorcę, jak i rynek, który powinien być gotowy do przyjęcia nowych zjawisk w sztuce.

KB: Czy młodzieży jest trudno, bo choć ma swoją koncepcję twórczą, to w zderzeniu ze światem i tak przeżyje rozczarowanie?

KN: Istotą problemu jest to, czy młodzi ludzie będą w stanie żyć ze swojej pasji artystycznej. Łatwiej realizować marzenia, gdy rynek dobrze funkcjonuje. Kiedy środki są skromne i w dodatku pojawiają się doraźnie, to nie pozwalają na stabilny rozwój. A tylko ciągłość daje szansę rozwoju.

KB: Dziś ASP w Krakowie to również pani i wielu młodych dydaktyków, ale czy nie jest tak, że prawdziwe reformy wymagają swoistej masy krytycznej w kwestii zmiany pokoleniowej?

KN: Uczę w pracowni malarstwa, prowadzę gościnne wykłady na studiach doktoranckich, pracuję w redakcji „Zeszytów Malarstwa” i kwartalnika „Wiadomości ASP”, w którym ważne miejsce zajmują studenci i absolwenci. Stale publikujemy materiały dotyczące ich pracy i osiągnięć. Od trzech lat prowadzę także – wraz z artystą Michałem Bratko – niezależną i niekomercyjną przestrzeń działań artystycznych Widna, gdzie pokazujemy najnowsze zjawiska w sztuce współczesnej, twórców z pokolenia lat 80. i 90., niedawnych absolwentów. Widna jest naszym praktycznym wkładem w promocję młodych artystów. To jest właśnie zmiana pokoleniowa, o którą pan pyta. Ważne jest jednak, by uczelnia była środowiskiem wielopokoleniowym. Podejście starszego pokolenia lepiej pokazuje, że sztuka to dyscyplina długodystansowa. Najważniejsze, żeby różne postawy dochodziły do głosu i współistniały.

Staje przede mną człowiek

O systemie, który zamiast pomagać przeszkadza w pomaganiu, o postępującej dehumanizacji relacji społecznych i nadziei, którą dają oddolne inicjatywy, z siostrą **Małgorzatą Chmielewską** rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Ilu osobom siostra dzisiaj pomogła?

Siostra Małgorzata Chmielewska: Nie da się tego policzyć. Przewodniczę Fundacji Domy Wspólnoty Chleb Życia i Wspólnocie Chleb Życia, w których pracuje bardzo wielu ludzi – wszyscy pomagamy. Prowadzimy domy dla ludzi bezdomnych, w tej chwili mieszka w nich około 300 osób. Działamy też na wielu innych polach. Pomagamy osobom ubogim mieszkającym u siebie – nie bezdomnym, ale żyjącym w nędzy. Co roku remontujemy jedno lub dwa mieszkania czy domy ludzi, którzy żyją w koszmarnych warunkach. To są przede wszystkim osoby samotne, starsze, niepełnosprawne. Prowadzimy też świetlice dla dzieci na wsi, gdzie organizowane są zajęcia plastyczne, muzyczne, w tym indywidualna nauka gry na instrumencie, nauka języków. Rozwozimy żywność, prowadzimy również ogromny fundusz stypendialny, zarówno dla uczniów i studentów, jak i dla osób niepełnosprawnych. Trudno to wszystko zliczyć. Kiedy człowiek nie ma co jeść, nie ma w co się ubrać czy nie ma dachu nad głową, wsparcie materialne jest podstawą, ale to nie jedyna forma pomocy. Nie można od takiej osoby oczekiwać, że będzie natychmiast sprawna i gotowa, by wrócić do życia społecznego. Inna sprawa, że wielu naszych mieszkańców już nigdy do niego nie powróci – są zbyt starzy, chorzy lub niepełnosprawni, by żyć samodzielnie czy pracować.

KB: Skąd wiadomo, komu pomagać?

MCh: Nie jesteśmy panami i bogami ani też zbawicielami, wobec tego nie podejmujemy się zreperowania całego świata. Podjęliśmy się naprawiania go w granicach naszych możliwości – jako ludzie wierzący, ale też jako obywatele czy po prostu ludzie. Oczywiście nie robimy tego sami, tysiące osób wspiera nas w miarę swoich możliwości, a każdy gest jest ważny. W 2017 r. pewna pani przelała na nasze konto 20 zł i do dziś użera się z urzędem skarbowym, który każe jej przedstawić sprawozdania fundacji, mimo że można je pobrać ze strony internetowej. Chciała pomóc, ale myślę, że drugi raz już tego nie zrobi. To przykład gnębienia człowieka. A wracając do pytania – nie szukamy ludzkiej biedy, tylko ją spotykamy i staramy się na nią odpowiadać. Tak też było w 1989 r., kiedy zaczynałam działalność. Wraz z przyjaciółką Tamarą, z którą współpracuję do dzisiaj, spotkałam po prostu ludzi bezdomnych i postanowiłam się nimi zająć. Do założenia funduszu stypendialnego zainspirowała mnie dziewczyna, która chciała pożyczyć 50 zł na internat, bo groziło jej wyrzucenie, a była w klasie maturalnej. Wtedy przyszło mi do głowy, że być może

nie ona jedna jest w takiej sytuacji. Kolejne budowane przez nas domy dla ludzi niemających dachu nad głową to obiekty, które odpowiadają konkretnym potrzebom, jakie napotykamy. Najpierw powstał dom dla ludzi bezdomnych. Później okazało się, że potrzebny jest osobny dom dla kobiet, kolejny dla osób chorych, następny – na wsi. Teraz znów okazuje się, że musimy mieć więcej miejsca dla ludzi starych i chorych. Pilne jest też wybudowanie schroniska dla ludzi bezdomnych w Warszawie. Są chętni, aby je wznosić, staramy się o działkę od miasta, ale na razie bezskutecznie. Sprawa jest nagląca, bo nieustannie przybywa ludzi starych, chorych, niepełnosprawnych – dotyczy to całego społeczeństwa, a ludzi bezdomnych w szczególności. Wielu z nich przepracowało całe życie, ale splot okoliczności spowodował, że wyładowali na bruku.

KB: Czy zwiększa się liczba ludzi proszących siostrę o pomoc?

MCh: Od 1989 r. tworzone w Polsce publiczny system pomocy ludziom bezdomnym, który obecnie jest zupełnie absurdalny, ponieważ wyklucza znaczną część z nich. System miał służyć całkowitemu uporządkowaniu, w związku z czym powstał kompletny chaos. Czy jest więcej ludzi bezdomnych? Myślę, że jest ich bardzo dużo. W każdym społeczeństwie, również w naszym, a jesteśmy społeczeństwem rozwiniętym i bogatym, jest grupa ludzi, którzy cierpią biedę. To są ci najsłabsi, czyli osoby starsze, niepełnosprawne, schorowane itd. Na nich nie chcemy dawać pieniędzy. Budżet państwa można porównać do tortu. W każdej normalnej rodzinie – a jest ich, mam wrażenie, coraz mniej – ten najsłabszy, stary, chory dostaje najlepszy kąsek. Tak przynajmniej mnie wychowano i jest to zgodne z etyką chrześcijańską. Natomiast w naszym kraju podział tortu wygląda tak, że największe i najgrubsze kęski dostają ci, którzy są silni i których potrzeby stale rosną. Nie jestem absolutnie wrogiem autostrad ani wieżowców, ani siłowni w parkach. Natomiast gdy mamy wybór i pula jest ograniczona, to powinniśmy się zastanowić, czy nie dać najsłabszym trochę więcej.

KB: Państwo jednak pomaga w jakiś sposób ludziom bezdomnym, choćby organizując dla nich noclegownie.

MCh: Jeśli chodzi o zajmowanie się ludźmi bezdomnymi, tendencja jest taka – również ze względu na zmianę wcześniejszego prawa – że najbardziej opłaca się otwierać ogrzewalnie i noclegownie. Do tego typu placówek duża część ludzi bezdomnych

i trzeba mu pomóc

nie trafia i nie powinna trafiać. Sporo ludzi po prostu nie potrafi znieść trudnych warunków, jakie zazwyczaj tam panują, między innymi przemocy. Ona nie musi wynikać ze złego zarządzania takim obiektem, po prostu jeżeli zamyka się w jednym budynku 300 osób na noc, to będą tam zachodzić typowe procesy społeczne, czyli będą wygrywać najsilniejsi. Wiadomo, że ogromna część osób bezdomnych to ludzie starzy, chorzy, niepełnosprawni, wymagający pełnej opieki. Dużo kosztowniejszą formą pomocy jest zapewnienie ludziom dachu nad głową przez całą dobę, pomocy socjalnej, medycznej, ale także relacji międzyludzkich. Przepraszam za wyrażenie – absolutnie nie chcę obrażać ludzi bezdomnych – ale przez państwo są traktowani jak śmieci. Państwo ma czyste sumienie, bo dba, by bezdomny nie zamarzł nocą, a to, czy zamarznie w dzień, to jest już państwu obojętne. Co więcej, organizacje i stowarzyszenia, które całościowo chcą dawać ludziom

nadzieję i szansę, w tej chwili są obciążone drakońskimi restrykcjami prawnymi. Aby się dostać do schroniska, trzeba uzyskać decyzję administracyjną, na którą można czekać w noclegowni na przykład trzy miesiące. Będąc na wózku, bo i takie przypadki mieliśmy, albo prosto po wypisie ze szpitala. A pamiętajmy, że decyzję wydaje cały zespół urzędników.

KB: Skąd takie rozwiązania? Czy prawo dotyczące pomocy bezdomnym nie jest z nikim konsultowane?

MCh: Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej wydało 19 mln zł na ustalenie standardów w schroniskach dla ludzi bezdomnych. Oczywiście zarobili na tym wszyscy, tylko nie bezdomni, a jak wiadomo, na biedakach można świetnie zarobić. Jedna z reguł ustalonych przez MRPiPS mówi, że aby przyjąć bezdomnego chorego, trzeba prowadzić specjalną placówkę świadczącą tzw. usługi

Małgorzata Anna Chmielewska (ur. 20 marca 1951 r. w Poznaniu) – siostra zakonna, przełożona Wspólnoty Chleb Życia. Ukończyła biologię na Uniwersytecie Warszawskim. Pracowała jako katechetka z niewidomymi dziećmi w Laskach i w duszpasterstwie niewidomych u ks. Stanisława Hoinki na ul. Piwnej w Warszawie. Organizowała także pomoc dla kobiet z więzienia przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. W 1990 r. wstąpiła do francuskiej Wspólnoty Chleb Życia i założyła pierwszy dom dla bezdomnych w Bulowicach koło Kęt. Śluby wieczyste złożyła we Francji w 1998 r. Obecnie prowadzi dziewięć domów dla ludzi bezdomnych, chorych, samotnych matek. W swoich działaniach i artykułach podkreśla znaczenie ekonomii społecznej. Z troską wyraża się o osobach wykluczonych z życia społecznego, próbuje przywrócić je do społeczeństwa.

© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM



opiekuńcze, nie może on trafić do zwykłego schroniska. W całej Polsce takich placówek jest bardzo niewiele. Za przyjęcie człowieka bezdomnego chorego – oczywiście do schroniska współfinansowanego ze środków publicznych – grozi kara 20 tys. zł. U mnie 90 proc. ludzi bezdomnych to osoby chore – psychicznie, fizycznie, dwa w jednym, terminalnie itd. Pytałam nawet kiedyś panią minister, czy te kary są za pakiet, czy od łebka. Inna ciekawa norma – schroniska dla chorych bezdomnych muszą być wyposażone w pisuary. Proszę sobie wyobrazić, że jest tam 80 osób, z tego mniej więcej 60 nie wie, jak się nazywa, kilkanaście jest na wózku, większość musi stałe leżeć i ja mam im zawieszać pisuary, których ludzie w życiu nie widzieli, nie potrafią z nich korzystać, a w ogóle to często siusiąją na podłogę i kupą smarują ścianę. Mamy zatem w prawie idiotyzmy, które ktoś z niewiadomych powodów wymyśla. Kierownik schroniska musi mieć ukończony roczny kurs organizacji pomocy społecznej. Ta nazwa powinna brzmieć: kurs dezorganizacji pomocy społecznej. Ludzie, którzy pracują 20 lat z bezdomnymi, muszą iść na kurs, który kosztuje 3 tys. zł. Kto go organizuje? Oczywiście są specjalne firmy, które na tym zarabiają. Jeden z moich młodych współpracowników ukończył politykę społeczną na Uniwersytecie Warszawskim oraz ratownictwo medyczne. Mimo że ma dyplom z polityki społecznej, obowiązuje go kurs za 3 tys. zł, a jako ratownik nie może na przykład rozdawać leków, bo takie uprawnienia posiada tylko pielęgniarka. A przykładowo w Warszawie pielęgniarek brakuje. Zaś my w naszych schroniskach dla chorych tygodniowo musimy rozdać 5 tys. tabletek. Te idiotyzmy, które wymyśla ktoś siedzący na górze, wiążą ręce ludziom, którzy chcą rzeczywiście pomóc, i to w każdej dziedzinie życia. Niszczymy relacje społeczne, sprowadzamy ludzi do klientów, odbiorców usług, uczestników procedur. Mimo całej wiedzy i dobrych chęci lekarze nie mogą często naginać procedur, które ich obowiązują. Mieszkańcy naszych domów nie mieszczą się w żadnych systemach i nieraz są ich ofiarami. Są to często ludzie najsłabsi – źle się urodzili, popełnili jakiś błąd w życiu, stała się tragedia, wpadli w uzależnienie i tak dalej, i tak dalej. Mieszkają u nas profesorowie uniwersytetu, ludzie z doktoratami, osoby, które kiedyś prowadziły firmy. Tragedia może dotknąć każdego. A jak wypadniesz z systemu, to cię nie ma. Oczywiście my z tym walczymy, przyjmujemy ludzi, nie interesuje nas, ile kosztuje biuro, które dla każdego bezdomnego przyjętego do schroniska musi wydać decyzję administracyjną. W ubiegłym roku w jednym ze schronisk przyjęliśmy 400 osób, dla których wydano 400 decyzji administracyjnych. Absurdy oczywiście nie dotyczą tylko naszego kraju. W Szwecji pewna pielęgniarka została parę godzin dłużej – dobrowolnie i nieodpłatnie – u jakiejś staruszki, którą się opiekowała. I została ukarana, bo wyszła poza system. To są chore systemy, ale my i tak pomagamy. Nie ma innego wyjścia, jeżeli chcemy walczyć z ludzkimi nieszczęściami.

KB: Jeżeli zachodzi swoisty regres w kwestii podejścia do najuboższych i najsłabszych, a tak rozumiem wcześniejszą siostry wypowiedź, to co jest jego przyczyną?

MCh: Przyczyna tkwi w społeczeństwie. Problem dotyczy nie tylko Polski, ale też krajów zachodnich. Wiele lat temu w Paryżu zamknięto wiele schronisk dla bezdomnych, bo nie spełniały standardów. W następstwie takiej decyzji nad Sekwaną, pod mostami, pojawiły się namioty. I one nikomu już nie przeszkadzały. Przestrzegaliśmy przed tym, ale nikt mnie nie słuchał, więc mamy, co mamy. W Krakowie żadne schronisko nie przyjmie człowieka, który nie miał ostatniego meldunku krakowskiego. Wobec tego starzy, schorowani ludzie mogą liczyć wyłącznie na noclegownię albo na ulicę. Mamy tam mały dom dla bezdomnych, który otworzyliśmy w październiku ubiegłego roku. Nie jesteśmy związani żadnymi umowami z samorządem czy rządem, co pozwala nam na większą swobodę. Jest w nim 15 miejsc, a gdy dostawimy materace, zmieści się 18 osób. Posiadamy też gabinet medyczny. W dramatycznych sytuacjach przewożymy chorych do naszych domów na wsi. W nich nie mamy żadnych zobowiązań wobec systemu, czyli krótko mówiąc, władza może nam naskoczyć. Opowiem panu pewną historię. Do ośrodka na wsi, w Jankowicach pod Sandomierzem, trafił pan, który wymagał całodobowej opieki medycznej, więc zgodnie z regułami nie powinien tam przebywać. W pewnym momencie ten człowiek zasłabł i wezwaliśmy pogotowie. W szpitalu spędził 24 godziny na izbie przyjęć, bez jedzenia i picia. W końcu karetka przywiozła tego pana z powrotem. Po pół godzinie przyjeżdża do nas znajomy policjant i mówi, że lekarz, który do nas odesłał tego człowieka, złożył zawiadomienie, że chory jest w schronisku, które nie może mu zapewnić opieki. Rozumie pan paranoję? Przewieźliśmy tego człowieka do Warszawy i tam się nim zaopiekowaliśmy. Pomijam fakt, że gdyby coś mu się stało w czasie naszego transportu, mielibyśmy na głowie prokuratora. I tak żyjemy, ryzykując i prowadząc ustawiczną walkę, między innymi ze szpitalami, które nie chcą przyjmować ludzi.

KB: Są błędy systemu, które siostra wskazała, dotyczące nie tylko sfery pomagania, ale też każdej sfery życia. Natomiast zadziwiać może zła wola.

MCh: Na szczęście nawet jeśli ktoś ma złą wolę, musi jeszcze chcieć sięgnąć po telefon czy wykazać jakąś inną aktywność, aby komuś zaszkodzić. Ale są też obcy ludzie, którzy potrafią stanąć na głowie, żeby pomóc bezdomnemu. Takich opowieści, trochę żałosnych, mogłabym panu opowiedzieć tysiące. Zostawiliśmy człowieka na izbie przyjęć z potwornymi, cuchnącymi ranami nóg. Wyjęliśmy robaki, ale chory nadal wymagał opieki medycznej, więc błagaliśmy, aby został przyjęty na oddział. Poprosiliśmy też, żeby ktoś nas powiadomił, gdy zostanie wypisany. Następnego dnia moi współpracownicy jadą do szpitala i... gościa nie ma. Szukaliśmy tego człowieka dwa tygodnie, w końcu znaleźliśmy go w jednej z noclegowni, gdzie siedział w odosobnieniu z gnijącymi nogami; zapewniano mu, zgodnie z ustawą, jeden posiłek dziennie. Zgarnęliśmy go, stoczyliśmy kilka awantur, aby został przyjęty do szpitala. Wreszcie przyjęli go ojcowie bonifratrzy. Dziś wydaje się, że mimo wcześniejszej groźby amputacji uda się jakoś te nogi odratować.

Miała też miejsce odwrotna sytuacja. Kiedyś ktoś ublażał nas, abyśmy przyjęli człowieka bezdomnego z noclegowni do całodobowego schroniska. Zatem sytuacje są bardzo różne, wszystko zależy od człowieka. Trzeba dodać, że lekarze, postępując niezgodnie z procedurami, a mając nad sobą biurokrata ordynatora, ryzykują często awanturę i utratę pracy. Taki mamy system.

KB: Czyli gdyby podsumować działalność siostry, można powiedzieć, że jest to ciągła walka.

MCh: Tak, ciągła walka z dehumanizacją relacji społecznych, w imię porządku, wolności i demokracji.

KB: A jaką rolę w owej dehumanizacji odgrywa materializm?

MCh: Na pewno bardzo dużą, bo przekłada się na postawę wobec ludzi ubogich i bezdomnych. Dość powszechne jest przekonanie: dorobiłem się, bo jestem mądry, a biedny i bezdomny jest głupi, więc nic mu się nie należy. Szczególnie młodsze pokolenie tak myśli, choć nie chcę generalizować, bo jest też mnóstwo fantastycznych ludzi. Mamy zatem materializm, czyli gonitwę za pieniędzmi, dobrami, pozycją, w której wydaje nam się, że coś jest naszą zasługą. Do tego mówimy kilkoma językami i w ogóle jesteśmy dzielni i *happy*. Ja uważam, że powodzenie w życiu i majątek to nie zasługa, tylko zobowiązanie. Nie urodziliśmy się, jak mój przybrany syn, niepełnosprawni. Nie wydarzyło się nic, co by nas załamało. Jesteśmy silniejsi psychicznie, spotkaliśmy na swojej drodze odpowiednich ludzi, żyjemy w kraju, w którym nie spadają nam bomby na głowę, nie biją nas i nie torturują, mamy wolność, przynajmniej na razie. Więc wywyższanie się i przypisywanie sobie zasług wynika z niewłaściwej oceny sytuacji. Jest wielu ludzi, którzy to rozumieją i uważają, że mają coś, czym powinni się dzielić; i nie ma znaczenia, czy są to dobra materialne, wiedza, czy umiejętności. Nie twierdzę, że nie trzeba mieć satysfakcji z własnego dorobku. Trzeba. Ja też się cieszę, że udało się tyle zrobić. Pracujemy i powinniśmy czerpać satysfakcję, mając jednocześnie świadomość, że za chwilę możemy nie mieć nic. Powodzenie to coś, co jest nam dane w dzierżawę. W pewnym momencie trzeba będzie zdać z tego sprawozdanie. A jeśli okaże się, że zdobywamy dobra materialne kosztem ubogich i słabszych? Poza tym czemu owe dobra mają służyć? Jasne, że zaspokojeniu moich osobistych potrzeb czy potrzeb mojej rodziny, ale czy tylko temu? I czym są owe potrzeby? Dla kogoś bieda może oznaczać brak iPhone'a, a dla kogoś innego – dziurawe buty zimą. Zawsze, gdy trafiam na nastolatków, którzy żyją w bardzo trudnych warunkach bytowych, sprawdzam, czy mają smartfony. Dziś brak smartfona oznacza stygmatyzację i wyklucze-

nie z grona rówieśników. Kupuję więc te smartfony nagminnie, gdy mam pieniądze, i oczywiście kupuję buty oraz porządną kurtkę czy jakąś bluzę. Przekazujemy też ubrania używane, z darów, ale zawsze staram się, by każdy dostał przynajmniej jedną nową rzecz. Czasami jest to pierwsza nowa rzecz tych ludzi.

KB: Powiedziała siostra o wykluczeniu. Czy społeczeństwo nie wyklucza dziś łatwiej i na szerszą skalę niż kiedyś? Taką

postawę okazuje się nie tylko wobec uchodźców, co jest szeroko komentowane w mediach, ale też choćby wobec ludzi biednych.

MCh: Kryje się za tym prosty mechanizm. Lubimy mieć „swojego” biedaka, lecz musi on znać swoje miejsce, siedzieć na zgrzebnym stołku, jeść kaszankę wprost z gazety. Przechodząc obok biedaka, doznajemy pewnego poczucia radości i wyższości. Patrzymy i myślimy sobie: ha! można było, a ten, proszę, jaka szmata. Wydawało się to nierealne, ale w pewnym momencie historia zatoczyła koło. W 1990 r. w wiosce w Beskidach wybudowaliśmy pierwszy dom dla bezdomnych. Pewnego dnia nasze chłopaki wyszły grać w piłkę. I nagle pojawiło się wśród miejscowych ogromne oburzenie: „Jak to, bezdom-

ne w piłkę grają? Bezdomne mogą co najwyżej żebrać”. Wydawać by się mogło, że wiele się od tamtego czasu zmieniło, ale to nieprawda. Dziś takie podejście do bezdomnych stosują instytucje. Uważa się, że bezdomny ma siedzieć w jednym miejscu, dostanie tyle, aby nie umarł, bo to jednak wstyd, ale nie tyle, aby mógł uczestniczyć w życiu ekonomicznym, społecznym, kulturalnym i duchowym. Obecnie stały zasiłek dla osoby niepełnosprawnej, która nie ma prawa do renty, wynosi 644 zł. To może być człowiek, który zachorował, przepracowawszy gdzieś na czarno 15 lat, ale też osoba, która zachorowała po skończeniu 18 lat i nie wyrobiła sobie prawa do renty, bo aby je zdobyć, trzeba przepracować pięć lat. Mamy więc 644 zł, proszę spróbować przeżyć za tę kwotę. Każda złotówka, którą przynosi ktokolwiek z rodziny, powoduje adekwatne odebranie tych pieniędzy. Czyli państwo mówi do niepełnosprawnego: masz, tajzo, żyć za te 644 zł i nie wolno ci żyć lepiej. Renta socjalna wynosi 840 zł. Została podniesiona o 100 zł po dzikich awanturach i upokarzaniu ludzi przed Sejmem. Może ci, którzy się oburzają, powinni spróbować przeżyć za tę kwotę. Ludzie piszą w komentarzach w Internecie, że nie chcą, by ich podatki szły na niepełnosprawnych. Tacy jesteśmy, tak nam się udało budowanie społeczeństwa solidarnego, już nie mówię o wartościach chrześcijańskich. Brud wylazi non stop i atmosfera jest taka, że on może wylazić. Rasizm czy antysemityzm zawsze były

Ludzie piszą
w komentarzach
w Internecie, że nie
chcą, by ich podatki szły
na niepełnosprawnych.
Tacy jesteśmy, tak nam
się udało budowanie
społeczeństwa
solidarnego. Już
nie mówię nawet
o wartościach
chrześcijańskich.

w ludziach, ale nie było na to szerokiego przyzwolenia. Natomiast pogarda wobec osób niepełnosprawnych w czasie ich protestów była bardzo szeroka. Oczywiście wielu stanęło po stronie niepełnosprawnych, nawet nie deklarując tego publicznie.

KB: To nie napawa optymizmem.

MCh: Dla przeciwwagi powiem, że powoli zaczyna się oddolny ruch ludzi – głównie młodych, ale nie tylko – którzy nie chcą takiego świata. Oby nie stracili swojej wrażliwości. Ja też nie chcę takiego świata, ale jestem stara i niewiele mogę zrobić oprócz tego, co robię.

KB: Czy widzi siostra sens w namawianiu innych do pomagania?

MCh: Każdy dobry czyn buduje lepszy świat. Obojętnie, czy podamy obiad sąsiadce staruszce, czy weźmiemy na wakacje dziecko, którego rodziców na to nie stać, czy umożliwimy młodym ludziom na wsi naukę gry na instrumentach, naukę języków, wyjazdy na wycieczki, czy uśmiechniemy się do człowieka bezdomnego na ulicy. Każdy tego typu gest, większy czy mniejszy, ma ogromny wpływ na świat. Wydaje nam się, że nic nie możemy zrobić. Nieprawda. Możemy przeciwstawić się, mówiąc w kategoriach marksistowskich, uciskowi słabszych. Dla dociekliwych: nie mam nic wspólnego z marksizmem. Ale tak naprawdę jest – na świecie trwa ucisk i wyzysk słabszych. Wygrywają silniejsi, bo słabsi nie mają dostępu do wielu sfer, pozornie oczywistych, na przykład edukacji czy opieki medycznej. Stąd też nasze działania ukierunkowane na ludzi młodych, w tym fundusz stypendialny. Tak się buduje lepszy świat. Zmiany w instytucjach są potrzebne, ale one nie zastąpią człowieka. Ja nie chodzę i nie namawiam ludzi, żeby się dzielili, ale wielu ludzi się dzieli, kiedy widzi naszą pracę. Oczywiście przyjmujemy każdą pomoc, bo potrzeb jest mnóstwo. Nie opływamy w pieniądze, każda złotówka liczona jest z dnia na dzień. W wielu ludzi, którzy do nas trafili, nie ma żadnych dochodów. W Warszawie otrzymujemy dotacje, jednak nie przekraczają one 50 proc. kosztów. Przede wszystkim musimy zatrudniać pielęgniarki, lekarzy, pracowników socjalnych, opiekunów. Jeszcze do niedawna dużą część prac wykonywali sami mieszkańcy. W tej chwili w schronisku dla chorych wszyscy już wymagają opieki. To są ludzie, którzy nie są w stanie nic zrobić. Osoba na wózku może jeszcze nakarmić kogoś, kto leży, ale nic poza tym. Więc musimy zatrudniać kolejnych opiekunów i osoby sprząające.

KB: Czy to tendencja do starzenia się społeczeństwa znajduje odzwierciedlenie w państwach domach?

MCh: To jest zjawisko, które obserwuję nie tylko w domach, które prowadzimy, ale też w rejonie, w którym mieszkam, w województwie świętokrzyskim. Po upadku komunizmu, w latach 90. i później, bardzo wielu ludzi w wieku 25–35 lat wyrwało się z wielkiej biedy, uzyskało lepszą lub gorszą edukację, wyjechało do miast lub za granicę. Młodzi pozostawili swoich rodziców, którzy dziś są starzy i schorowani, głównie są to matki. Ich dzieci nie czują się w obo-

wiązku wesprzeć starych rodziców, nawet żyjących w nędzy. Ci zaś tłumaczą swoje dzieci, twierdząc, że muszą się dorobić. A przecież jeżeli kobieta ma pięcioro dzieci i każde z nich zrzuciłoby się po 100 zł, to matka dostawałaby 500 zł i miałaby szansę jakoś przetrwać. Oczywiście ona broni dzieci, a jeszcze dorzuci ostatni grosz, który jakimś cudem uda się jej odłożyć. W tym wszystkim ujawnia się prymitywizm duchowy naszego społeczeństwa. Nie twierdzę, że problem dotyczy wszystkich rodzin, ale dużej części. Obserwuję to z przerażeniem, a nawet czasem ośmielam się zapytać: kogo pani wychowała? Oczywiście nie tylko rodzice wychowują, ale też społeczeństwo, środki masowego przekazu, szkoła.

KB: Chciałem jeszcze zapytać o tę siłę, która jest widoczna w publicznym wizerunku siostry. Skąd ją siostra czerpie?

MCh: To, co robimy – nie tylko ja, ale cała wspaniała grupa ludzi, członkowie wspólnoty, pracownicy, wolontariusze, ludzie dobrej woli – to nie jest kwestia siły fizycznej czy psychicznej. Gdyby na nas spojrzeć, to wszyscy jesteśmy ludźmi bardzo słabymi, przeciętnymi. Natomiast siłę czerpiemy od Pana Boga. Jak napisałam ostatnio na swoim blogu – leci z nami pilot. To oczywiście nie zwalnia nas ani z pracy, ani z myślenia, ani też z wysiłku, który czasem przychodzi z trudem. Przecież jesteśmy tylko ludźmi. Właśnie w tej chwili ciężko chory jest mój najbliższy współpracownik, który od wielu lat prowadził wszystkie remonty i budowy – podczas ostatnich prac w Krakowie przechodził zawał. Nie wiemy, jak się to skończy, bo jest już po kilku operacjach. Można powiedzieć, że przynajmniej wiedział, dla kogo pracuje i w jakim celu. To oczywiście nie zmniejsza naszej odpowiedzialności i szacunku dla niego. Siła pochodzi od Pana Boga, jednak w którymś momencie ona się dla każdego z nas kończy. Nie jesteśmy nieśmiertelni. A ludzie, którzy pomagają innym, to nie herosi. Mają swoje problemy, trudności, choroby. Natomiast Pan Bóg może się posłużyć czyjąś słabością, ale tylko pod jednym warunkiem: że będziemy go trzymać w tej słabości za łapkę.

KB: Jak siostra odnalazła swoje powołanie do życia duchowego, ale też do służby na rzecz cierpiących i potrzebujących?

MCh: Jeszcze go nie odnalazłam. Po prostu, jak mówił Mark Twain, nie boję się tego, czego nie rozumiem w Ewangelii, boję się tego, co rozumiem. To, co rozumiem, powinnam wprowadzić w życie, czego zaś nie rozumiem, tego z oczywistych względów nie wprowadzę. Ewangelia mówi: „cokolwiek uczyniliście jednemu z moich braci mniejszych...”, więc kiedy stawały przede mną kolejne dzieci, które nie miały nikogo, miałam wybór. Dziś mam pięcioro przybranych dzieci, już dorosłych, w tym jedno jest ciężko niepełnosprawne, autystyczne, z ciężką epilepsją lekooporną – ukochany Artur. Można było powiedzieć „tak” albo wysłać do bidula. Pan Bóg zadał mi pytanie, postawił przede mną proroków, podobnie było z ludźmi bezdomnymi. Tak to działa. Jeśli chodzi o powołanie chrześcijańskie, Chrystus mówi: „Ja jestem drogą, prawdą i życiem”. I to jest życie – stoi przede mną człowiek i trzeba mu pomóc, po prostu, bez żadnej filozofii.



© PIOTR DYMAJS

Oddział szpitala ortopedycznego w Blantyre w Malawi, listopad 2018 r.

Aby zachęcić do pomagania, **trzeba wskazać cel**

O doraźnym i trwałym zmienianiu świata, najpilniejszych potrzeb w Papui, Afryce Zachodniej i na Bliskim Wschodzie oraz ludziach, którzy nie mają wiele, ale potrafią dzielić się wszystkim, z Ewą Piekarską rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Polska Misja Medyczna (PMM) istnieje od 1999 r. Czy problemy, które 20 lat temu skłoniły twórców organizacji do jej założenia, nadal występują?

Ewa Piekarska: Naszą działalność można podzielić na dwie kategorie. Pierwsza kategoria to pomoc humanitarna, czyli pomoc ofiarom konfliktów wojennych czy katastrof naturalnych. Oba te zjawiska zdarzają się cały czas i nadal będą się zdarzać, mimo że stale postępuje rozwój w dziedzinie zapobiegania takim sytuacjom. Wciąż nawiedzają świat tajfuny czy huragany, wciąż też toczy się wiele konfliktów zbrojnych. Co ciekawe, często nawet się nie mówi o nich w mediach. Choć żyjemy w XXI w., nadal spora

część świata nie ma dostępu do edukacji czy opieki zdrowotnej. Drugim obszarem naszej działalności jest pomoc rozwojowa, która wywołuje zmiany dające się zaobserwować. Widzimy, jak na terenie naszego działania z roku na rok zwiększa się dostęp do pomocy medycznej i świadomość ludzi.

Przystąpiłam do PMM w marcu 2004 r., ale mocniej zaangażowałam się w działania Misji w 2013 r., kiedy zostałam wybrana na prezesa zarządu. W 2016 r. porzuciłam wszystkie inne zajęcia i zajęłam się wyłącznie Misją. Pierwszy raz pojechałam do Afryki w 2006 r., moim celem była Angola. Później pracowałam w Mauretanii z imigrantami z 16 krajów Afryki Subsaharyjskiej. Od 2011 r. bywam bar-

Ewa Piekarska; Jordania, lipiec 2018 r.



© GRAŻYNA MAKARA

Ewa Piekarska – absolwentka zdrowia publicznego i Akademii Młodych Dyplomatów. Od 2004 r. wolontariuszka Polskiej Misji Medycznej, a od marca 2013 r. prezes zarządu tego stowarzyszenia. Koordynator projektów m.in. w Afganistanie, Czadzie, Gruzji, Indiach i na Ukrainie. W zakresie edukacji zdrowotnej i jako koordynator miała okazję pracować i zdobyć doświadczenie w Angoli, Kenii, Mauretanii, Serbii, Papui-Nowej Gwinei, Turcji i Ugandzie. W kręgu jej zainteresowań zawodowych znajdują się przede wszystkim epidemiologia chorób zakaźnych oraz organizacja systemu opieki zdrowotnej, w szczególności dotyczącej matek i dzieci do piątego roku życia w krajach rozwijających się. Chęć niesienia pomocy łączy z pasją podróżowania, poznawania ludzi, lokalnych obyczajów i radzenia sobie w krajach całkowicie odmiennych kulturowo od Polski. Prywatnie miłośniczka trekkingu, jazdy na rowerze, tańców latynoamerykańskich i kuchni orientalnej.

dzo często w Afryce Wschodniej i widzę, że wiele się tam zmienia w kwestii, która dla mnie jest szczególnie istotna, czyli opieki nad matką i dzieckiem. Więcej kobiet rodzi w szpitalach i ośrodkach opieki medycznej. Coraz szersza jest edukacja, nawet kobiety rodzące tradycyjnie, w wioskach, mają świadomość, że należy z noworodkiem odwiedzić ośrodek, w którym zostanie on przebadany i poddany szczepieniom, dzięki czemu zwiększać się będzie odporność danej populacji i zmniejszy zapadalność na poszczególne choroby. Myślę, że to jest ważne. Poczytałam ostatnio ciekawą obserwację w południowej Tanzanii: na konsultacje lekarskie coraz częściej z dziećmi przychodzą ojcowie, wcześniej się to nie zdarzało.

KB: Powiedziała pani, że z naszych mediów nie dowiadujemy się wiele o tragediach rozgrywających się w odległych rejonach świata. Czy jednak nie jest to trend charakte-

rystyczny dla wielu mediów zachodnich, które również rzadziej relacjonują wojny, katastrofy humanitarne czy klęski żywiołowe?

EP: Czasem z ciekawości porównuję, jak informacje o danym konflikcie przedstawiane są przez czołowych światowych nadawców, czyli Al-Dżazirę, BBC i CNN. Trzy różne media czasami w zupełnie różny sposób pokazują sytuację w danym kraju. W stacji Al-Dżazira jest sporo informacji o Azji, m.in. o Mjanmie (dawniej Birmie), gdzie pracujemy, o Bangladeszu i innych miejscach tamtego regionu, w których dochodzi do katastrof. Media poszczególnych krajów pewnie są bardziej zainteresowane rejonami, z którymi państwo jest w jakiś sposób powiązane, zarówno na poziomie społecznym, jak i gospodarczym. Tak jest choćby w przypadku Afryki. I tu należy wspomnieć, że polskie firmy wchodzą coraz intensywniej na tamten rynek, więc pewnie zainteresowanie naszych mediów będzie większe.

KB: Wymieniając cele organizacji, mówią państwo o wprowadzaniu trwałych zmian na lepsze. Wyobrażam sobie, że w rejonach, w których skumuluje się wiele różnych problemów, realizacja takiego postulatu może być niesłychanie trudna.

EP: Tak, dlatego podkreśliłabym, że trwałe zmiany na lepsze możemy wprowadzać przy okazji projektów rozwojowych, czyli takich, które realizujemy w krajach o pewnym poziomie stabilizacji politycznej i ekonomicznej. Od kilku lat pracujemy w ten sposób w Ugandzie czy choćby w Tanzanii. Natomiast w przypadku pracy na rzecz uchodźców syryjskich nie możemy mówić o trwałych zmianach na lepsze, bo tam skupiamy się na udzielaniu pomocy humanitarnej. Chcę podkreślić, że nieraz małe projekty przynoszą długotrwałe zmiany. Jako przykład podam akcję doszkalania personelu w małym ośrodku w środkowej Ugandzie. Jeżdżę tam regularnie od 2013 r. Personel tego niewielkiego szpitala, założonego przez franciszkanów, nie umiał sobie radzić z podstawowymi zabiegami, które są bardzo potrzebne w regionie, a nie wymagają specjalistycznego sprzętu czy banku krwi. Chodziło o dosyć proste operacje tłuszczaków, włókniaków czy przepukliny okołopępkowej. Przez jakiś czas na miejscu działało kilka naszych ekip i obecnie tamtejszy personel jest na tyle przeszkolony, że jest w stanie wykonywać takie zabiegi bez powikłań. W Mjanmie, gdzie działamy od 2016 r., zostaliśmy poproszeni przez położne i lekarzy pracujących w rejonie delty Irawadi, żebyśmy nauczili ich, jak postępować z przypadkami kobiet w ciąży, które mają cukrzycę lub nadciśnienie. Tamtejsze zespoły radziły sobie z patologią ciąży, ale nie miały wiedzy dotyczącej chorób cywilizacyjnych. Mogliśmy więc dołożyć przysłowiową cegielkę do wykształcenia personelu medycznego. To są rzeczy, które są trwałe i po prostu cieszą.

KB: Czy może pani wymienić typowe potrzeby charakterystyczne dla różnych rejonów, w których działa PMM?



© EWA PIEKARSKA

Stomatolog Katarzyna Błądek-Grzelczak w trakcie szkolenia; Nanjota, Tanzania, maj 2018 r.

EP: Zaczniemy od Afryki Wschodniej. W Malawi, Zambii i Tanzanii dużym problemem jest brak kadry medycznej, w szczególności lekarzy specjalistów, którzy mogliby przyjmować pacjentów. Jest natomiast dużo położnych i pielęgniarek, które często mają o wiele większą odpowiedzialność niż położne w Polsce. W tamtym regionie lekarz, który kończy studia, powinien znać się na wszystkim – wykonywać operacje, przyjmować porody, wkładać nogę w gips itd. Brak kadry jest problemem nie tylko dla pacjentów, ale również szpitali. W Ugandzie wynagrodzenie lekarza wynosi minimum tysiąc dolarów, trzeba mu również zapewnić zakwaterowanie przy szpitalu za darmo. Rzadko który szpitalik może zaoferować podobne warunki. Te osoby, które zdobyły wykształcenie i których rodziny poniosły ogromne koszty studiów medycznych, najczęściej nie są zainteresowane mieszkaniem na wsi i uciekają do miast. Zapewnienie lekarzom odpowiednich warunków do pracy, szczególnie na wsi, jest bardzo istotne. Dodatkowym problemem są możliwości diagnostyczne. W Afryce Wschodniej wciąż nie radzimy sobie z chorobami, które coraz efektywniej leczymy na Zachodzie – dotyczy to w szczególności cukrzycy i chorób onkologicznych. Bolączką tamtego rejonu (z wyjątkiem Zambii) jest to, że za konsultację z lekarzem trzeba zapłacić nie małe pieniądze. Podobnie jak za każdą strzykawkę, igłę, bandaż i leki. Ludzie przychodzą do lekarza nie wtedy, kiedy coś im dolega, ale często dużo później, na przykład po zbiorach, kiedy już stać ich na wizytę. Mieszkańcy południa Tanzanii zbierają nerkowce i po zniwach mogą sobie pozwolić na wizytę u lekarza, oczywiście równocześnie muszą zapłacić za edukację dzieci, jeżeli chcą im zapewnić godziwy byt.

Na Bliskim Wschodzie działamy w irackim Kurdystanie, Jordanii, a także w Syrii – dzięki współpracy z syryjską organizacją Balsam Medical. W Kurdystanie i w Jordanii pracujemy w obozach dla uchodźców. Zajmujemy się przede wszystkim zapewnieniem opieki medycznej, dostarczeniem pakietów higienicznych, mobilną kliniką i leczeniem osób przewlekle chorych. Niezwykle wzruszającym momentem jest spotkanie z ludźmi, którzy są wdzięczni za pomoc i opowiadają straszne historie o piekle, jakie musieli przejść. Niektórzy od pięciu lat mieszkają w obozie dla uchodźców i są pozbawieni nadziei, że będą mogli kiedyś wrócić do siebie. W ciągu kilku lat pracy na tym terenie nigdy nie słyszałam, by ktokolwiek marzył o wyjeździe do Europy. Ci ludzie pragną powrócić do własnych domów, do własnych miejscowości, często są rozdzieleni z rodzinami. Myślę, że w przypadku tych ludzi – w szczególności mam tu na myśli kobiety – ważna jest pomoc psychologiczna, ale nie wszędzie ona jest oferowana. Dla mnie najbardziej egzotycznym rejonem, różniącym się od Afryki i Azji, jest Papua-Nowa Gwinea, gdzie w ogóle możemy zapomnieć o dostępie do pielęgniarki czy lekarza. Pracują tam *community health workers*, którzy są absolwentami szkół dwuletnich. Istotne jest, aby właśnie oni byli najlepiej przygotowani i przeszkoleni. Oczywiście nie zapewnią w pełni profesjonalnej opieki medycznej, ale powinni radzić sobie z najważniejszymi tamtejszymi problemami, czyli z biegunkami, które w przypadku dzieci są śmiertelne, z chorobami płuc, gruźlicą, która jest wszechobecna w tamtym regionie. Jest też dużo przypadków HIV, ale tę chorobę leczy się w ramach wsparcia z programu australijskiego. Papua-Nowa Gwinea, podobnie jak cała Oceania, to rejon mocno odcięty od świata i występuje tam ogrom-



Badania przesiewowe i konsultacje medyczne; Karanda, Papua-Nowa Gwinea, 2015 r.

ny problem z komunikacją i przemieszczaniem się na potężnych terenach, bo po prostu nie ma dróg. W samej Papui obowiązuje 800 lokalnych języków, bowiem ludzie żyjący w danej dolinie nie mieli wcześniej okazji się przemieszczać i poznawać. W tej chwili obowiązuje pidgin, sztuczny język, który umożliwia szerszą komunikację. *Community health workers* są odpowiedzialni za punkty medyczne, tam przyjmują pacjentów. Jednym z ważnych wyzwań jest higiena, w tym uświadamianie ludziom wagi higieny stomatologicznej.

W Azji Południowo-Wschodniej pracujemy obecnie w Mjanmie, na południu kraju, w delcie Irawadi. Ta część świata

jest zagrożona bardzo częstymi powodziąmi i tsunami – najgroźniejsze miało miejsce w 2008 r. Wtedy zresztą rządząca dyktatura wojskowa zabraniała przez pierwsze tygodnie wkraczać do kraju organizacjom humanitarnym. Dwa miliony ludzi było stale narażonych na brak noclegu, pożywienia, dostępu do czystej wody – to był ogromny dramat, o którym niewiele się mówiło. W tamtym rejonie jest też problem z dostępem do wody pitnej, co powoduje roznoszenie się wielu chorób. Prowadzimy działania zwiększające poziom higieny, ale także tworzymy zbiorniki na wodę.

© EWA PIEKARSKA

KB: Czy państwa praca bywa niebezpieczna?

EP: Przede wszystkim trzeba zachować zdrowy rozsadek, jakiś element strachu powinien nam towarzyszyć. Inna sprawa, że nawet wyjeżdżając na weekend w Europie, nie możemy przewidzieć, co się wydarzy. Na pewno jednak ryzyko jest dużo większe, gdy pracuje się w krajach Bliskiego Wschodu. Rejestrując podróż do azjatyckiej Mjanmy, otrzymujemy informację, że może dojść do ataku terrorystycznego w Rangunie. Ja byłam w Mjanmie pięć razy i nigdy nie widziałam żadnych zgromadzeń na ulicy, nie doświadczyłam też nieprzyjemnych sytuacji. W Jordanii i irackim Kurdystanie ryzyko jest większe. W takich miejscach działamy we współpracy z większymi organizacjami, które mają bardzo mocno rozbudowane działy bezpieczeństwa, i wtedy poddajemy się ich procedurom. Na przykład w irackim Kurdystanie musimy wracać do bazy przed zachodem słońca. Nieraz w czasie naszej obecności w bazie zdarza się ostrzał kurdyjskiego centrum. W Iraku jest bardzo dużo checkpointów i ryzyko na pewno jest spore, na szczęście, kiedy działaliśmy na tym terenie, nic się nie wydarzyło. W dużych obozach jest koordynator i ochrona, poza tym my pomagamy, więc napotkani ludzie najczęściej wyrażają nam wdzięczność. Od zeszłego roku działamy również w Jemenie. W listopadzie rozpoczęliśmy współpracę z Lekarzami bez Granic, którzy prowadzą ośrodki leczenia dzieci. Są dwie choroby, które głównie zabijają tam teraz ludzi: cholera i błonica. Dzięki współpracy z dużą, rozpoznawalną organizacją środki, które przeznaczamy na pomoc, są kierowane na leczenie tamtejszych dzieci i kobiet, a my nie musimy ponosić dużych kosztów administracyjnych i logistycznych. W Jemenie toczy się konflikt – nieco zapomniany przez światową opinię publiczną – który jest teraz największą katastrofą humanitarną. Ludzie są niedożywieni, umierają, a do znacznej części z nich nie można nawet dotrzeć z pomocą medyczną.

KB: Praca lekarza, zapewne pod każdą szerokością geograficzną, zaś szczególnie w takich miejscach, w jakich działa Polska Misja Medyczna, wiąże się ze stresem psychologicznym. Czy mają państwo specjalne sposoby, by pomagać swoim medykom?

EP: Na Bliski Wschód raczej nie wysyłamy personelu medycznego, z reguły działamy poprzez lokalny personel. Raz wysłaliśmy stomatologa, zaś w zeszłym roku – pediatrę i ginekologa do Jordanii. Jednak również w tych przypadkach głównym celem było szkolenie personelu lokalnego. Na pewno bezsilność dopada każdego. W wielu sytuacjach, gdyby nie okoliczności, można by zapobiec śmierci. Widzimy ludzi umierających z powodu chorób, którym w innych warunkach w prosty sposób moglibyśmy zapobiec. Widzimy osoby, które były szczepione przeciwko polio i chorują na polio, bo prawdopodobnie na nich były kiedyś testowane szczepionki. Kiedyś w Papui zdarzyła mi się taka sytuacja: w rejonie górystym, w niewielkiej wiosce, zatrzymali nas młodzi ludzie i powiedzieli, że ich dziecko nie chce jeść i wymiotuje treścią kałową. W takich przypadkach w żaden sposób nie jesteśmy w stanie



Anna Siedlik i lokalna położna; Wakema Township, Mjanma, 2016 r.

Ewa Piekarska i Małgorzata Ołasińska-Chart w obozie Alwand 1; Dyjala, Irak, wrzesień 2018 r.



pomóc. Dziecko natychmiast musi znaleźć się w specjalistycznym ośrodku, a tu drogi nieprzejezdne i nie da się dotrzeć do lotniska. Wiemy zatem, że ono umrze w ciągu kilku godzin i nie ma możliwości ratunku; mamy wtedy poczucie ogromnej straty. W wielu sytuacjach ze względu na brak diagnostyki i leczenia po prostu nie da się ludziom pomóc, mimo że w podobnych przypadkach na Zachodzie można walczyć o życie. Niedawno do naszych lekarek w Mjanmie trafił bardzo poparzony 15-letni chłopiec. Koleżanka, która jest chirurgiem, podjęła się operacji szyi, choć musiała pracować w bardzo prowizorycznych warunkach. W krajach zachodnich

taki chłopiec zostałby poddany kilkumiesięcznej opiece, zwłaszcza chirurga plastycznego, lecz takich możliwości w Mjanmie nie ma. Wiadomo, że serce się rwie i chcielibyśmy pomóc, natomiast nie jesteśmy w stanie pomóc wszystkim. Jeżeli chodzi o radzenie sobie, myślę, że przede wszystkim pomagają rozmowy.

KB: Co panią skłoniło do podjęcia działalności w PMM i co dziś panią motywuje? Czy pomaganie uzależnia?

EP: Pracuję w Polskiej Misji Medycznej od 2004 r. W tym czasie kończyłam studia, pracowałam m.in. w sektorze prywatnym, zaś po godzinach pisałam, rozliczałam i koordynowałam projekty, a także – w ramach urlopu bezpłatnego – jechałam np. do Mauretanii czy Kenii. Pomaganie daje ogromną satysfakcję, czasami nawet niewielkimi działaniami można realnie komuś pomóc. Każdy z nas zdaje sobie sprawę, że to jest tylko kropla w morzu potrzeb. Ale możemy sprawić, że jakieś dziecko przeżyje, a inne dzięki szczepieniom będą mniej chorowały; możemy zapobiec wielu chorobom poprzez wprowadzenie prostych rozwiązań, jak choćby spania pod moskitierą. To daje fantastyczne poczucie, że w jakiś sposób przyczyniamy się do poprawy losu innych ludzi. Czasami podstawową edukacją i małymi krokami można zrobić wielkie rzeczy. Taki cel zawsze motywował mnie do działania. Wiele lat temu zorganizowałam w Polsce szkolenie dla lekarzy z Białorusi z zakresu zapobiegania chorobom zakaźnym, w tym przenoszonym drogą płciową. Przyjechali do nas lekarze na dwa tygodnie, brali udział w fantastycznych projektach. Na koniec jedna z lekarek powiedziała: „Pani Ewo, dziękuję”. Takich rzeczy się nie zapomina. Praca z drugim człowiekiem jest ogromnym wyzwaniem i daje niezwykłą satysfakcję. Wiele się uczymy od ludzi przyjmujących naszą pomoc, między innymi nieco zapomnianej już u nas serdeczności i dzielenia się wszystkim, nawet gdy niewiele się ma. Ludzie mają ogromne serca i myślę, że one się przyciągają. W naszym świecie często pędzimy, zapominamy o tym, co naprawdę ważne, zaś niektórzy nie mają nic, lecz są dla siebie bardziej życzliwi, a być może również bardziej szczęśliwi.

KB: Zauważyłem, że w zespole Polskiej Misji Medycznej jest sporo kobiet. Czy wśród wolontariuszy również jest podobna proporcja i czy owe statystyki są potwierdzeniem pewnej zmiany społecznej, która się dokonuje? A może kobiety mają szczególne predyspozycje, by otworzyć serce na drugiego człowieka?

EP: Też się kiedyś nad tym zastanawiałam, bo faktycznie nasza organizacja jest zdominowana przez kobiety. Myślę, że te statystyki wyglądają różnie w innych organizacjach. W Polskiej Organizacji Humanitarnej pracuje bardzo dużo mężczyzn. Jeśli chodzi o naszych lekarzy, mężczyźni przeważają w specjalizacjach tzw. twardych, takich jak chirurgia czy ortopedia. Natomiast wydaje mi się, że we wszystkich obszarach tzw. miękkich, jak szkolenia, wsparcie psychologiczne, większą troską i empatią wykazują się jednak kobiety. Nie wiem, z czym są związane owe predyspozycje,

być może z instynktem macierzyńskim, z instynktem opieki. Na pewno kobiety bardziej emocjonalnie podchodzą do różnych sytuacji. U kobiet, które pracują w naszej organizacji, częściej można zobaczyć łzy w oczach.

KB: A gdyby komuś spodobało się to, co państwo robia, i chciałby się jakoś włączyć, to co powinien zrobić?

EP: Można pomagać nam w Polsce i za granicą. Można zgłosić się na wolontariat medyczny poprzez formularz na stronie internetowej. Ludzie chcą pomagać nie tylko w sprawach medycznych, ale też przy pracach administracyjnych, tłumaczeniu dokumentów, zbiórkach, kwestach. Kandydaci, których wysyłamy na misje, przechodzą u nas dwudniowe szkolenie, podczas którego poruszamy aspekty medyczne, ale też związane z polityką czy kulturą danego regionu. Uczestnik zapoznaje się z procedurami kodeksu misji zagranicznych, kodeksu postępowania wolontariusza, a także z zagadnieniami etycznymi, np. związanymi z pokazywaniem swojej pracy w mediach społecznościowych.

KB: Czy współpracują państwo ze środowiskiem biznesu?

EP: Rozwijamy taką współpracę i jest ona dla nas bardzo ważna. Otrzymujemy dotacje finansowane lub współfinansowane ze środków publicznych, ale coraz więcej wsparcia pochodzi od darczyńców indywidualnych i firm prywatnych. I niekoniecznie takich, które działają na rynkach afrykańskich. Przedstawiciele biznesu będą organizowali w maju galę PMM z okazji 20-lecia działalności. Podczas uroczystości odbędzie się zbiórka środków na naszą działalność. Wspierają nas również polskie firmy rodzinne, które często przekazują darowiznę rzeczową lub finansową, np. na zakup USG w danym miejscu. W tej chwili zbieramy pieniądze na tzw. wiertarkę ortopedyczną dla szpitala w Malawi, gdzie pracuje nasza wolontariuszka Karolina Śliwińska. Może się wydawać, że uzbieranie środków na zakup urządzenia za 100 tys. zł jest niemożliwe, ale nic bardziej mylnego. Ludzie chcą pomagać, jeśli się im wskaże cel i miejsce, do którego trafi wsparcie. Chętnie się dzielą, mają ogromne serce i chcą się włączyć, jeżeli tylko mogą.

Jeśli chodzi o zbieranie środków, w tej chwili nasza uwaga kieruje się na Jemen. Na stronie internetowej mamy takie szczególne narzędzie – kalkulator godzin dla Jemenu. Można wpisać kwotę, którą się zarabia miesięcznie, i kalkulator przelicza, ile warta jest godzina naszej pracy. Apelujemy do ludzi o podzielenie się i wpłacenie równowartości godziny swojej pracy na rzecz Jemenu. To niesamowite, że w ciągu dwóch tygodni dzięki takiemu kalkulatorowi zebraliśmy ponad 20 tys. dolarów na pomoc dzieciom i kobietom w Jemenie.

Podaruj godzinę dla Jemenu! Z powodu głodu lub braku opieki medycznej w Jemenie co 10 minut umiera dziecko. Dołącz do Lekarzy Bez Granic oraz Polskiej Misji Medycznej i pomagaj z nimi! <https://www.pmm.org.pl/pl/akcja-specjalna/>
Więcej o działaniach Polskiej Misji Medycznej można przeczytać na stronie: <https://www.pmm.org.pl/pl/>



Hanna Machińska (ur. 1951 r.) – polska prawniczka i nauczyciel akademicki, doktor nauk prawnych. W 1991 r. została dyrektorem nowo otwartego wówczas Biura Rady Europy w Warszawie. Instytucją tą kierowała do 2017 r. 26 września 2017 r. została powołana na stanowisko zastępcy rzecznika praw obywatelskich. W 1973 r. ukończyła studia prawnicze na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. W pracy naukowej zajmuje się zagadnieniami z zakresu logiki, prawa Unii Europejskiej i ochrony środowiska. Jest autorką publikacji naukowych poświęconych tej tematyce (m.in. „Aksjologia w UE a Europejska Konwencja Praw Człowieka”, „Ochrona praw podstawowych w Unii Europejskiej”, „Niepełnosprawni na rynku pracy”).

Dziś ludzie są gotowi oddać część **swojej wolności**

O konieczności ochrony kobiet, prawach człowieka w kontekście technologii oraz o torturach w XXI w. z **Hanną Machińską** rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Prawa człowieka kojarzą się z niespokojnymi rejonami świata, wojną, dyktaturą polityczną, torturami. Czy kwestia praw człowieka dotyczy również w jakiś istotny sposób Polski i Polaków?

Hanna Machińska: Oczywiście. Prawa człowieka związane są z funkcjonowaniem każdej jednostki, każdego człowieka w relacji do wszelkich podmiotów, ale również na przykład do środowiska. Faktycznie największy problem związany z nieprzestrzeganiem praw człowieka występuje w państwach niedemokratycznych. Prawa człowieka dotyczą każdej osoby na całym globie, choć niedługo będziemy również mówili o nich w kontekście wykraczającym poza horyzont ziemski. Jesteśmy dziś w momencie przełomowym, koncepcja praw człowieka stale się kształtuje, rozszerza. Może podam pewien przykład. Uważam, że prawa człowieka powinny być rozpatrywane w kontekście relacji między człowiekiem i środowiskiem. Jednak niedawno zapadło rozstrzygnięcie Europejskiego Trybunału Praw Człowieka dotyczące ochrony środowiska i w jego uzasadnieniu sędziowie stwierdzili, że „Europejska konwencja praw człowieka” nie przesądza

o istnieniu związku między człowiekiem i środowiskiem. Powiedziałabym, że zastosowano podejście bardzo formalistyczne i nieadekwatne do współczesnych wyzwań. W kontekście naszych praw do środowiska odpowiedniej jakości mogą podać przykład pozwów antysmogowych w Polsce i na świecie. Prawa człowieka to coś, z czym się rodzimy i z czym odchodzimy z tego świata, to nasze prawa niezbywalne, które świadczą o naszym dobrostanie i o które zabiegamy przez całe życie. Wypracowujemy coraz wyższe standardy w dziedzinie praw człowieka, jednak mam wrażenie, że w niektórych obszarach zatrzymaliśmy się na XIX w. Przykładem są coraz liczniejsze naruszenia przybierające formę nieludzkiego traktowania czy wręcz tortur. Mówimy o torturach w Polsce w XXI w.

KB: Proszę przybliżyć genezę praw człowieka, abyśmy mogli lepiej zrozumieć ich istotę. Ponad 70 lat temu uchwalono „Powszechną deklarację praw człowieka” i do dzisiaj w tej dziedzinie jest to najważniejszy punkt odniesienia. A co było wcześniej?

Tortury to hańba XXI w., a są niestety stosowane na całym świecie. Musimy podjąć wszelkie działania, aby to zjawisko wyeliminować.

HM: Jeżeli mówimy o historii praw człowieka, to musimy sięgnąć daleko wstecz, mianowicie aż do starożytności. Jednak na potrzeby naszej rozmowy wystarczy, że skupimy się na czasach współczesnych: „Karcie Narodów Zjednoczonych” i przywołanej już „Powszechnej deklaracji praw człowieka”, czyli dokumentach o znaczeniu ponadczasowym, obejmujących szeroki katalog praw człowieka. Deklaracja jest inspiracją dla wielu regulacji regionalnych, a także Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych oraz Międzynarodowego Paktu Praw Gospodarczych, Społecznych i Kulturalnych. „Powszechna deklaracja praw człowieka” oddziałuje na kształtowanie systemu praw człowieka w ujęciu globalnym. Odwołujemy się też do „Europejskiej konwencji praw człowieka”, która jest naszym lokalnym fundamentem i mocno zakorzenionym aktem prawnym. Gdy weźmiemy pod uwagę system europejski, to trzeba mówić również o „Europejskiej karcie społecznej”, „Zrewidowanej karcie społecznej” i o wielu konwencjach, które w sposób bezpośredni lub pośredni dotyczą praw człowieka. Odwołujemy się nie tylko do twardych standardów zawartych w prawie konwencyjnym, ale także do prawa miękkiego. Obecnie dużo uwagi poświęca się mowie nienawiści. Zasadniczo nie mamy definicji mowy nienawiści, ale przez wiele lat korzystaliśmy z rekomendacji Komitetu Ministrów Rady Europy z 1997 r., która już wtedy wprowadziła to pojęcie. Jeśli chodzi o wskazany obszar, brakuje nam definicji, którą można wprost przenieść do prawa krajowego. Poza tym jeżeli mówimy o różnych obszarach praw człowieka, to czas powojenny przyniósł ich znaczące przedmiotowe poszerzenie. Uważamy, że fundamentem praw człowieka są prawa różnych mniejszości, także seksualnych. Świat teraz zupełnie inaczej na to patrzy niż wiele lat temu. Prawa człowieka mają swoją ogromną dynamikę, ponieważ odpowiadają pewnym wyzwaniom w życiu społecznym, wyzwaniom cywilizacyjnym. Również nowoczesne technologie niosą ogromne zagrożenia dla praw człowieka, choć oczywiście są też dobrodziejstwem.

KB: Jak owa mnogość wątków przekłada się na faktyczny zakres zadań Rzecznika Praw Obywatelskich (RPO)?

HM: Rzecznik zajmuje się bardzo różnymi kwestiami, zgodnie z regulacjami Konstytucji RP i ustawy o Rzeczniku Praw Obywatelskich. Bardzo ciekawą lekturą byłoby prześledzenie skarg, które do nas wpływają, a jest to prawdziwa lawina. Czasami porównuję rolę RPO do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, ponieważ wiele osób uważa, że nasz urząd jest ostatnią instancją, w której można znaleźć sprawiedliwość. Są oczywiście pewne ograniczenia. Z uwagi na konstytucyjny mandat RPO nasze działania mają bardzo szeroki zakres. Ktoś może zapytać, dlaczego Rzecznik wypowiada się na temat rządów prawa; dlaczego zajmuje stanowisko, kiedy chodzi o Sąd Najwyższy, sądy powszechne, KRS; dlaczego wkracza

w materię, która wydaje się polityczna. Musimy stać na straży porządku instytucjonalnego, na straży podziału władz ustanowionego konstytucją. Jeżeli instytucje wykazują dysfunkcje i następuje załamanie wymiaru sprawiedliwości, będzie to miało wprost wpływ na funkcjonowanie jednostki, na naruszanie praw człowieka, brak dostępu i zaufania do sądów.

Nastąpi erozja instytucji państwa. Zaczyna się

od jednostki, która nie może się doczekać rozstrzygnięcia sądowego. Sądy są pod ogromną presją i jest wręcz niemożliwe sprawne funkcjonowanie ze względu na napływ skarg i szczupłość kadr. Sędziowie potrzebują zaufania społecznego, ale również obywatele potrzebują zaufania do sądów. Specjalny sprawozdawca ONZ ds. sądownictwa zwrócił uwagę, że kampania przeciwko sądom powoduje załamanie zaufania. Jeżeli nie wierzymy sądom, jednostka jest w sytuacji absolutnej desperacji, bo nie ma gdzie szukać sprawiedliwości. W działalności Rzecznika Praw Obywatelskich kumulują się wszystkie problemy związane z załamaniem rządów prawa, demokracji, praw człowieka. Tu widać, jak podmywane są filary. U nas skargi składają obywatele, którzy często nie potrafią sobie poradzić z różnymi prozaicznymi problemami, jak pozbawienie mieszkania, sprawy dotyczące komorników, sprawy związane z uciążliwymi odorami, które zakłócają funkcjonowanie całym społecznościom. Musimy myśleć o tym, w jaki sposób zwracać uwagę rządzącym i jak zmieniać pewne regulacje prawne. Obecnie podejmujemy różne kwestie wynikające z zabójstwa prezydenta Adamowicza, związane między innymi z funkcjonowaniem sądownictwa i zakładów karnych czy leczeniem osób zaburzonych psychicznie. Jeden przypadek pokazuje, że państwo w wielu obszarach nie zdaje egzaminu. Sprawa związana jest z mową nienawiści, przypadkami dramatycznego hejtu i brakiem odpowiednich reakcji ze strony państwa, prokuratury, policji, także sądów. Rzecznik Praw Obywatelskich to instytucja, która wspomaga państwo i wskazuje, gdzie są obszary wymagające naprawienia. I tutaj naszym zadaniem jest nie tylko rozwiązywanie problemów indywidualnych, ale także – a może przede wszystkim – usprawnienie funkcjonowania państwa i procedur, na których opierają się instytucje, poprzez zmianę systemu prawa.

KB: A jak to wszystko odnieść do wspomnianej tezy, że pewne kwestie związane z prawami człowieka ewoluują i odpowiadają na wyzwania XXI w., lecz nieraz następuje regres do wieku XIX?

HM: Przykładowo od dłuższego czasu przedmiotem naszej ogromnej troski jest funkcjonowanie zakładów karnych. Niewątpliwie widoczny jest postęp, jeżeli chodzi o pewne procedury, w tym traktowanie osoby, która pozostaje w detencji. Jednak nadal dochodzi do sytuacji opresji, która nigdy nie powinna mieć miejsca. Skazany musi być traktowany z godnością, zgodnie ze

standardami międzynarodowymi i prawa polskiego. Mówię nie tylko o zakładach karnych, ale także o sytuacji, kiedy obywatel znajduje się w rękach policji i dochodzi do nieludzkiego traktowania. W naszym biurze istnieje krajowy mechanizm prewencji tortur. Został powołany prawie 11 lat temu na mocy protokołu fakultatywnego do konwencji ONZ o zapobieganiu torturom i nieludzkiemu traktowaniu. Rzecznik odbywa wizytacje w miejscach zatrzymań, więzieniach, ale również domach pomocy społecznej. Takich placówek, które należy w Polsce zwizytować, jest ponad 3 tys. Stwierdzamy niejednokrotnie, że dochodzi do bardzo poważnych naruszeń, do stosowania przemocy fizycznej wobec osób zatrzymanych, do korzystania w sposób nieuprawniony z metod, które nigdy nie powinny być stosowane. Zdarzają się przypadki, gdy polski sąd stwierdza w wyroku, że stosowano tortury. Jest to rzadkie, ponieważ nie mamy definicji tortur w przepisach prawa karnego, zapożyczamy ją z konwencji ONZ. Od momentu zatrzymania jednostka jest przedmiotem naszej szczególnej troski, dotyczy to także młodzieżowych ośrodków wychowawczych, do których dzieci i młodzież kieruje się na podstawie orzeczenia sądowego. Stwierdzamy w nich niejednokrotnie przypadki ogromnej przemocy, nie tylko pomiędzy wychowankami, ale także przemocy stosowanej przez wychowawców wobec wychowanków. Przyzwolenie na przemoc wynika między innymi z akceptowania języka nienawiści. Osoby zawiadujące takimi placówkami czują się bezkarne. Oczywiście w Polsce nastąpił postęp, jeśli chodzi o funkcjonowanie zakładów karnych, ale nadal jest w nich wiele niedopuszczalnej opresji. Obecnie w biurze RPO realizujemy dużą kampanię „Państwo bez tortur”. Tortury to hańba XXI w., a są niestety stosowane na całym świecie, w różnych państwach. Musimy podjąć wszelkie działania, aby to zjawisko wyeliminować. Prawo musi być bardzo surowe wobec sprawców tortur. Do naszej kampanii przystąpiło bardzo wielu partnerów instytucjonalnych, m.in. Krajowa Rada Radców Prawnych, Naczelna Rada Adwokacka, Rada Europy. Według ostatnich badań przeprowadzonych przez Kantar Millward Brown 41 proc. społeczeństwa uważa, że tortury w pewnych sytuacjach są uzasadnione. Musimy zatem oddziaływać na postawy ludzi, musimy im wytłumaczyć, że tortury muszą być wyeliminowane z życia społecznego.

KB: A czy promując taką koncepcję, nie stoją państwo w opozycji do aktualnych trendów? Zwróć tu uwagę na kwestię tortur w postępowaniach antyterrorystycznych w USA po zamachu z 11 września 2001 r., na kwestię pewnego milczącego przyzwolenia światowej opinii publicznej na łagry w Rosji, na zasady orzekania kary śmierci w Chinach. Kiedyś przynajmniej media donosiły o przypadkach łamania praw człowieka w tamtych krajach. Dziś o wspomnianych mocarstwach pisze się głównie w aspekcie gospodarczym.

HM: Ja podałabym przykład więzień CIA w Polsce. Wiele osób uważa, że w pewnych sytuacjach tortury mogą być usprawiedliwione ratowaniem znacznie większej liczby ludzi. Poleciłabym

tym osobom lekturę dwóch orzeczeń Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w sprawie osób więzionych w Polsce. Tortury zadawane tym ludziom były straszne, a odpowiedzialność ponosi nasze państwo. Bardzo interesujący komentarz sformułowano w amerykańskim Senacie, stwierdzono bowiem, że więzienia CIA to największa hańba Ameryki. Nie ma żadnych dowodów na to, że tortury mogą przynieść jakiegokolwiek rezultaty prewencyjne lub śledcze. Warto tu wspomnieć wypowiedź niesłusznie skazanego Tomasza Komendy, który stwierdził, że pod wpływem tortur przyznałby się nawet do zabicia papieża. Tortury świadczą o niezdolności państwa do ludzkiego postępowania, które jest dużo bardziej skuteczne niż skrajnie opresyjne metody. Państwo powinno uruchomić cały swój potencjał, aby resocjalizować sprawcę. Tortury zaś tworzą sytuację zachęcającą ich ofiarę do pozostania na drodze przestępstwa.

RPO zajmuje się m.in. sprawą Krajowego Ośrodka Zapobiegania Zachowaniom Dyssocjalnym w Gostyninie, o którym ostatnio jest dosyć głośno. Uważamy, że stosuje się tam metody opresyjne, i identyfikujemy bardzo poważne nieprawidłowości. Także Komitet do spraw Zapobiegania Torturom Rady Europy stwierdził, że należy całkowicie zmienić filozofię funkcjonowania tego typu miejsc. Podczas niedawnej wizyty w Dolnej Saksonii w Rosdorfie mogliśmy porównać, jak tam funkcjonuje podobny ośrodek. Zauważyliśmy zupełnie inne podejście i znakomite rezultaty, które można osiągnąć, gdy instytucja państwa nastawiona jest na pomoc, resocjalizację i przygotowanie osadzonych do wyjścia na wolność i życia w normalnym społeczeństwie.

KB: Dlaczego więc w pewnych obszarach działania państwa pokutują XIX-wieczne zasady traktowania obywateli?

HM: Myślę, że nie zrobiliśmy wystarczająco wiele w dziedzinie edukacji. Również jako społeczeństwo mamy zbyt małe doświadczenia otwartości, tolerancji, rozumienia potrzeb i sytuacji drugiego człowieka. To jest niekończące się zadanie, które każdy z nas musi sam wykonać. RPO ma w tej sprawie wiele do powiedzenia, ponieważ spotykamy się z różnymi grupami społecznymi: młodzieżą szkolną, nauczycielami, funkcjonariuszami zakładów karnych.

KB: Padła kiedyś z ust rzecznika teza o kryzysie atlantyckiej koncepcji praw człowieka. Jak należy ją rozumieć?

HM: Kryzys jest widoczny, ponieważ obserwujemy sytuację, w której zamachy terrorystyczne przynoszą automatyczną reakcję ograniczania praw człowieka – uważamy, że tylko w taki sposób możemy ochronić społeczeństwo przed tego typu zdarzeniami. Co ciekawe, jeszcze niedawno takie podejście było nie do pomyślenia, a teraz staje się codziennością. Państwo chroni swoje społeczeństwo poprzez ograniczanie swobody wypowiedzi, ograniczanie prawa do zgromadzeń, a w tych sprawach powinna być zachowana niesłychanie delikatna równowaga. Czy akt terrorystyczny upoważnia instytucje państwa do zakazywania różnych form ekspresji wolności? Nie tak dawno obserwowałam, jak wygląda sytuacja we Francji po tamtej-

szych zamachach. Nagle społeczeństwo zaczęło obawiać się o swoje zdrowie i życie. Myślę, że to jest moment, kiedy ludzie są w stanie oddać pewną część wolności w imię bezpieczeństwa; podobnie jak godzimy się na drobiazgową kontrolę, wchodząc do samolotu. W jakim stopniu państwo może ograniczać naszą wolność? Bardzo często w konkretnych sytuacjach wypowiadał się na ten temat Europejski Trybunał Praw Człowieka. Nawet jeśli godzimy się na zwiększenie uprawnień sił policyjnych i inwigilowanie społeczeństwa, musi to być normowane przepisami prawa – muszą być określone granice.

KB: Ale chyba nie da się ściśle określić tej granicy, której państwo nigdy nie powinno przekraczać. Czy to zawsze będzie dyskutowane?

HM: Zawsze. Weźmy sytuację, która miała miejsce w Gdańsku. Gdyby pierwszą decyzją po zabójstwie prezydenta Adamowicza był zakaz zgromadzeń, byłoby to kompletne przekroczenie zarówno prawa, jak i granic zdrowego rozsądku. Powstaje raczej pytanie o sferę organizacyjną: jak państwo powinno dbać o bezpieczeństwo? Sięganie po najdalej idące środki zawsze będzie nieusprawiedliwione. Jest pewna gradacja środków, wynikająca np. z orzecznictwa Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Wiemy, że zdarzenia o charakterze bardzo niebezpiecznym mogą mieć miejsce, ale czy w związku z tym mamy ograniczyć naszą działalność społeczną? Musimy mieć kontakt z obywatelami, nie możemy zostać pozbawieni bezpośrednich relacji.

KB: Technologia staje się coraz potężniejsza, pewnie niebawem będzie w pewnym sensie autonomiczna. Czy prawa obywatelskie dotyczą również tej sfery?

HM: Absolutnie tak. To jest ogromnie ważny obszar. Chciałabym podać dwa przykłady. W trakcie naszej rozmowy rzecznik jest na spotkaniu regionalnym w sprawie patostreamingu. Bardzo intensywnie działa na rzecz jego wyeliminowania. Skala tego zjawiska jest duża, choć większości ludzi nie mieści się w głowach, że z przemocy pokazywanej w Internecie można zrobić biznes i że można się tym ekscytować. Rozmawiamy na ten temat w grupie zadaniowej, w skład której wchodzi między innymi przedstawiciel Ministerstwa Cyfryzacji, prokuratorzy, prawnicy i nauczyciele. Inna sprawa to dostęp dzieci do pornografii w Internecie – zastanawiamy się, w jaki sposób można je chronić. Prowadzimy grupę roboczą, która zajmuje się tym zjawiskiem w biurze RPO wraz ze Stowarzyszeniem Nasza Sprawa. Analizujemy przykłady innych państw, np. Wielkiej Brytanii, gdzie udało się ten problem ograniczyć. Nie zawsze rodzic jest w stanie sobie sam poradzić. Jeżeli nie będzie odpowiednich mechanizmów, w tym nakładania skutecznych filtrów, to niebezpieczne zjawisko będzie się rozszerzać.

KB: Zauważyłem dziwną prawidłowość: gdy dochodzi w Polsce do procedowania antyprzemocowych aktów prawnych dotyczących agresji wobec kobiet i w rodzinie,

to nagle pojawia się publiczny spór. Przeciętny obserwator może mieć problem ze zrozumieniem, o co w nim chodzi, skoro – na zdrowy rozum – trudno sobie wyobrazić, że ktoś nie zgadza się z rygorystycznym traktowaniem sprawców takich przestępstw.

HM: Problem jest bardzo ważny. Podam przykład z okresu, kiedy pracowałam w biurze Rady Europy. Wtedy bardzo intensywnie zabiegaliśmy o ratyfikację konwencji stambulskiej, czyli aktu prawnego Rady Europy dotyczącego przemocy domowej i przemocy wobec kobiet. Konwencja wywoływała – w sposób również dla mnie zupełnie niezrozumiały – najgorętsze polemiki. Na jakich argumentach się opierały? Po pierwsze negowano fakt istnienia przemocy. Twierdzono, że przemoc domowa i przemoc wobec kobiet to marginalne zjawisko. Po drugie odrzucano pojęcie gender, wykrzywiając kompletnie jego rozumienie. Trwały zaciekle debaty. W końcu jednak prezydent Komorowski podpisał ustawę ratyfikacyjną w symbolicznym miejscu, mianowicie w Centrum Praw Kobiet. Wtedy jedna z gazet napisała: „Złożony został podpis pod patologią”. Nie przemoc uznano za patologię, tylko ratyfikację konwencji Rady Europy. Trzeba sobie zdawać sprawę, że badania na temat przemocy wobec kobiet nie dają pełnego obrazu zjawiska, bowiem często przestępstwa dokonywane w zaciszu domowym nie są zgłaszane. Oczywiście powoli następują zmiany. Kobietom, które odważą się zgłosić, potrzebna jest infrastruktura państwa, np. hostele, oraz punkty pomocy psychologicznej. Często takim osobom trzeba zorganizować normalne życie. Rzecznik, w związku z transpozycją prawa UE, ma mandat do zajmowania się sprawami związanymi z przestrzeganiem zasady równego traktowania kobiet i mężczyzn, ale też innych grup społecznie marginalizowanych, jak osoby LGBT czy osoby z niepełnosprawnościami.

KB: Czy są dziś w polskim systemie prawnym zapisy, które stawiają w nierównej pozycji kobiety i mężczyzn?

HM: Nierówności bardzo często występują poza literą ustawy. Widać to na przykładzie zarobków. Kiedyś rozmawiałam z przedstawicielami różnych zawodów i pytałam, jak kształtują się relacje płac. Odpowiedziano mi, że płace w korporacjach nie są ujawniane. Zatem tylko z indywidualnych relacji wiemy, że kobiety mają znacznie niższe uposażenie niż mężczyźni. Nierówności dotyczą również udziału kobiet w życiu publicznym, w zarządach spółek czy w kierownictwie firm. Bardzo mnie cieszy, że Naczelna Rada Adwokacka przystąpiła do dużego projektu promowania kobiet. Z okazji 100-lecia adwokatury wygłosiłam wykład o nielicznych reprezentantkach zawodu, które zapisały się w historii. W tej chwili jest zupełnie inaczej – kobiety w adwokaturze mówią: palestra to kobieta. Utrwalają się pewne nowe zwyczaje, które mają zrównywać pozycję kobiet i mężczyzn, np. nie wypada organizować konferencji, w której prelegentami będą sami mężczyźni. Kobiety dochodzą do głosu także w tych obszarach, w których do tej pory nie były widoczne.

Coraz więcej postępowań sądowych w procedurze Komisja UE przeciwko danemu krajowi potwierdza, że następuje degradacja prawa, niszczenie standardów.

Widać taką tendencję w wielu państwach, nie tylko w Europie Środkowej i Wschodniej, także w Europie Zachodniej. W dzisiejszych czasach ujawnia się także historie kobiet wspierających mężczyzn, którzy zaistnieli na skalę światową. Za ich sukcesami stały często kobiety, które wykonywały określone prace, również intelektualne – teraz ich rola jest przywracana.

KB: Sporą część aktywności zawodowej poświęciła pani sprawom Europy.

HM: Zajmowałam się Radą Europy w Polsce. To międzynarodowa organizacja skupiająca 47 państw. Współpracowałam bardzo ściśle z Unią Europejską. Wchodziłam w skład grupy ekspertów, która spotykała się na długo przed akcesją Polski do UE w dawnym Urzędzie Komitetu Integracji Europejskiej; zajmowaliśmy się oceną dostosowania prawa polskiego do prawa Unii. Pracowałam również w grupie refleksyjnej powołanej przez prezydenta Kwaśniewskiego, w której dyskutowaliśmy różne ważne zagadnienia związane z przygotowaniem Polski do wejścia do UE. Uczestniczyłam w projekcie reformowania Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. W biurze Rady Europy udzielaliśmy obywatelom informacji na temat możliwości złożenia skargi do Trybunału lub organu krajowego – w ten sposób obsłużyliśmy 5 tys. obywateli. Przygotowaliśmy ogromną akcję społeczną w związku z trzecim szczytem Rady Europy w 2005 r. Odbłyło się wiele debat i wydarzeń kulturalnych, bo działalność Rady Europy dotyczy również nauki i kultury. Dziś w biurze RPO działam w trochę innym obszarze, jednak jest to pewnego rodzaju kontynuacja, bo Rada Europy też zajmuje się prawami człowieka.

KB: Dziś snuje się rozważania na temat przyszłości UE i padają różne tezy, niewątpliwie jednak nad tym podmiotem krąży widmo kryzysu. Co jest jego źródłem?

HM: Wszyscy przyczyniamy się do kryzysu Unii Europejskiej. To, co dzieje się na poziomie krajowym, czyli uchwalanie prawa niezgodnego z prawem UE, niewątpliwie powoduje erozję. A Unia chce harmonizować porządki prawne, chce, żeby system był spójny. Od momentu akcesji naszym zadaniem było budowanie tej spójności. Tymczasem coraz więcej postępowań sądowych w procedurze Komisja UE przeciwko danemu krajowi świadczy o tym, że następuje degradacja prawa, niszczenie standardów. Mamy w Polsce kryzys wymiaru sprawiedliwości, którego jesteśmy uczestnikami i kreatorami, i on bardzo ciąży UE. Musimy zdać sobie sprawę, że jesteśmy w sytuacji bez alternatywy; jedyne, co możemy robić, to budować spójną Unię. Brexit jest oczywiście problemem dla wszystkich, ale powinien być też wielką nauką dla tych, którzy mówią o Polencie i chcą mniejszej spójności prawa krajowego z prawem UE oraz zachowania – jak powiada się w dyskursie poli-

tycznym – większej suwerenności. Przecież my zdecydowaliśmy, że przekazujemy część uprawnień instytucjom Unii. A kto je tworzy? Między innymi przedstawiciele Polski. Kto tworzy prawo? Prawo na poziomie UE tworzy przedstawiciel danego kraju, bo on decyduje, on jest współprawodawcą. Ruchy wyłączające nas z głównego nurtu prac Unii działają przeciwko naszemu państwu i społeczeństwu. I to jest niezwykle niebezpieczna tendencja.

KB: Jednym z pani zainteresowań i kierunków działalności naukowej jest logika. Czy można powiedzieć, że jest ona fundamentalnym warunkiem istnienia i funkcjonowania państwa oraz jego instytucji, a także warunkiem pewnego poziomu racjonalności?

HM: Zawsze powtarzam moim studentom, że logika będzie im towarzyszyła w całym życiu zawodowym, nawet wtedy, kiedy przejdą już w stan spoczynku. Logika tworzy pewne instrumenty racjonalnego postępowania na podstawie określonych metod rozumowania. Nie zdajemy sobie sprawy, że w codziennym życiu uzasadniamy twierdzenia zgodnie z zasadami logiki. Przede wszystkim powinny z niej wynikać zalecenia dla tych, którzy tworzą i stosują prawo – żeby działali zgodnie z pewnymi regułami i pamiętali, jak precyzyjny powinien być język i jak powinien być zredagowany akt prawny. Tworzenie definicji legalnej to przede wszystkim praca dla prawnika, który musi znać logiczne zasady redagowania aktu prawnego. Właściwie już Arystoteles tworzył całą teorię definiowania. Natomiast gdy czytamy dziś akty prawne, to często widać, że nasz ustawodawca nie przeczytał podręcznika do logiki, zapomniał o pewnych regułach dotyczących konstruowania aktu prawnego. A takie techniczne elementy tworzenia normy prawnej są niezmiernie istotne i niosą ładunek rzeczywistości. Logika w rękach ustawodawcy jest niezwykle ważnym instrumentem. Uczymy studentów prawa o logikach starożytnych, bo już wtedy zajmowano się językiem, różnymi ważnymi kwestiami dotyczącymi paradoksów mowy, definiowaniem – ówczesne ustalenia są dziś naszym źródłem.

KB: Sposób wnioskowania wielu osób publicznych wskazuje, że logika powinna na stałe zagościć w programach nauczania, nie tylko na studiach.

HM: Mówiłam o logice w kontekście redagowania aktu prawnego, ale przecież logika zajmuje się również argumentacją, w tym także chwytami erystycznymi. W debacie populistycznej posługujemy się nimi w sposób intencjonalny bądź nieintencjonalny, błędy w uzasadnianiu twierdzeń też są często zamierzone. W ten sposób chwytamy przeciwnika w pewną pułapkę. Brakuje u nas edukacji logiki na szeroką skalę. Logika jest zmarginalizowanym obszarem dociekań, a powinna być włączona do różnych działań edukacyjnych od najmłodszych lat.

Bogusława Skowroński

– doradca inwestycyjny
w transakcjach międzynarodowych,
współzałożyciel Fundacji Przedsię-
biorczości Technologicznej, członek
zarządu akceleratora MIT Enterprise
Forum Poland, inwestor zarządzający
funduszami inwestycyjnymi.

© ARCHIWUM BOGUSŁAWY SKOWROŃSKIEJ



Ze środków publicznych **nie zbudujemy wielkich biznesów**

O potencjale polskich start-upów i sposobach ich wspierania
oraz o wizerunku technologicznym kraju z **Bogusławą Skowroński**
rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Jak wygląda polski rynek start-upów na światowym tle?

Bogusław Skowroński: W Polsce start-upy technologiczne zaczęły rozwijać się na poważnie mniej więcej pięć lat temu. W Stanach Zjednoczonych już w latach 70. ubiegłego wieku powstały centra innowacyjności w Dolinie Krzemowej w Kalifornii i przy Drodze 128 wokół Bostonu. Zatem nie wolno nam się porównywać z potentatami, nie możemy też spodziewać się spektakularnych sukcesów bardzo szybko. Potrzebne są pieniądze, ale przede wszystkim czas na kształtowanie pewnej kultury działania i budowanie ekosystemu, w którym funkcjonują uczelnie, start-upy, inwestorzy, akceleratorzy, doświadczeni mentorzy biznesowi i korporacje intensywnie skupione na rozwijaniu innowacyjnej działalności. Mieszkam w Szwajcarii i z tej perspektywy spoglądam na dokonania Polski. Widzę szczególnie dużo projektów z dziedziny medycyny, czyli *life science*, fintech oraz digitalizacji przemysłu. Trzeba mieć na uwadze, że koncerny farmaceutyczne nie posiadają w Polsce działów badawczo-rozwojowych, a jedynie działy marketingu i sprzedaży. Dotarcie do odpowiednich osób za granicą odpowiedzialnych za rozwój nowych leków jest dla polskich przedsiębiorców niezwykle trudne. Chlubnym wyjątkiem jest łódzka firma biotechnologiczna Mabion, której udało się pozyskać kilku bardzo poważnych inwestorów z sektora *life science* w USA i Kanadzie. Opracowała ona najnowszej generacji leki oparte na technologii przeciwciał monoklonalnych, która umożliwia terapie celowane, polegające na rozpoznaniu raka i oddziaływaniu tylko na niego.

Bardzo popularne na świecie są teraz wszelkie projekty z dziedziny sztucznej inteligencji (ang. *artificial intelligence*, AI), w tym *digital health*, które wykorzystują procedury AI w nowych technologiach medycznych i cedują zarządzanie procesem leczenia na pacjenta. Niedługo będą leczyły nas roboty, bo tylko one będą w stanie przetworzyć olbrzymie ilości informacji medycznych, a lekarz będzie włączony w procedurę dopiero na końcu procesu diagnostycznego, i to jedynie w wątpliwych przypadkach, wymagających interwencji człowieka. Dużym problemem Europy jest brak dostępu do danych. Amerykańskie firmy, jak Google, Facebook czy Amazon, gromadzą biliony danych, na podstawie których mogą testować różne algorytmy. Polska, tak jak i inne kraje europejskie, takich baz nie posiada, ale myślę, że w najbliższej perspektywie ten aspekt może tracić na znaczeniu, ponieważ powstaną algorytmy, które będą się sprawniej uczyły, bez konieczności posiadania olbrzymiego wolumenu danych historycznych.

Z pewnością mamy wielki kapitał ludzki. Aby wykorzystać ten potencjał, powstała Fundacja Przedsiębiorczości Technologicznej, której celem jest wyszukiwanie dobrze rokujących start-upów i umożliwienie ich akceleracji. Polska ma potężny atut w postaci

młodych i wykształconych ludzi, którzy potrafią zgłębić problem do najmniejszego szczegółu. Według raportu McKinseya „The rise of Digital Challengers” Polska dzięki cyfryzacji ma szansę doścignąć w niektórych obszarach europejską czołówkę do 2025 r., pod warunkiem podjęcia realizacji określonych działań strategicznych.

KB: Czy wiadomo, kiedy procesy cyfryzacji umożliwią realne przemiany, które będą dotyczyć ogółu społeczeństwa, np. w dziedzinie *life science*?

BS: Gdybym to wiedziała... Bill Gates powiedział, że przyszłość wydaje nam się odległa, ale wszystko w rzeczywistości dzieje się szybko. Mamy wrażenie, że to, co minęło obiektywnie dawno, było zaledwie wczoraj. Zwróćmy uwagę, jak bardzo zmieniły się media społecznościowe na przestrzeni ostatnich pięciu lat. Komunikatory internetowe Messenger i WhatsApp powstały w 2009 r., ale ich gwałtowny rozwój następuje dopiero od trzech lat. Wszyscy czują oddech postępu na plecach. W medycynie będzie podobnie, z tym że jest to sektor trudniejszy, ponieważ obowiązuje w nim wiele regulacji. Ostatnio spotkałam się z firmą, która potrafi badać dzieci dzięki zastosowaniu sprawnych algorytmów, bez pomocy lekarza. Ale żeby wyszkolić ten algorytm, potrzeba wielu wrażliwych danych, do których spółka nie ma łatwego dostępu. Niezbędna jest decyzja na poziomie ministra zdrowia, aby dane z różnych placówek medycznych móc przysyłać do specjalnie skonstruowanej chmury, tam je anonimizować, a następnie zezwolić na dostęp. To dałoby ogromną przewagę konkurencyjną kraju.

KB: Administrację publiczną charakteryzuje opór przed zmianą. Skoro sama ustanawia reguły, nie musi szukać efektywniejszego modelu działania.

BS: Odpowiem, podając przykład Szwajcarii, którą znam najlepiej. Tam urzędnicy mają obowiązek pomagać przedsiębiorcy. Uświadamia im się, że ich pensje są opłacane z jego podatków, dlatego są gotowi służyć pomocą. System rejestracji przedsiębiorców jest również bardzo przejrzysty, więc nie potrzeba sztabu prawników, aby wypełnić wszystkie dokumenty. W Polsce – mimo deklaracji uproszczenia procedur i ułatwienia życia przedsiębiorcom – skutki są odwrotne. Spółki z globalnym potencjałem będą się częściowo wycofywać z Polski. Działy zajmujące się rozwojem biznesu będą powstawały za granicą, gdyż globalny biznes potrzebuje rynków rozwiniętych. W USA czy na Dalekim Wschodzie (na przykład w Singapurze czy na Tajwanie) może działać niewielka struktura firmy, która zarządza biznesem i nawiązuje kontakty handlowe, bo wszystkich wielkich ma na miejscu. Natomiast w Polsce pozostaną działy badań i rozwoju, produkcji, logistyki, marketingu, które dadzą zatrudnienie. Tak się dzieje we wszystkich krajach europejskich, jak

choćby w Estonii, Holandii czy Danii. Europa jest przygotowana do tworzenia projektów i ich testowania, ale biznes trzeba robić globalnie. Należy też brać przykład ze spółek izraelskich, które opanowały sztukę szybkiego wychodzenia w świat z projektem. Ledwie wdrożony i przetestowany w kraju, a już pozyskuje ogromne budżety na rozwój w USA. To z pewnością wzór do naśladowania, tym bardziej że Izrael jest otwarty, aby dzielić się wiedzą.

KB: Proszę opowiedzieć o działalności Fundacji Przedsiębiorczości Technologicznej.

BS: Jestem jednym z założycieli, choć na co dzień jej nie prowadzę. Fundacja pełni funkcję akceleratora, którego celem jest wsparcie firm technologicznych w szybszym budowaniu swojej wartości, w przygotowaniu do wyjścia w świat. Aby uzyskać szybszy dostęp do globalnego rynku, zwiąaliśmy się ze znaną amerykańską marką MIT (Massachusetts Institute of Technology), tworząc MITEF Poland (MIT Enterprise Forum Poland). Dziś ważne jest, by natychmiast sprawdzać, czy dany pomysł ma szansę odnieść sukces na rynku globalnym. Zależało nam na współpracy z dużą firmą z uznaną renomą, ekspertami i zasobem wiedzy, którym chce się podzielić. MIT z pewnością jest taką instytucją. Co roku powstaje tam ponad 100 start-upów technologicznych, zaś ludzie są otwarci na ryzyko. Jeśli widzą osobę z ciekawym pomysłem, który może zmienić świat, to bez wahania wykładają kapitał i inwestują. U nas nie ma jeszcze takiej praktyki. Są akceleratorzy, które dają spółkom dotacje, co jest ważne, ale nie najważniejsze. My rozpoczęliśmy działalność w 2015 r. bez żadnego kapitału publicznego. Nasze start-upy są przede wszystkim wspierane przez partnerów korporacyjnych, obecnie uczestniczymy też w programie Scale Up. Start-up w naszym akceleratorze jest kojarzony z jednym lub kilkoma partnerami, którzy poszukują danego rozwiązania, i przez rok wspólnie z nimi rozwija projekt. Ponadto ma dostęp do mentorów i ekspertów z międzynarodowej sieci MIT. Najlepsi wyjeżdżają na tygodniowy *bootcamp* do Bostonu, aby zaprezentować swój pomysł w MIT przed biznesem amerykańskim. Młodzi przedsiębiorcy cały czas funkcjonują w ekosystemie start-upów i choć na początku są nieco onieśmieni, szybko zaczynają czerpać korzyści, ucząc się od siebie nawzajem.

KB: Kim są partnerzy akceleratora?

BS: To korporacje strategicznie zainteresowane innowacyjnym rozwojem. Współpracują ze start-upami, by rozwiązywać konkret-

ne problemy. Oczywiście korporacja mogłaby zlecić dane zadanie firmie zewnętrznej lub zrealizować je własnymi siłami, ale nikt nie zrobi tego lepiej i szybciej niż ktoś zmotywowany własną pasją i żądzą sukcesu.

KB: Czy aby odnieść sukces, trzeba być tytanem pracy, który stale działa na najwyższych obrotach?

BS: Taki model obowiązywał w USA w latach 80. ubiegłego wieku. Na szczęście się to zmieniło. W Polsce również. Stefan Batory jest, można powiedzieć, notorycznym przedsiębiorcą, bo ma na swoim koncie dwa software house'y (Eo Networks i Sensi Soft), szyb-

ko rosnącą firmę taksówkową (iTaxi), a teraz stawia na Booksy, aplikację, która umożliwia rezerwację wizyt u fryzjera czy kosmetyczki i w którą, nawiasem mówiąc, zainwestowałam. Z Booksy korzysta już 120 tys. salonów na całym świecie i 2 mln użytkowników. Każdego miesiąca dokonują 2,5 mln rezerwacji o wartości ponad 75 mln dolarów. Stefan Batory mieszka już w USA, co oznacza, że choć w Polsce funkcjonuje jego dział badań i rozwoju, to głowa – czyli zarządzanie – jest już w Stanach. Kiedy z nim rozmawiałam o metodzie pracy, przyznał, że początkowo pracował non stop i na najwyższych obrotach, tego samego wymagał też od zespołu. Powodowało

to szybkie wypalenie. Na szczęście jego podejście jest dziś inne. Wielu polskich przedsiębiorców żyje i działa w USA, i świetnie sobie radzi, pozyskując finansowanie z funduszy typu venture capital. Polacy potrafią pracować na pełnych obrotach. Takie tempo działania narzuca nam bardzo dynamicznie rozwijający się cyfrowy świat. Aby realizować się w istniejącej rzeczywistości, trzeba szybko zbudować unikalne rozwiązanie i wprowadzić je na globalny rynek.

KB: Zmiana podejścia do pracy i zmiana stylu życia są dziś powszechne.

BS: Z pewnością. Kiedy mieszkałam i studiowałam w USA w latach 70. i 80., słyszałam o tym, w jaki sposób banki inwestycyjne przeprowadzały rekrutacje pracowników wśród absolwentów Harvard Business School. Podczas spotkania rekrutacyjnego poruszano trudne i nieprzyjemne kwestie, aby sprawdzić, jak szybko można danego kandydata doprowadzić do płaczu i po jakim czasie stresowej sytuacji wpadnie on w panikę. Byłam w USA od niedawna i oburzało mnie takie traktowanie ludzi. Powiedziałam sobie, że nigdy nie wezmę udziału w takiej procedurze. A dla Amerykanów to była po prostu rzeczywistość rekrutacji zawodowej.

Korporacja mogłaby zrealizować dane zadanie własnymi siłami, ale nikt nie zrobi tego lepiej i szybciej niż ktoś zmotywowany własną pasją i żądzą sukcesu.

Dzisiaj, w dobie milenialsów, takie praktyki są już nie do pomyślenia. Pokolenie Y żyje w globalnej wiosce, bo jest dobrze zaznajomione z nowymi technologiami. Jakość życia przedkłada nad stan posiadania. Ma dużą wiedzę, odnajduje się na wolnym rynku, stawia na własny rozwój, lecz uważa, że praca nie może wiązać się z nadmiernymi ograniczeniami. Przedstawiciele tego pokolenia zwiększają grono przedsiębiorców. Dzisiaj młody biznesmen jest człowiekiem bardzo dobrze wykształconym. Mógłby dostać dobre wynagrodzenie w stabilnych, dużych firmach, ale woli zaryzykować i budować rzeczy od podstaw, mając przekonanie, że realizuje ważne projekty, które są w stanie zmienić świat.

Zmieniamy się również my – użytkownicy ich produktów. Choć boimy się zmian, bo wytrącają nas ze strefy komfortu, każąc stale się uczyć, to kiedy przyswoimy nowe technologie ułatwiające nam życie – nie potrafimy się bez nich obyć. Wystarczy wspomnieć, jak bardzo Facebook zmienił komunikację społeczną. Teraz podobna rewolucja może nastąpić w bankowości dzięki brytyjskiej aplikacji Revolut Nikolaya Storonsky'ego, która powstała zaledwie cztery lata temu, a ma już w Europie 4 mln użytkowników. Umożliwia tanią wymianę walut przy użyciu smartfona i płatności kartą bez kosztów przewalutowania. W Polsce liczba użytkowników tej aplikacji rośnie w postępie geometrycznym – w ciągu roku osiągnięto wynik 340 tys.

KB: Jaka jest specyfika działania funduszy venture capital?

BS: Fundusz ma w swoim portfolio kilka lub kilkanaście spółek, w które zainwestował. Statystycznie 20 proc. jest niewypałem, 10–15 proc. okazuje się strzałem w dziesiątkę, a pozostałe są tzw. średniakami. Zarządzający funduszem nie są zazwyczaj w stanie zająć się wszystkimi spółkami, więc dokonują wyboru tych, nad którymi będą sprawować osobistą kuratelę. Kierujemy się stopniem osobistego zmotywowania przedsiębiorcy oraz rodzajem projektu, który ma największe szanse na rynku. Z reguły na dobrych spółkach technologicznych można osiągnąć zwrot na kapitale z przebiegiem 10–40-krotnym. Najlepsze wyniki osiąga się, kiedy rozwiązanie wejdzie do dystrybucji dużej korporacji. Mogę się pochwalić bardzo udanym przedsięwzięciem z naszego akceleratora: 20 lutego na warszawskiej giełdzie zadebiutowała spółka XTPL, przechodząc z rynku NewConnect na rynek główny. XTPL rozwija i komercjalizuje technologię ultraprecyzyjnego druku nanomateriałów, a swoją ofertę kieruje do światowego rynku elektroniki, wartego miliardy dolarów. To rozwijanie może być także

zastosowane przy produkcji inteligentnego szkła, które zmienia przejrzystość w zależności od poziomu natężenia oświetlenia na zewnątrz. Jestem dumna z dokonania zespołu Filipa Granka, bo jego spółka została wyłoniona w pierwszej edycji MITEF Poland i jest już obecna na wielu rynkach – usłyszymy o niej jeszcze wiele dobrego.

Chętnie pomagam młodym przedsiębiorczym Polakom, bo pamiętam swoje początki w USA, kiedy nikt nie wiedział, gdzie leży Polska, a jeżeli ktoś kojarzył nasz kraj, to tylko z zacofaniem. Nie było łatwo żyć z takim brzemieniem. Polacy są niezwykle utalentowani, przedsiębiorczy i pracowici. Robię wszystko, aby uwierzyli, że nie są gorsi od Amerykanów, Szwajcarów czy Niemców.

Choć boimy się zmian, bo wytrącają nas ze strefy komfortu, każąc stale się uczyć, to kiedy przyswoimy nowe technologie, nie potrafimy się bez nich obyć.

KB: Jaki jest ogólny wizerunek Polski w branży inwestorskiej albo branży start-upów?

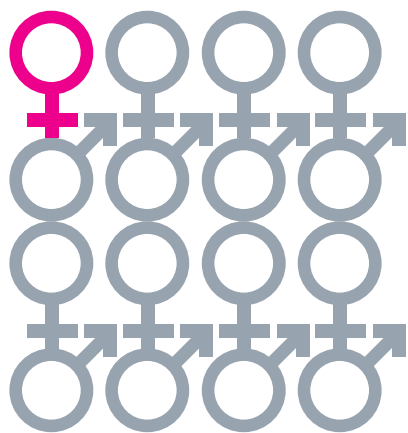
BS: Naszym głównym problemem jest to, że w tej branży nikt nas nie zna. Nie ma technologicznego wizerunku Polski, który byłby konsekwentnie budowany. Raz w roku wydarzy się coś ważnego i spektakularnego, o czym nawet prasa napisze, ale potem następuje martwa cisza. W USA specjaliści od nowych technologii traktują Europę Centralną jako technologiczną *terra incognita*. Przynajmniej można w spokoju pracować. (śmiech) Przydałyby się jednak kanały dotarcia do dużych amerykańskich

korporacji, żeby spółki mogły tam regularnie bywać i nawiązywać kontakty biznesowe. Staram się je tworzyć, jak tylko mogę. W tym celu organizowane są wyjazdy naszych start-upów na *bootcamp* w Bostonie. Ale moje działania to kropla w morzu potrzeb. Na większy rozmach potrzeba znacznie większych środków. I nie myślę tu wcale o środkach publicznych, ale o kapitale prywatnym funkcjonującym na normalnych zasadach.

KB: W oparciu o kapitał publiczny nie zbudujemy unicornów?

BS: Kapitał publiczny nie rozwinie wielkich biznesów, ale jest niezbędny, aby dać szansę młodym, niesprawdzonym start-upom. Natomiast przede wszystkim potrzebujemy funduszy międzynarodowych, bo rozwijający się start-up wymaga nowego finansowania w każdym roku działania. Aby świat się nami zainteresował i chciał w Polsce zbudować sieć start-upów, ponosząc koszty stałe jej obsługi, ich podaż musi być znacznie większa. Projektów jest dużo, ale dobrych – już niewiele. W tym tkwi sedno sprawy. Potrzeba czasu, wytrwałości i wiary w sukces.

Opowieści zarządzających



Czy w Polsce kobiety mają wpływ na zarządzanie biznesem? Jakie zmiany zaszły na tym polu w skali ostatnich lat? Czy zwiększenie roli kobiet w zarządzaniu przynosi firmom korzyści, a jeśli tak, to jakie? Aby znaleźć odpowiedzi na tak postawione pytania, poprosiliśmy o komentarz przedstawicieli przedsiębiorstw działających na polskim rynku. Wypowiedzi udzielili nam prezesi, członkowie zarządów, dyrektorzy, właściciele – nie tylko kobiety.

Joanna Seklecka prezes Zarządu eService

Kobiety w naszej spółce odgrywają ważną rolę. Są między innymi członkami zarządu i menedżerkami zarządzającymi znaczną częścią kluczowych departamentów naszej firmy. Departament Sprzedaży i Relacji z Klientami, Departament Operacji, Biuro Klienta Kluczowego czy Dział HR nie istniałyby bez pełnego zaangażowania i kompetencji koleżanek. W eService jest nas całkiem sporo, panie obecne są na każdym szczeblu w strukturze firmy. Z doświadczenia wiem, że panie świetnie sobie radzą w takich branżach, jak IT, finanse czy telekomunikacja – choć mogłoby się wydawać, że to obszary działalności, które są domeną mężczyzn. Kobiety na stanowiskach wymagających głębokiej wiedzy technicznej to coraz bardziej widoczny trend, który moim zdaniem w nadchodzących latach będzie się rozwijał jeszcze szybciej.

Większa liczba kobiet na stanowiskach zarządzających i kierowniczych pozytywnie wpływa na funkcjonowanie firm, a dowodów na to nie trzeba długo szukać. Specjaliści od lat podkreślają, że pełna aktywizacja zawodowa kobiet dałaby rezultat w postaci 10-proc. wzrostu światowego PKB. Doświadczenia przedsiębiorstw działających w różnych branżach pokazują, że różnorodność menedżerów, w tym zaangażowanie kobiet we władzach firm, daje szereg konkretnych korzyści, m.in. możliwość spojrzenia z różnych perspektyw, wymianę argumentów oraz różnorodne zarządzanie relacjami interpersonalnymi wewnątrz firmy. Panie doskonale sprawdzają się we wszystkich typach działalności, w tym w budowaniu i utrzymywaniu relacji



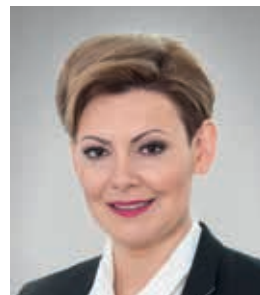
z klientami zewnętrznymi, w finansach i technologii, zaś firmy powierzające im stanowiska kierownicze charakteryzuje między innymi wyższy poziom innowacyjności, wyższa rentowność i wskaźnik marży.

Joanna Wodzyńska współwłaścicielka Grupy Tubądzin

Bez wahania mogę powiedzieć, że bez kobiet Grupa Tubądzin nie zdobyłaby pozycji lidera innowacji. Mam przyjemność współtworzyć markę Tubądzin od 20 lat i wiem, że w świecie fabryk, płytek ceramicznych, logistyki i produkcji – który może wydawać się bardzo męski – kobieca dokładność, wrażliwość, ale też siła i konsekwencja są nie do przecenienia.

W naszej firmie dział projektowy to w większości kobiety. Pracują one także na linii produkcyjnej i w dziale technologicznym. W dziale kontroli jakości zajmują stanowiska kierownicze, nawet naszej bardzo rozbudowanej logistyce szefuje kobieta, której podwładnymi są de facto sami mężczyźni. Odpowiada ona zarówno za sprawy operacyjne wewnątrz całej Grupy Tubądzin, jak i zarządzanie logistyką zewnętrzną.

Wysoko cenię dokładność i zaangażowanie kobiet w pracę. Wiem, że w naszej firmie możemy im zaufać – polskie kobiety są niezwykle odpowiedzialne. Mogę również z dumą powiedzieć, że u nas ścieżka rozwoju zawodowego nie jest związana z płcią – mężczyźni i kobiety na podobnych stanowiskach zarabiają tyle samo, a ich praca oceniana jest według takich samych kryteriów. Musimy jednak pamiętać, że dla kobiet praca związana z ciągłymi



wyjazdami, logistyką, podróżami zagranicznymi często nie jest atrakcyjna ze względu na brak czasu dla rodziny. Dlatego te obowiązki w naszej firmie wybierają najczęściej mężczyźni, zaś kobiety zajmują stanowiska bardziej twórcze i kreatywne. Tutaj warto wspomnieć o wybitnej artystce i projektantce Dorocie Koziarce, która specjalnie dla nas stworzyła przepiękną i ponadczasową kolekcję Cielo e Terra, inspirowaną kolorami Polski.

Trudno mi mówić o rozwoju firmy w kontekście kobiet i nie wspomnieć o sobie – mam przyjemność i zaszczyt towarzyszyć zarządowi firmy w całym procesie decyzyjnym, budować wizerunek marki Tubądzin, nadawać ton spotkaniom z kluczowymi klientami. Zawsze lubiłam być blisko ludzi, stąd wszystkie działania naszej firmy, które wychodzą poza obszar ceramiki, związane z filantropią, sztuką, pomocą społeczną czy edukacją, są niezwykle bliskie mojemu sercu i pozwalają mi – jako kobiecie – pokazać Grupę Tubądzin z nieco innej strony.

Piotr Krupa

prezes Zarządu Kruk SA

Kruk SA to jedyna spółka notowana na GPW, w której zarządzie zasiada więcej kobiet niż mężczyzn. To nie przypadek, tylko odzwierciedlenie faktu, że 60 proc. stanowisk kierowniczych w firmie jest zajmowana przez panie.

Naszymi klientami są osoby, które z różnych powodów nie uregulowały swoich zobowiązań finansowych, a my pomagamy im wyjść z długów. Pierwiastek kobiecy jest widoczny także w stylu obsługi klientów – do osób zadłużonych podchodzimy z empatią i szacunkiem. Ostatnie, przeprowadzone w 2018 r. badanie kultury organizacji ponownie potwierdziło, że członkowie zespołu Kruka są przede wszystkim nastawieni na współpracę, a najważniejsze dla nich wartości to wzajemny szacunek i dobra atmosfera pracy, która sprzyja efektywności. Stawiamy na partnerskie i możliwie najmniej hierarchiczne struktury i relacje, niezależnie od zajmowanego stanowiska. Z badań wynika, że nasi menedżerowie mają naturalną skłonność do szukania porozumienia i preferują pracę zespołową. Takie podejście wyraża się w podejmowaniu decyzji w oparciu o konsultacje, burze mózgów i rozważenie wielu możliwości. Relacje opierają się na zaufaniu i poczuciu bezpieczeństwa. Nasz model zarządzania sprawia, że w centrum zainteresowania pracowników jest przede wszystkim sukces zespołowy, a nie indywidualny. Wierzmy po prostu, że *team* oznacza *together everyone achieves more*.

Co ciekawe, z badania wynika też, że wspomniane wyżej wartości są równie istotne dla zatrudnionych w Kruku mężczyzn. A można byłoby się spodziewać, że wybiorą cechy kojarzone z typowo męskim stylem zarządzania, czyli np. rywalizację, chęć odniesienia indywidualnego sukcesu, konfrontację czy skłon-



ność do ryzykownych działań. Tymczasem osoby o takim profilu (niezależnie od płci) po prostu nie pasowałyby do kultury naszej organizacji, która ceni i preferuje zespołowość, troskę o innych i wzajemny szacunek, czyli wartości, które w literaturze określane są jako kobiece. Od debiutu giełdowego w 2011 r. Kruk z roku na rok poprawia swoje wyniki finansowe, a wzrosty są zwykle dwucyfrowe. W tym okresie wynik finansowy netto wzrósł z 66,4 mln zł w 2011 r. do 295,2 mln zł netto w 2017 r. Firma, posiadająca już oddziały w Rumunii, Czechach i Słowacji, rozpoczęła działalność na rynkach włoskim, hiszpańskim i niemieckim. Zespół Grupy Kruk tworzą obecnie 3154 osoby. W 2015 r. otrzymaliśmy tytuł giełdowej spółki roku „Pulsu Biznesu”, a w roku 2017 nasz zarząd został wybrany przez tenże dziennik najbardziej kompetentnym zarządem.

Aneta Raczek

prezes Zarządu Ferro SA

W firmie Ferro kobiety mają bardzo istotny wpływ na zarządzanie, ponieważ pełnią kluczowe funkcje: prezesa zarządu (Aneta Raczek) oraz wiceprezesa zarządu, a równocześnie dyrektora finansowego i administracyjnego (Olga Panek). Dwie kobiety u steru odnoszącej sukcesy spółki giełdowej, działającej w branży armatury sanitarnej i instalacyjnej oraz techniki grzewczej, niewątpliwie ocieplają wizerunek firmy, budzą zainteresowanie, a nawet podziw typowo męskiego środowiska zawodowego. W zarządzaniu bardzo przydatna jest intuicja biznesowa, a także kompetencje miękkie, takie jak umiejętności interpersonalne, efektywne sposoby radzenia sobie ze stresem, empatia, które częściej przypisywane są kobietom. Jednak pozycja Ferro – jednego z największych w Europie Środkowo-Wschodniej producentów armatury sanitarnej i instalacyjnej – jest efektem pracy całego zespołu, kierowanego przez kompetentnych menedżerów w oparciu o wiedzę i doświadczenie; płeć ma drugorzędne znaczenie, a raczej – kompetencje nie mają płci.



Ryszard Wtorkowski

prezes Zarządu LUG SA

W zarządach spółek Grupy Kapitałowej LUG zasiada kilka pań. Jedną z nich – prywatnie moja żona – przewodzi Radzie Nadzorczej LUG. Kobiety są również dyrektorkami w naszej firmie, zatem mają znaczący wpływ na zarządzanie. Jednocześnie uważam, że firma, podobnie jak zdrowe społeczeństwo, potrzebuje różnorodności; siłą napędową biznesu powinny być mieszane, damsko-męskie zespoły. Mówię to, opierając się na własnym doświadczeniu – kobiety były obecne przy podjęmo-



waniu decyzji i kształtowaniu oblicza naszej firmy od początku jej działalności. W latach 90., kiedy wspólnie z moim ojcem rozpoczynaliśmy produkcję lamp, moja mama i żona kierowały działem personalnym. Wówczas byliśmy małą firmą rodzinną z ogromnymi marzeniami. Jak widać, zgrany damsko-męski zespół poprowadził nas do sukcesu. Dziś wiele się zmieniło, ale wartości i zasady, jakimi kierujemy się w biznesie, pozostały te same. Po blisko 30 latach obserwowania rozwoju naszej firmy i czynnego udziału w jej zarządzaniu mogę z całą pewnością powiedzieć, że siłą LUG są interdyscyplinarne zespoły, w których pracują kobiety i mężczyźni – to zapewnia nam różne punkty widzenia.

W naszej męskiej branży pojawienie się kobiet jest cenne z wielu powodów, m.in. pomaga budować relacje, łagodzi obyczaje męskich dyskusji. Panie pozytywnie wpływają na funkcjonowanie zespołów, którymi zarządzają – zachęcają do wyrażania opinii, zmniejszają dystans, konsultują decyzje. Ważnym elementem kobiecego zarządzania jest empatia i zdolność poszukiwania porozumienia. Kobiety doceniają inny punkt widzenia, nie odbierając go jako atak na ich przywództwo. Zaletą pań na kierowniczych stanowiskach jest też większa odporność na stres i zdolność działania pod presją wielu zadań.

Iwona Wtorkowska

przewodnicząca Rady
Nadzorczej LUG SA

Moim zdaniem wciąż zbyt mało kobiet zasiada w zarządach spółek i w radach nadzorczych. Jest to o tyle zastanawiające, że gdy spojrzysz się na statystyki dotyczące przedsiębiorczości, wyraźnie widać, że dziś co czwarta firma zakładana jest przez kobietę. W Grupie Kapitałowej LUG stawiamy na równość płci. W zarządach spółek LUG Light Factory i LUG SA zasiadają kobiety. Podobnie jest w Radzie Nadzorczej LUG. Kobiety są dobrymi organizatorkami, cenią pracę zespołową, są odporne na stres. Naszą strategią jest zatrudnianie najlepszych pracowników, a czy to będzie kobieta, czy mężczyzna – decydują wiedza i umiejętności.

Badacze na całym świecie kilkakrotnie udowodnili już, że organizacje, w zarządach których udział kobiet przekracza 30 proc., osiągają wyższe wyniki finansowe (wg Peterson Institute for International Economics – wzrost o 6 proc.). Niestety takich firm jest wciąż niewiele, a zatem potencjał kobiet nie jest powszechnie wykorzystywany. Wierzę, że wymierną korzyścią aktywności kobiet na stanowiskach zarządczych są zrównoważone procesy decyzyjne, wnikliwy nadzór korporacyjny, wysoki poziom przestrzegania norm etycznych, sprawny system zarządzania ryzykiem, lepsze prognozowanie i wyższe wyniki finansowe.



Anna Górecka-Kolasa

prezes Zarządu TuMieszkamy



TuMieszkamy jest największym podmiotem w Polsce zarządzającym nieruchomościami mieszkaniowymi w całym kraju. Może się wydawać, że jest to branża zdominowana przez mężczyzn, jednak coraz więcej kobiet jest zainteresowanych pracą w sektorze nieruchomości. W TuMieszkamy kobiety stanowią ponad 60 proc. wszystkich pracowników oraz ponad połowę kadry zarządzającej. Taka proporcja jest rzadko spotykana w naszej branży. Na przestrzeni lat sytuacja zmienia się bardzo dynamicznie, a Polska wyróżnia się pod tym względem na tle innych krajów Europy. Odsetek kobiet w polskich firmach na stanowiskach związanych z zarządzaniem jest znaczący. Według raportu przygotowanego przez jedną z firm konsultingowych kobiety stanowią 34 proc. ogółu menedżerów, jednak prezesi zarządów to ciągle zazwyczaj mężczyźni – kobiety na stanowisku prezesa zarządu stanowią jedynie 8 proc. O ile możemy być zadowoleni z sytuacji w firmach odnośnie kadry zarządzającej, to jeśli chodzi o odsetek kobiet na stanowiskach najwyższych – przed nami jeszcze długa droga, by rozbić szklany sufit.

Od ponad pięciu lat piastuję stanowisko prezesa zarządu. W swojej codziennej pracy zwracam uwagę na kompetencje i osobowość pracownika, na to, jak dana osoba pracuje, jak traktuje współpracowników i partnerów biznesowych, jakie posiada umiejętności – płeć nie ma dla mnie znaczenia. Ja również jako pracownik byłam zawsze traktowana w ten sposób. Na przykładzie TuMieszkamy widać, że zarządzanie firmą przez kobietę jest bardzo pozytywnie odbierane w Polsce, co mnie cieszy. Nie spotkałam się z jakimikolwiek oznakami negatywnego odbioru TuMieszkamy ani mojej osoby jako prezesa zarządu. Firmom, na czele których stoją kobiety, często przypisuje się dodatkowe atrybuty wizerunkowe, tj. postępowość, otwartość, profesjonalizm, więc można uznać to za dodatkową wartość dla przedsiębiorstwa.

Kobiety i mężczyźni różnią się diametralnie, a dzięki temu wzajemnie uzupełniają. Widać to często na spotkaniach kadry zarządzającej w naszej firmie. Podczas otwartych rozmów przekonujemy się, jak różna jest percepcja i podejście do pewnych spraw kobiet i mężczyzn. Różnorodność myślenia stanowi nasze bogactwo, daje nam możliwość znalezienia najlepszych rozwiązań. Dodatkowo zapewnia wysoki poziom kreatywności, a to w znacznym stopniu przyczynia się do budowania przewagi konkurencyjnej.

Firmy, które popierają równouprawnienie i różnorodność, są bardziej elastyczne, lepiej się komunikują, dbają o swoich pracowników i kulturę panującą w organizacji. Odwaga, by zmniejszyć *status quo*, często prowadzi do sukcesu w biznesie. Mam na myśli sukces wizerunkowy, ale także przekładający się na

wymierne korzyści dla organizacji. Budowanie różnorodności poprzez zwiększenie roli kobiet w zarządzaniu zapewni m.in. wyższy poziom przestrzegania norm etycznych, sprawniejszy system zarządzania ryzykiem, a w efekcie bardziej przewidywalne i wyższe wyniki finansowe.

Iwona Jarzębska

dyrektor Departamentu Public Relations, Bank Millennium

W Banku Millennium aktywność na rzecz poszanowania różnorodności wpisana jest w strategię biznesową firmy. Już na etapie rekrutacji kandydaci wybierani są na podstawie ich kwalifikacji i kompetencji, a nie płci, wieku czy sytuacji rodzinnej. Wszyscy pracownicy przechodzą szkolenia z „Kodeksu etycznego banku”, który mówi m.in. o zakazie dyskryminacji, w tym ze względu na płeć. Podczas szkoleń menedżerowie uczą się, jak zarządzać różnorodnymi zespołami. Realizowany jest również specjalny program „Rodzice na tak”, w ramach którego rodzice są informowani o przysługujących im prawach. Osoby, które mają dzieci, mogą też korzystać z dofinansowywanych przez Bank form rekreacji. Aby podkreślić znaczenie tematu różnorodności w firmie, wprowadzona została polityka różnorodności, która określa prawa i obowiązki pracowników związane z tą kwestią.

Kobiety mają bardzo istotny udział w procesach zarządzania w Banku Millennium – w 2018 r. stanowiły 69 proc. osób pracujących na stanowiskach kierowniczych. Nasze zobowiązanie do poszanowania i promowania różnorodności potwierdziliśmy, podpisując w 2018 r. „Kartę różnorodności”. To międzynarodowa inicjatywa promowana przez Komisję Europejską. Dokument podpisują organizacje, które decydują się na wprowadzenie zakazu dyskryminacji – m.in. ze względu na płeć – w miejscu pracy i działanie na rzecz tworzenia i promocji różnorodności.

Wierzymy, że tylko firmy, które są otwarte na różne punkty widzenia, potrafią wypracować niestandardowe rozwiązania i osiągać lepsze rezultaty biznesowe. Potrafią również lepiej zrozumieć klientów, którzy także są różnorodni.

Jolanta Dąbrowska

menedżer ds. HR,
Vulcan sp. z o.o.

Nasza firma nieustannie się rozwija. W ostatnich latach zauważalny jest wzrost odsetka kobiet zajmujących stanowiska kierownicze – obecnie wynosi ponad 40 proc. Ten trend bardzo nas cieszy, gdyż różnorodność płci



pozwala na efektywniejsze wykorzystanie potencjału firmy i budowanie przyjaznej kultury organizacyjnej. Należy też podkreślić, że w całej branży IT obserwujemy wzrost zainteresowania stanowiskami technicznymi, takimi jak programista, analityk systemowy czy tester. Kobiety sprawdzają się w tych dziedzinach ze względu na swoje doskonałe umiejętności organizacyjne, zdolność szybkiego przyswajania wiedzy i sprawnego rozwiązywania napotykaných problemów.

Wzrost roli kobiet w zarządzaniu jest niewątpliwie korzystny dla firmy. Przez długi czas w społeczeństwie pokutowało przekonanie, że mężczyźni są lepszymi menedżerami niż kobiety. Dzisiaj coraz więcej pań pojawia się w zarządach firm lub zajmuje wysokie stanowiska kierownicze. Zarówno kobieta, jak i mężczyzna mogą być równie skutecznymi, osiągnięcymi sukcesy menedżerami.

To, co różni kobiety od mężczyzn, to styl pracy i komunikacji. Mogą one wносить wiele ciepła i empatii do firmy, często szerzej patrzą na dane zagadnienie. Widoczne są też różnice w stylach zarządzania. W mojej ocenie kobiety w relacjach z podwładnymi i innymi współpracownikami częściej niż mężczyźni stosują konsultacje przed podjęciem decyzji, mają większą wrażliwość na sferę relacji interpersonalnych i wykazują się większą cierpliwością.

Marta Hendzel

właścicielka Pracowni z Oknem na Świat

Kobiety mają bardzo duży wpływ na zarządzanie Pracownią z Oknem na Świat, gdyż całą kadrę zarządzającą stanowią właśnie one. Kobietami są: właścicielka firmy, kierowniczka biura, koordynatorki projektów edukacyjnych, trenerki przygotowujące do egzaminów szkolnych, konkursów i olimpiad czy sekretarki. Trudno precyzyjnie określić, jaki ma to wpływ na zarządzanie firmą, ale siedem lat funkcjonowania Pracowni na warszawskim rynku edukacyjnym udowadnia, że radzimy sobie dobrze.

Uważam, że najlepiej jest, gdy w firmie panuje równowaga; pracują w niej i kobiety, i mężczyźni. Z punktu widzenia Pracowni z Oknem na Świat przewaga kobiet niesie jednak pewne korzyści. Przede wszystkim chodzi o umiejętności miękkie i zdolności komunikacyjne, które u pań zazwyczaj stoją na wyższym poziomie. Dla Pracowni jest to niezwykle istotne zarówno z punktu widzenia prowadzonej działalności, jak i samego zarządzania. Oprócz kursów edukacyjnych prowadzimy także kursy umiejętności społecznych, autoprezentacji czy pewności siebie. Z drugiej strony jest kwestia dostosowania komunikacji i zarządzania do potrzeb młodych ludzi. W Pracowni z Oknem na Świat pracuje wielu studentów, część z nich to pochodzący z zagranicy native speakerzy. Ludzie ci są przyzw-



czajeni do bardziej demokratycznego zarządzania, które nazywa się czasem coachingowym. Cenią oni otwartą komunikację, brak sztywnej hierarchii, skupianie się na szukaniu rozwiązań, a nie na krytyce. W tym przypadku zarządzanie kobiet, które chętniej się rozwijają, uczą i dostosowują do nowych sposobów komunikacji, przynosi zdecydowane korzyści.

Karolina Szmidt

dyrektor personalna
w Henkel Polska

Wspieranie karier kobiet zatrudnionych w naszej organizacji to jeden z głównych celów polityki różnorodności realizowanej w Henkle. Chcemy, by awansowały w strukturach naszej firmy i z czasem zajmowały najwyższe stanowiska. Aktualnie w Henkle kobiety stanowią 30 proc. wszystkich pracowników, natomiast na stanowiskach kierowniczych – aż 39 proc. Między innymi to właśnie panie szefują u nas wszystkim trzem kluczowym działom marketingu. Udało się to osiągnąć przez stopniowe zwiększanie odsetka kobiet menedżerek – mniej więcej o 3 punkty proc. rok do roku w ciągu ostatnich kilku lat. I nie jest to jeszcze nasze ostatnie słowo.

Tak wysoki odsetek kobiet na stanowiskach menedżerskich nie byłby możliwy bez wprowadzenia rozwiązań organizacyjnych ułatwiających kobietom równoległe realizowanie się w pracy i w rodzinie. Wśród nich szczególnie istotne są elastyczne godziny pracy, możliwość pracy w niepełnym wymiarze godzin czy pracy z domu. Zresztą z tych rozwiązań korzystać mogą wszyscy pracownicy – szczególnie lubiane są przez młodsze roczniki. Prowadzimy w firmie także działania nakierowane bezpośrednio na wspieranie karier kobiet i wzmacnianie ich umiejętności przywódczych. Należy do nich między innymi program networkingowy Women in Leadership, realizowany w Polsce od 2013 r. Poprzez udział w spotkaniach tematycznych, warsztatach i treningach uczestniczki rozwijają swoje menedżerskie umiejętności, budują pewność siebie i poczucie sprawczości, z korzyścią dla siebie i zespołów, w których pracują.

Doświadczenie Henkla potwierdza, że zwiększanie liczby kobiet na stanowiskach kierowniczych ma znaczenie. Na naszych zebraniach rozszerzonego zarządu ta równowaga jest perfekcyjnie zachowana: cztery kobiety i czterech mężczyzn. Pozwala to podejmować najważniejsze decyzje dotyczące naszej firmy w duchu różnorodności i z uwzględnieniem różnych perspektyw.

Jestem przekonana, że kobiety mogą podejmować najważniejsze decyzje w firmie



tak samo dobrze, jak mężczyźni, dlatego podstawowym kryterium decydującym o awansie na stanowisko kierownicze w naszej firmie są kompetencje i potencjał rozwojowy, a nie płeć. Z drugiej strony prawdą jest, że kobietom – m.in. ze względu na panujące stereotypy – trudniej jest się przebić, trudniej podjąć decyzję o kandydowaniu na wysokie stanowiska. Dlatego też, dostrzegając wielki potencjał naszych pracowników, wspieramy je na różne sposoby.

Anna Muszyńska-Jurków

dyrektor ds. HR
w Payback Polska

W Payback Polska ponad połowę pracowników stanowią kobiety, z czego 45 proc. zajmuje stanowiska menedżerskie. Ponadto 1/4 osób na szczeblach kierowniczych to kobiety. Liczby mówią same za siebie – panie są integralną częścią naszej firmy i mają realny wpływ na budowanie jej sukcesu.

Dzięki różnorodności działów i stanowisk nasi pracownicy mogą liczyć na atrakcyjne warunki zatrudnienia i szerokie możliwości rozwoju, bez względu na płeć czy sytuację osobistą. Oczywiście niektóre działy są wciąż zdominowane przez kobiety, np. administracja, księgowość czy HR, ale w Payback możemy pochwalić się dużą reprezentacją pań także w działach typowo „męskich”, jak sprzedaż czy analityka.

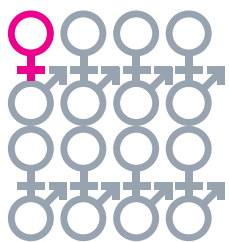
Do tej pory nie prowadziliśmy działań skierowanych wyłącznie do kobiet, jednak w związku z przynależnością do American Express na bieżąco monitorujemy stan zatrudnienia, biorąc pod uwagę wiele czynników, w tym płeć. Różnorodność jest bowiem ważnym elementem naszej kultury organizacyjnej, podobnie jak dbałość o to, aby środowisko pracy sprzyjało realizacji indywidualnych potrzeb. Dzięki temu, że jesteśmy średniej wielkości organizacją, osoby zatrudnione w Payback Polska mają realny wpływ na kształtowanie miejsca pracy i swojej ścieżki kariery. Dotyczy to również zachowywania

równowagi pomiędzy życiem zawodowym a osobistym (*work-life balance*), której znaczenie szczególnie podkreślają kobiety spodziewające się potomstwa i rodzice.

Efektywne zarządzanie organizacją zależy w równej mierze od kompetencji merytorycznych oraz doświadczenia, jak i tzw. kompetencji miękkich, które przypisuje się z reguły kobietom. Korelacja między wysoką inteligencją emocjonalną liderów i wynikami biznesowymi jest ważnym argumentem przemawiającym za zwiększaniem roli pań w kierowaniu firmą.

Kamil Broszko

Kobiety
i mężczyźni
mogą być równie
skutecznymi,
osiągającymi sukcesy
menedżerami.



Nie uda się osiągnąć różnorodności bez wzorów do naśladowania

Jak wynika z badań Europejskiej Agendy Cyfrowej, gdyby kobiety były reprezentowane w gospodarce na równi z mężczyznami, PKB Unii Europejskiej zwiększyłoby się rocznie o około 9 mld euro. W firmach, które sprzyjają kobietom na stanowiskach kierowniczych, stopa zwrotu z kapitału własnego jest wyższa o 35 proc., a ogólna stopa zwrotu dla akcjonariuszy jest o 34 proc. wyższa niż w porównywalnych organizacjach.

Firmy potrzebują kobiet – i to na każdym szczeblu struktury organizacyjnej. Według raportu „Diversity Matters”, opracowanego przez McKinsey, firmy, które zatrudniają zarówno kobiety, jak i mężczyzn, notują o 15 proc. większe przychody, niż wynosi średnia. Warto też zwrócić uwagę – co podkreśla organizacja 2020 Women on Boards – że 55 proc. firm, które wypadły z prestiżowego rankingu Fortune 1000 Index, nie miało w zarządzie ani jednej kobiety.

Tymczasem połowa polskich przedsiębiorstw jest zarządzana wyłącznie przez mężczyzn – i to na każdym poziomie. W spółkach notowanych w 2017 r. na GPW w Warszawie wśród członków zarządu było zaledwie 13 proc. kobiet. W Polsce nadal pokutują stereotypy, zakorzenione zarówno wśród mężczyzn, jak i kobiet. Większość pracowników, niezależnie od płci, woli mężczyznę jako przełożonego. A żaden mężczyzna z najwyższej kadry kierowniczej nie chce mieć przełożonej. Najwyższy czas wdrażać politykę różnorodności i umożliwić kobietom rozwój zawodowy.

W sukces tym działaniom przychodzi dyrektywa Parlamentu Europejskiego i Rady Europy, według której od 2018 r. duże spółki (zatrudniające minimum 250 osób i osiągające przychody netto min. 170 mln zł) są zobowiązane do publikacji raportu o niefinansowych aspektach swojej działalności. Opracowanie musi zawierać informacje dotyczące polityki różnorodności, obejmującej wiek, płeć, wykształcenie i doświadczenie zawodowe. Organizacje

muszą ujawnić cele owej polityki, sposoby realizacji oraz jej efekty. Istotnym elementem jest powołanie osoby odpowiedzialnej za wdrażanie, wspieranie i rozwijanie różnorodności w przedsiębiorstwie. Badania pokazują, że utworzenie takiego stanowiska znacząco zwiększa liczbę awansów kobiet. Nie uda się osiągnąć różnorodności, w tym większego udziału kobiet na wysokich stanowiskach, bez wzorów do naśladowania. Jeśli w organizacji nie ma żadnej kobiety, która awansowała na wyższe lub najwyższe stanowisko zarządcze, to nie da się przekonać pozostałych kobiet, że mogą osiągnąć sukces. Mentoring jest rzadko wykorzystywany przez polskie firmy. Tymczasem im bardziej zróżnicowana organizacja, tym lepszy efekt mentoringu, ponieważ pozwala na uczenie się od innych oraz na dzielenie się wiedzą i doświadczeniem.

W najnowszym badaniu Fundacji Sukcesu Pisanego Szminką 65 proc. ankietowanych kobiet odpowiedziało, że chce się rozwijać, traktując obecne stanowisko jako przystanek na drodze do awansu. 59 proc. przyjęłoby awans bez wahania lub mimo wątpliwości, czy sprosta nowym zadaniom. Tylko 17 proc. zastanawiałoby się, czy ma odpowiednie kompetencje.

W czasie kariery zawodowej kobiety stają zarówno w obliczu własnych lęków i niepewności, jak i zewnętrznych oczekiwań. Z jednej strony barierą jest brak pewności siebie, z drugiej – fakt, że muszą one więcej pracować, by udowodnić swoją wartość i kompetencje. Potwierdzają to odpowiedzi ankietowanych: 36 proc. wskazało brak pewności siebie i brak mentora jako największe bariery w rozwoju. Aż 62 proc. zdecydowałoby się na awans, gdyby miało takie wsparcie.

Założenie własnej firmy to szansa dla wielu kobiet nie tylko na realizację zawodową, większą elastyczność w godzeniu ról zawodowych i rodzinnych, ale w wielu przypadkach także szansa na powrót do życia zawodowego po przerwie związanej z macierzyństwem. Z ankiety Sukcesu Pisanego Szminką wynika, że aż 44 proc. kobiet chce

założyć firmę w najbliższych miesiącach lub zastanawia się nad tym. Powstrzymuje je lęk przed ryzykiem (33 proc.), brak pewności powodzenia przedsięwzięcia i utrata poczucia bezpieczeństwa, które daje etat. Dopiero w następnej kolejności barierą stanowią płynność finansowa, pozyskanie klientów czy wysokie koszty utrzymania firmy. Według 62 proc. ankietowanych kobiet szansą dla młodych firm są przede wszystkim niższe podatki i bardziej przyjazna biurokracja. Dla 31 proc. ważne byłoby stworzenie programu wsparcia dla młodych firm. 21 proc. wskazuje na niższe koszty pracy, a 12 proc. – na sieć inwestorów. Dla 17 proc. ankietowanych ważne są bezpłatne szkolenia, webinaria i warsztaty, podczas których można poszerzyć wiedzę na temat prowadzenia firmy. Dla kobiet, które już prowadzą działalność gospodarczą, największym wyzwaniem jest walka z nadmierną biurokracją (42 proc.), kosztami podatkowymi i kosztami pracy (25 proc.).

– Większa rola kobiet w zarządzaniu oznacza większą różnorodność w organizacji, co już jest znaczącą korzyścią dla firmy. Tylko w takiej sytuacji możliwe jest poznanie danego zagadnienia z różnych stron, wzięcie pod uwagę więcej niż jednego punktu widzenia i, na tej podstawie, podjęcie najlepszej decyzji. Kultura organizacyjna wspierająca różnorodność płci na rynku pracy daje także przewagę firmie jako pracodawcy. Nie tylko zachęca utalentowanych przedstawicieli młodego pokolenia, w tym przypadku zwłaszcza kobiety, do aplikowania, ale także powoduje, że osoby już zatrudnione czują się rozumiane i wspierane, co z kolei przekłada się na ich zaangażowanie. To podstawa budowania silnych, stabilnych zespołów, osiągających dobre wyniki – mówi Karolina Szmida, dyrektor personalna w Henkel Polska.

Marzena Tataj

Źródła: raport „Szanse i bariery dla Polek w biznesie i na rynku pracy”, Fundacja Sukcesu Pisanego Szminką, 2019; raport „Gdzie jest szklany sufit? Kobiety w średniej kadry zarządzającej”, Fundacja Liderów Biznesu, 2017.

Przedsiębiorcze Polki podbijają kolejne branże w biznesie

Naukowczynie, wynalazczynie, twórczynie nowoczesnych algorytmów, zaawansowanych urządzeń, biopreparatów, kosmeceutyków i biznesowych rozwiązań – to tegoroczne finalistki konkursu Bizneswoman Roku. Biorąc pod uwagę ich osiągnięcia, można mówić o prawdziwym sukcesie kobiet w branżach zdominowanych dotąd przez mężczyzn.

Tegoroczne finalistki w kategoriach otwartych poznaliśmy 24 stycznia podczas uroczystości w restauracji Amber Room w Warszawie. Na liście znalazło się 21 nazwisk kobiet, które tworzą własne firmy, start-upy, biznesy lokalne, działają w obszarze nowych technologii lub prowadzą fundacje. W finale jubileuszowej, X edycji konkursu znalazły się firmy i organizacje z całej Polski, m.in. Łodzi, Poznania, Lublina, Milicza, Ostrowa Wielkopolskiego, Gdyni, Warszawy, Konina, Sulechowa i Warszawy. Kim są tegoroczne finalistki i czym się zajmują?

Złącza do układów hamulcowych i kosmetyki dla mężczyzn

Z rodzinnego zakładu produkcyjnego przekształciła firmę MB Pneumatyka w prężne przedsiębiorstwo badawczo-produkcyjne sektora *automotive*. Dziś złącza produkowane w Lubuskiem są używane w większości pneumatycznych układów hamulcowych i zawieszek w samochodach powyżej 3,5 tony na świecie. Małgorzata Bieniaszewska, bo o niej mowa, jest także prekursorem idei współpracy biznesu z nauką w regionie. – *My, kobiety, jesteśmy przyzwyczajone do tego, że robimy po prostu swoje. W pracy, w biznesie, w domu. Czasem w tym biegu nie doceniamy siebie. Ten konkurs to świetna okazja, by zatrzymać się na chwilę i podsumować, co do tej pory osiągnęłyśmy* – podkreśla Bieniaszewska. O tytuł Bizneswoman Roku w kategorii Biznes roku – firma: przychód powyżej 10 mln zł powalczy z Anną Krajewską, założycielką sieci restauracji Salad Story i Wrap Me!

(obecnie sieć liczy 35 lokali), oraz Magdaleną Malaczyńską, prezes Indigo Nails, która rodzinny biznes, założony wspólnie z mężem, zmieniła w międzynarodowy podmiot, podbijający kolejne zagraniczne rynki (dziś obecny w 44 krajach na świecie).

Ciekawe firmy znalazły się także w drugiej ważnej kategorii biznesowej, tj. Biznes roku – firma: przychód poniżej 10 mln zł. Tu o tytuł powalczą Karina Trafna, Marta Bartkowiak i Ewelina Narożna-Domska. Trafna stworzyła firmę, która jest jedynym ogólnopolskim

podmiotem specjalizującym się w zakładaniu i prowadzeniu nowoczesnych, dwujęzycznych przedszkoli i żłobków firmowych oraz tworzonych przy biurkach pod marką Kids&Co. Z kolei Marta Bartkowiak stworzyła firmę Pan Drwal, która jest pierwszym polskim producentem naturalnych kosmeceutyków do pielęgnacji wyłącznie dla mężczyzn. Marka posiada własne laboratorium, w którym powstają produkty, linię produkcyjną i studio projektowe. Ewelina Narożna-Domska jest współtwórczynią firmy Oleowita. To firma rodzinna, która produkuje przede wszystkim oleje tłoczone na zimno. Obecnie w ofercie jest ponad 60 różnych olejów, niektóre produkowane są jako jedyne w Polsce, a nawet w Europie. – *W tej edycji konkursu Bizneswoman Roku patronujemy kategorii Biznes roku, aby podkreślić znaczenie wiedzy i kompetencji kobiet w biznesie. Jako partner z radością i satysfakcją towarzyszymy w rozwoju przedsiębiorstwom stworzonym i zarządzanym właśnie przez kobiety. Wierzymy, że zarówno cały konkurs Biz-*



neswoman Roku, jak i kategoria Biznes roku stanowią wspaniałą inspirację nie tylko dla tych przedsiębiorczyń, które już osiągnęły sukcesy, ale także kobiet, które dopiero planują rozpoczęcie działalności i marzą o własnym innowacyjnym biznesie – mówi Rafał Nawłoka, prezes zarządu DPD Polska.

Siła biznesów lokalnych

O tytuł Bizneswoman Roku powalczą nie tylko prezeski dużych firm, ale także tych mniejszych, działających lokalnie. Duer.pl to stworzony przez Natalię Kwiecień serwis internetowy, w którym można szybko i wygodnie zamówić zweryfikowanego, godnego zaufania fachowca (elektryk, hydraulik, złotą rączkę, ślusarza). Na razie działa w Warszawie i okolicach. – Finalistki konkursu Bizneswoman Roku to fantastyczna grupa przedsiębiorczych kobiet i cieszę się, że przyjęły mnie do swojego grona. Mam nadzieję, że będziemy się wzajemnie wspierać, wymieniać doświadczeniami i świętować kolejne sukcesy – mówi Natalia Kwiecieńska. Z kolei firma ManneQueen Katarzyny Skrzypczak prowadzi projekt „Akademia szycia ManneQueen” – kursy i warsztaty dla dzieci i dorosłych. Trzecią finalistką została Anna Kmita, która wprowadziła na rynek preparat na laktację Mom SOS, bazujący na klasycznym mleku słodowym. – Kobiety w Polsce są niezwykle kreatywne i przedsiębiorcze. Mają pomysły, które często otwierają zupełnie nieznane dotąd obszary biznesowe, nie tylko lokalnie, na polskim rynku, ale także w skali europejskiej czy światowej. Mają więc wszystko, co potrzeba, by założyć własny biznes: świetny pomysł, pasję i umiejętności pozwalające urzeczywistnić projekt. Chcemy wspierać kobiety na samym początku samodzielnej drogi i zachęcać je do dzielenia się swoim potencjałem – tłumaczy Anna Solarek, dyrektor komunikacji i kontaktów zewnętrznych w Coca-Cola Poland Services (partner kategorii Pomysł na start/biznes lokalny).

Przyszłość polskich technologii ma kobiecą twarz

Czy można wykorzystać bakterie do ochrony środowiska i jeszcze na tym zarobić? Można. To właśnie robi finalistka konkursu w kategorii Liderka w nowych technologiach Magdalena Popowska, prezes i założycielka spółki biotechnologicznej Bactrem. Swoje naukowe doświadczenie – jest profesorem UW i dyrektorem Instytutu Mikrobiologii na Wydziale Biologii – połączyła z pasją. W ten sposób w jej firmie powstają np. biopreparaty złożone

z pożytecznych bakterii, które są m.in. wykorzystywane do rozkładu substancji niebezpiecznych i odpadów, a więc służą wspomaganie upraw rolnych. A jak pomóc osobom uczulonym na nikiel, których na świecie jest 7 proc., a w samej Unii aż 15 proc.? Stworzyć firmę produkującą specjalistyczne kosmetyki chroniące przed objawami alergii kontaktowej. To właśnie udało się Izabeli Zawiszy, prezes zarządu KF Niccolum z Warszawy. Oczywiście nie byłoby sukcesu bez entuzjazmu do rozwiązywania problemów zdrowotnych oraz szerokiej wiedzy naukowej – Zawisza jest doktorem nauk biologicznych w dyscyplinie biofizyka, wynalazczynią i autorką czterech zgłoszeń patentowych. Stworzona przez nią marka Nuev to kosmetyki chroniące skórę przed smogiem i wpływem metali ciężkich. – Cieszę się, że w tym konkursie nagradzane są kobiety o wyróżniających się osiągnięciach na różnych płaszczyznach, co pozwala na wskazywanie pozytywnych przykładów realizacji kariery i jednocześnie motywowanie młodych osób do konsekwentnego dążenia do celów i osiągania sukcesów – podsumowuje Izabela Zawisza. Z kolei Evotec z Lublina, firma założona przez Paulę Kurant wspólnie z partnerem z Hiszpanii, skupia się na produkcji profesjonalnych pokrowców przeznaczonych dla robotów przemysłowych. I nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie innowacyjna technologia, z której korzystają światowe koncerny. Firma jako jedyna na świecie uzyskała materiał o powłoce posiadającej właściwości antyadhezyjne i całkowicie niepalne.

Start-upy Polek coraz silniejsze

Inna kategoria, w której Polki są coraz mocniejsze, to start-upy. Świat nauki i biznesu połączyła z sukcesem Olga Grudniak, biotechnolog, od 2017 r. prezes firmy Biolumo z Gdyni. Jej firma tworzy urządzenie medyczne do szybkiego doboru celowanej terapii antybiotykowej stosowanej przez lekarzy pierwszego kontaktu. Dokonuje ono diagnozy już w sześć godzin, działa automatycznie i jest niedrogie. – To zaszczyt znaleźć się w gronie tak niesamowitych kobiet osiągniętych ogromne sukcesy w biznesie. Daje mi to pewność, że jestem na dobrej ścieżce – mówi Grudniak. I dodaje, że równocześnie z prowadzeniem biznesu od pięciu lat pracuje w laboratorium, wykonując badania mające na celu rozwiązanie problemu lekooporności bakterii. Ale nauka i biznes mogą połączyć się także na płaszczyźnie tworzenia innowacyjnych rozwiązań dla firm. Jeśli przedsiębiorstwo chce zredukować czas opracowania strategii z sześciu



© FUNDACJA SUKCESU PIŚNIEGO SZMINKA (2)

miesiący do jednego dnia, a koszty projektu o 70 proc., powinno zwrócić się do Barbary Zych, właścicielki Employer Branding Institute. Jej start-up EBNavi.com opracował algorytm automatycznie analizujący ponad 500 wskaźników z procesów HR, marketingu, zarządzania i komunikacji. Efekt? Wynik algorytmu daje rekomendacje strategiczne dla marki, materiały edukacyjne oraz narzędzia wdrożeniowe gotowe do wykorzystania przez specjalistów. Trzecią finalistką w tej kategorii została Agnieszka Górka, twórczyni Ulala Chef. To platforma internetowa, dzięki której można wybrać i zarezerwować kucharza, który zaserwuje przyjęcie w domu, pracując w kuchni zamawiającego. Do wyboru są obecnie usługi 150 kucharzy. – *Bardzo się cieszę, że dzięki inicjatywie Fundacji Sukcesu Pisanego Szminką możemy pokazać i wyróżnić przedsiębiorcze kobiece autorytety i nagłośnić temat równości płci, różnorodności w biznesie, szczególnie w aspekcie ciekawych pomysłów na start-up. Jako bank mocno angażujemy się we współpracę z młodymi firmami, czego przykładem jest nasze pierwsze wdrożenie NuDelta – start-up zarządzany przez Jagodę Pieścicką, której pomysł na biznes może być inspiracją dla niejednej kobiety* – mówi Przemek Gdański, prezes Zarządu Banku BGŻ BNP Paribas, partnera kategorii Start-up roku.

Zrobić coś dla innych

Po krótkiej przerwie do konkursu powróciła kategoria Działalność społeczna, w której honorowane są kobiety działające na rzecz innych, tworzące ważne projekty zmieniające jakość życia ludzi potrzebujących wsparcia, wykluczonych, w trudnej sytuacji życiowej. W tej kategorii wyłonionych zostało aż sześć finalistek. Karolina Adamska, prezes Fundacji Mam Marzenie, spełnia marzenia dzieci cierpiących na choroby zagrażające życiu. W całym okresie działalności spełniła ok. 8 tys. marzeń dzieci w wieku 3–18 lat (ok. 600 rocznie). Erin Dąbska, założycielka Fundacji TV Puls „Pod Dębem”, od sześciu lat działa na rzecz poprawy jakości życia i standardu opieki nad osobami starszymi – zaopatruje potrzebujących seniorów w leki i żywność, finansuje i współfinansuje zakup m.in. wózków inwalidzkich, łóżek rehabilitacyjnych, aparatów słuchowych. Zuzanna Janaszek-Maciaszek z Fundacji im. Doktora Piotra Janaszka „Podaj Dalej” wspiera osoby, którym niepełnosprawność utrudnia bądź uniemożliwia niezależne życie. Regularnie otacza opieką ponad 200 osób. Malina Wieczorek, szefowa Fundacji SM – Walcz o Siebie, wspiera osoby ze stwardnieniem rozsianym. Dzięki jej intensywnym działaniom personalizacja leczenia stwardnienia rozsianego weszła do kanonu opieki nad pacjentem. Jarmila Rybicka prowadzi Fundację Konflikt i jest założycielką Kuchni Konfliktu, przedsiębiorstwa społecznego zatrudniającego uchodźców, migrantów i cudzoziemców. Z kolei Paula Rettinger-Wietoszek, założycielka Fundacji Zostaw Śwój Ślad, pomaga rodzinom chorych dzieci poprzez organizację ambitnych projektów technologicznych i artystycznych, m.in. stworzenie aplikacji HospiCare, dedykowanej zespołom medycznym i opiekunom pacjentów

z Dziecięcych Hospicjów Domowych w całej Polsce. – *Razem można zrobić więcej. To bardzo ważne, żeby głośno mówić o tych, którzy potrzebują pomocy lub wsparcia, czasami motywacji lub wskazania kierunku albo dobrego słowa. Warto pamiętać o tym, że każdy z nas może tej pomocy kiedyś potrzebować. Każda inicjatywa niosąca za sobą pozytywne efekty jest niezwykle ważna. Dlatego postanowiłam wesprzeć kategorię Działalność społeczna. Jest mi bardzo bliska* – tłumaczy Anna Lewandowska. – *Uważam również, że tych, którzy chcą pomagać i robią to na co dzień, także należy wspierać. Trzeba ich umacniać, by pomagali nadal i mieli na to siły* – dodaje.

Zmieniamy rzeczywistość

W tym roku konkurs odbywa się już po raz 10. Nagradzane są w nim najbardziej przedsiębiorcze Polki, które odważnie realizują projekty biznesowe, społeczne, naukowe i kulturalne, oraz mężczyźni, którzy działają na rzecz wzmacniania roli kobiet w biznesie i budowania różnorodności. Przez ostatnich 10 lat nagrodzono ponad 100 kobiet, a tytuł Bizneswoman Roku zdobyły m.in. Monika Żochowska i Ewa Dudzic, założycielki firmy Phenicoptere i marki Glov, oraz Zuzanna Sielicka-Kalczyńska i Julia Sielicka-Jastrzębska, twórczynie Whisbear. Od początku misją konkursu jest promowanie dobrych praktyk, sukcesów kobiet na skalę ogólnopolską, wspieranie ich w rozwoju własnych firm i pomysłów, a także włączanie mężczyzn w dyskusję o zmianach na kluczowych stanowiskach, by mogły one następować szybciej. Konkurs wspierają takie osobowości, jak dr Irena Eris, dr Ewa Rumińska-Zimny, Kamila Kaliszyk (Mastercard), Anna Solarek (Coca-Cola), Dorota Haller (Huawei), Anna Lewandowska, Przemysław Gdański (BGŻ BNP Paribas), Łukasz Zembowicz (DPD), Jarosław Dąbrowski (IGT). – *Z ogromną ciekawością i radością obserwuję zmiany, jakie dokonały się przez ostatnią dekadę. Kiedy 10 lat temu tworzyłam konkurs Bizneswoman Roku, kobiety były często pomijane, a o ich sukcesach w biznesie mówiło się mało. Ale kropla drąży skałę. Każdy nagłośniony sukces kobiety stawał się inspiracją dla innych, dodawał im odwagi do działania, mnie zaś motywował do jeszcze intensywniejszych działań i szerzenia idei. Teraz jest czas kobiet. Zostają one prezeskami, dyrektorkami, wchodzi do zarządów, budują firmy międzynarodowe. Cieszę się, że dostrzegają to także mężczyźni. Naszymi działaniami włączamy ich do rozmowy i pokazujemy, jak ważne jest wspieranie kobiet. Lepsze wykorzystanie talentów kobiet to inwestycja, która opłaca się i firmom, i gospodarce* – mówi Olga Kozierowska, prezes Fundacji Sukcesu Pisanego Szminką i twórczyni konkursu. – *Każde działanie mające na celu wspieranie rozwoju kobiet, ich karier, inspirowanie ich do osiągnięcia sukcesu jest ważne i potrzebne. Takie inicjatywy jak konkurs Bizneswoman Roku, w który zaangażowaliśmy się już po raz trzeci, są niezwykle istotne, bo pomagają zmieniać rzeczywistość* – tłumaczy Bartosz Ciołkowski, dyrektor generalny polskiego oddziału Mastercard, partnera strategicznego konkursu Sukces Pisanego Szminką Bizneswoman Roku.

Debata Biznes Kultura Społeczeństwo

Czy warto i czy każdy może inwestować w sztukę? Jak biznes współpracuje ze sztuką i jaka jest relacja między artystą i marką? Czy jesteśmy przygotowani do odbioru sztuki elitarnej? I czy duże pieniądze zapewnią łatwy dostęp do kultury? Przedstawiamy zapis debaty „Biznes, kultura, społeczeństwo”, która odbyła się 26 lutego br.

Organizatorem wydarzenia była Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego „Teraz Polska”, zaś współorganizatorami Zachęta Narodowa Galeria Sztuki, w której gościnnych murach odbyło się spotkanie, oraz Ośrodek Dialogu i Analiz THINKTANK. O biznesie, sztuce i społeczeństwie dyskutowali: Elżbieta Dzikowska, artystka, historyk sztuki, podróżniczka; Magdalena Kąkolewska, prezes Fundacji Artystyczna Podróż Hestii; Jan Koszutski, dyrektor Desa Unicum; Wiesława Wierzchowska, historyk i krytyk sztuki; Joanna Wodzyńska, członek zarządu i współwłaściciel Grupy Tubbądzin; dr Olga Wysocka, zastępca dyrektora Zachęty Narodowej Galerii Sztuki. Debatę prowadziła dr Katarzyna Młynek, dyrektor programowa THINKTANK.



Krzysztof Przybył: Najbardziej znanym przejawem działania Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego jest przyznawanie Godła „Teraz Polska” wybitnym przedsiębiorcom. Jaki to ma związek ze sztuką? Nie byłoby na rynku wyjątkowych produktów i usług bez kreatywności, wytrwałości, poczucia estetyki, perfekcjonizmu czy niezwykłej osobowości. Być może cechy wybitnych artystów i wybitnych przedsiębiorców są w pewnym sensie wspólne. Istnieją również wspólne płaszczyzny spotkań rozmaitych sfer i dziedzin życia. I temu właśnie chcemy poświęcić dzisiejszą rozmowę: punktom styku pomiędzy sztuką, społeczeństwem i biznesem.

© KAMIL BROSZKO.BROSZKO.COM (2)





Katarzyna Młynek: Współpraca biznesu i kultury nie wydaje się dzisiaj niczym kontrowersyjnym. Mamy z nią do czynienia na co dzień. Widzimy loga sponsorskie w przestrzeniach związanych z festiwalem muzycznym czy z wystawą sztuki. Jednak owa współpraca nie jest łatwa, bo światy te nie komunikują się w sposób prosty i nie przenikają się. Jak to wygląda w przypadku Zachęty?



Olga Wysocka: Dyskutujemy dziś o kulturze i biznesie z inicjatywy Fundacji „Teraz Polska”, która zrzesza biznes od kilkudziesięciu lat. Temat jest ciągle aktualny, bo świat się zmienia, my się zmieniamy, zatem relacje między kulturą i biznesem również ulegają przemianom. Obecnie odbiorcy kultury nie interesuje logotyp, ale produkt.

Kultura i biznes wzajemnie się inspirują, wymieniają idee. Jest to relacja trudna do zmierzenia. Międzynarodowy kryzys gospodarczy w 2008 r. przyniósł ogromną zmianę w biznesie, gdyż uświadomił, jak ważna jest jego społeczna odpowiedzialność. Instytucje kultury powinny przekonywać biznes do współpracy, rozwiewać jego obawy przed współczesną sztuką wizualną, której niezrozumienie powstrzymuje od inwestowania. Przed instytucjami kultury stoi ogromne zadanie odnalezienia odpowiedniego języka komunikacji, dotarcia z przekazem o sztuce współczesnej i jej roli do biznesu i do społeczeństwa.

Rolą artysty jest opowiadanie o rzeczach ważnych. Wraz z rozwojem świata dynamicznie rozwija się sztuka, która używa różnego rodzaju środków przekazu. Sztuka współczesna nie musi być łatwa w odbiorze – ma prowokować, intrygować, poruszyć wrażliwość. Te cechy sztuki są szczególnie pożądane w biznesie. Obecnie dostrzegamy nieśmiałe zainteresowanie przedsiębiorców, widzimy jednak, że wolą powoływać własne instytucje kultury niż wspierać instytucje publiczne.



Magdalena Kąkolewska: Przykładem przenikania się kultury i biznesu jest Artystyczna Podróż Hestii, która powstała w 2002 r. Kultura i biznes muszą się uczyć powinności wobec społeczeństwa i poszukiwać przestrzeni do współpracy. Trudność polega na niekompatybilno-

ści języka komunikacji. Biznes boi się kultury i jest wobec niej nieśmiały, a kultura boi się władzy pieniądza i nie chce się od niej uzależnić.

Celem Fundacji Artystyczna Podróż Hestii jest promowanie bardzo młodych artystów, jeszcze studentów, poprzez organizowanie konkursu. Nagrodzony student ma możliwość zaprezentowania swoich prac w Muzeum Sztuki Współczesnej w Warszawie. Jest także wysyłany za granicę na rezydencję artystyczną. Jeden z naszych laureatów po powrocie z Nowego Jorku powiedział, że najbardziej zaskoczyły go nie drapacze chmur i nowojorski splin, ale łatwość rozmawiania o pieniądzu. To ciekawa refleksja, której życzylabym kulturze i biznesowi. Ważne jednak, aby idea pieniądza nie zagłuszyła tego, co w relacji biznes – kultura jest najważniejsze, czyli realnego wspierania kultury.

Katarzyna Młynek: Ale jak sprawić, by łatwiej się rozmawiało o pieniądzu?

Magdalena Kąkolewska: Nie powiem nic odkrywczego. Trzeba nauczyć się wzajemnie słuchać i być cierpliwym. Trzeba jasno przedstawiać biznesowi swoje oczekiwania. Obie strony powinny mieć w sobie pokorę i z szacunkiem słuchać siebie nawzajem. Dla mnie największym wyzwaniem było permanentne uczenie się tych relacji. Projekty udają się tylko wtedy, gdy po obu stronach są dobra wola i wiara w sens wspomagania rozwoju kultury.

Katarzyna Młynek: Tubądzin jest doskonałym przykładem na to, jak dzięki sztuce można tworzyć dobra użytkowe, ucząc przy okazji wrażliwości.



Joanna Wodzyńska: Biznes i sztuka przenikały się od zawsze, bo sztuka niesie za sobą wartości, emocje, doświadczenia, których potrzebuje biznes. Jestem przedstawicielką branży płytek ceramicznych, produkowanych serijnie. Wytwarzamy także płytki artystyczne, wykonane we współpracy z rzeźbiarzami i designerami. Za naszym pośrednictwem sztuka

wysoka wchodzi do przestrzeni użytkowej. Przykładem może być artystyczne podwórko Wojciecha Siudmaka, stworzone przez Tubądzin wraz z miastem Łódź. Na szarą i brudną elewację kamienicy przy ul. Więckowskiego przeniesiony został pełen fantastycznych postaci i światów obraz „Narodziny dnia”. Wyjątkowość przedsięwzięcia polega na tym, że dzieło umieszczono na 260 elewacyjnych płytach ceramicznych, z których największa mierzy dwa metry, zaś najmniejsza – 25 centymetrów. Zostały one precyzyjnie rozmieszczone na ścianach budynku, z uwzględnieniem okien, które znakomicie wpasowały się w pracę artysty. Instalacja zajmuje w sumie 350 m kw. powierzchni. Mieszkańcy tego podwórka, wyglądając przez okno, widzą teraz piękny, kolorowy świat, odnajdują inspirację, przyjemność, chwilę relaksu.

Z kolei rzeźbiarka Dorota Koziara stworzyła dla nas kolekcję Cielo e Terra, w pastelowych barwach, inspirowanych kolorami polskich pejzaży. Płyty zostały wyprodukowane z barwionej masy, dzięki której cechują się dużym nasyceniem i intensywnością barw. Dostępne są w wielkim formacie, więc idealnie nadają się do zastosowań w przestrzeniach użyteczności publicznej.

Design standardowej oferty Tubądzina jest tworzony również przez absolwentów ASP. Prezentują oni zarządowi swoją wizję, a po jej akceptacji wzory wchodzi do produkcji masowej. W ten sposób Tubądzin wyposaża swoich klientów w produkty, które mogą wzbogacać ich życie codzienne. Natomiast przedsięwzięcia artystyczne wymagają czasu, cierpliwości i namysłu. Bywa też, że pierwotna wizja artysty nie przekłada się na nasz produkt i dlatego trzeba poszukać innej drogi. Sztuka to marka, która niesie emocje. Biznes, inwestując w sztukę, tak naprawdę inwestuje w markę, która w konsumpcyjnym świecie ma duże znaczenie.



Elżbieta Dzikowska: Chciałabym się włączyć do dyskusji jako posiadaczka ładnych płytek z Tubądzina. Współpraca biznesu ze sztuką jest szczególnie ważna wobec faktu, że rządzący często zapominają o kulturze. Potwierdzam – sztuka w ostatnich czasach stała się towarem i marką. Biznes inwestuje w sztukę, tworząc swoją markę.

Warto wymienić choćby Galerię Rodziny Staraków, Fundację Stefana Gierowskiego oraz inne galerie i domy aukcyjne, które docierają ze sztuką do większej rzeszy odbiorców, poszerzając spektrum działania instytucji publicznych. Żałuję, że zabrakło woli państwa, aby wybitna kolekcja sztuki Grażyny Kulczyk została w Polsce. Pani Kulczyk ulokowała ją w małym Suszu w Szwajcarii. Sławomir Górecki po to prowadzi biznes, żeby

mieć pieniądze na kolekcjonowanie i prowadzenie Piękna Gallery. Z kolei przedsiębiorcy Elżbieta i Marian Murawscy sami są artystami. Kto by pamiętał o bankierach Medyceuszach, gdyby nie byli mecenasami sztuki?

Katarzyna Młynek: Czy tylko biznesmeni inwestują w sztukę?



Jan Koszutski: Mam wielką przyjemność obcować z najbardziej intymną relacją biznesu ze sztuką. Sztuka kokietuje przeciętnego odbiorcę i uwodzi biznes. I jest to bardzo głęboka i emocjonalna relacja. Historia pokazuje, że wielkie prywatne kolekcje były zaczątkami muzeów. Tak dzieje się i dzisiaj. Byłoby o wiele łatwiej zainteresować

biznes wspomaganie kultury, gdyby państwo, choćby poprzez regulacje podatkowe, pozwoliło inwestowanie w kulturę włączyć w swój biznes. Kiedy w końcu XIX w. w USA wprowadzono ulgi podatkowe od zakupu europejskich dzieł, sztuka zaczęła rozkwitać, a nasi „monachijczycy” zaczęli odnosić sukcesy, bo bogaci Amerykanie kupowali ich prace. Obecnie polski biznes tworzy swoje kolekcje, powołując w tym celu fundacje, bo to jedyna droga, aby pasję do sztuki wpleść w biznes, również w sensie podatkowym.

Katarzyna Młynek: Doceniam, że kolekcjonerzy na świecie są gotowi dzielić się z publicznością swoimi zbiorami. Jednak wolalabym, żeby biznes inwestował nie tylko w zakup poszczególnych dzieł, ale w stałą współpracę z artystami, którzy są przecież twórczy, kreatywni, inspirujący, innowacyjni, a to cechy pożądane w biznesie.

Jan Koszutski: Od 12 lat Desa Unicum organizuje niezwykle popularne wśród odbiorców aukcje Młoda Polska, na których są prezentowane prace początkujących artystów. Aukcje młodej sztuki są doskonałą okazją, aby nabyć pierwszy obraz i – za stosunkowo niewielkie pieniądze – rozpocząć przygodę ze sztuką. W ten sposób sprzedaliśmy już ponad 2,5 tys. obrazów. Na każdej aukcji pojawiają się nowi nabywcy, co dobrze rokuje na przyszłość. Dzięki temu wielu artystów jest w stanie żyć ze swojej sztuki, wcześniej musieli szukać zatrudnienia w obszarach nieartystycznych.



Wiesława Wierzchowska: Na przykładzie swoich doświadczeń mogę powiedzieć, że różnie bywa ze zrozumieniem potrzeb kultury przez biznes. W 1994 r., wspólnie z Elżbietą Dzikowską, zrealizowałam wystawę „Ars erotica” w Muzeum Narodowym w Warszawie. Powstała ona dzięki Henryce Bochniarz, która w tym celu powołała

fundację, ale przede wszystkim zaufała nam i pozwoliła dokonywać wyboru dzieł bez jakichkolwiek nacisków. Innym razem chcieliśmy zrobić wystawę „Sąd ostateczny” i mimo że miałyśmy umówionych najwybitniejszych na świecie artystów – nie udało nam się pozyskać finansowania na to wydarzenie. Ciekawa jestem, jakimi kryteriami kieruje się dzisiaj biznes przy wyborze artystów, z którymi chce współpracować.

Joanna Wodzyńska: Pierwsze spotkanie z wybitną osobowością nie zawsze jest łatwe. Musimy znaleźć wspólne zainteresowania, priorytety, które pozwolą razem pracować. Ważne są emocje, jakie pojawiają się podczas tego spotkania. Jeżeli są pozytywne i silne – wtedy wiem, że wszystko się dobrze potoczy. Tubądzin jest otwarty na artystów, którzy tworzą w przestrzeni publicznej, dzięki czemu za pomocą produktów może przekazać odbiorcom emocje, jakie niesie dzieło sztuki. Państwo mogłoby być łącznikiem między sztuką a biznesem. Tymczasem z powodu procedur prawa budowlanego realizacje naszych projektów rozciągają się w czasie nawet na kilka lat, co powoduje wzrost kosztów. Realizacja podwórka Wojciecha Siudmaka trwała dwa lata – licząc od dnia pierwszego spotkania do dnia otwarcia w sierpniu zeszłego roku.

Katarzyna Młynek: Ideałem byłaby pomoc państwa w postaci odpisów podatkowych dla biznesu inwestującego w kulturę, ale mimo jej braku dialog między biznesem i sztuką jest prowadzony. Bo po obu stronach są ludzie, których łączy wspólny cel.

Olga Wysocka: Dziesięć lat pracowałam w Instytucie Adama Mickiewicza i odebrałam tam kilka ważnych lekcji. Kiedy Paweł Potorocznyn, ówczesny dyrektor Instytutu, próbował umawiać się na spotkania

w USA, zawsze był pytany o cel spotkania: *Is it personal or business?* Nauczony praktyką, niezmiennie odpowiadał: *It's personal business.* Istotą każdej współpracy jest relacja między ludźmi. Jeżeli nie ma wymiany energii, myśli, idei, to tej relacji nie zbudujemy. Staramy się spotykać z biznesem, bo tylko w ten sposób możemy się uczyć siebie nawzajem.

Katarzyna Młynek: Jakimi kryteriami kierują się państwo przy wyborze młodych artystów?

Jan Koszutski: Rynek sztuki z uwagą obserwuje to, co się dzieje w instytucjach publicznych. Widzę w tym wspólną misję instytucji kultury i biznesu zajmującego się sprzedażą dzieł sztuki, polegającą na promowaniu najbardziej wartościowych artystycznie twórców. Nie jest tajemnicą, że każda wystawa artysty powoduje wzrost cen jego dzieł.

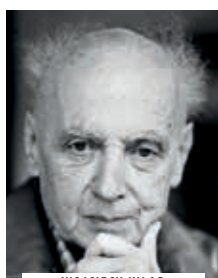
Magdalena Kąkolewska: Niepokoi mnie, że nasza rozmowa ciągle obraca się w magicznym kręgu pieniądza. Artyści dają nam oczywiście dzieła, ale to, co najcenniejsze w kontakcie z nimi, to szansa spojrzenia na świat z innej perspektywy. Nawet najlepszy obraz zakupiony za wielkie pieniądze i powieszony w gabinecie prezesa nie da korzyści biznesowi, jeżeli nie zostanie stworzona przestrzeń dialogu z odbiorcą. Dzieło zamknięte za murami będzie jedynie pozycją w bilansie, w rubryce „nabycie środków trwałych”.

Wracając do pytania – Artystyczna Podróż Hestii posiada narzędzie wyboru artystów, jakim jest konkurs przeznaczony dla studentów czwartego i piątego roku ASP. Bierzymy pod uwagę krytykę artystyczną, obserwujemy propozycje instytucji publicznych i prywatnych w poszukiwaniu postaw twórczych, które prowokują nas do myślenia czy refleksji.

Katarzyna Młynek: Jak pokonywać niechęć społeczeństwa czy biznesu do sztuki nowoczesnej?

Magdalena Kąkolewska: Metoda jest znana od lat. Trzeba oprowadzać po wystawach, organizować warsztaty, namawiać do odnajdywania własnych sił twórczych. Takie działania po mistrzowsku realizuje Zachęta. Szkoda tylko, że ta działalność jest za słabo nagłośniona i zwykły śmiertelnik po prostu o niej nie wie. Trzeba prowokować ludzi artystycznie wykreowanymi sytuacjami, żeby odważyli się wejść do muzeum czy galerii; zaciekać ich, zaskoczyć,

Trzeba prowokować
ludzi artystycznie
wykreowanymi
sytuacjami;
zaciekać ich,
zaskoczyć, oburzyć,
czyli wywołać
emocje, które
będą podstawą do
obcowania ze sztuką.



WOJCIECH KILAR



HILARY KOPROWSKI



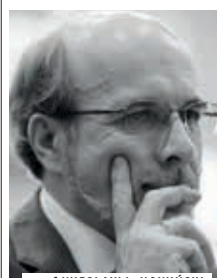
prof. MARIA SIEMIONOW



prof. JACEK JASSEM



ADAM MAŁYSZ



prof. WIESŁAW L. NOWIŃSKI



prof. HENRYK SKARŻYŃSKI



RAFAŁ OLBIŃSKI



KRZYSZTOF PENDERECKI



dr JANUSZ LEWANDOWSKI



prof. MAREK BELKA



ANDRZEJ WAJDA



dr JAN KULCZYK

Konkurs Wybitny Polak

www.wybitnypolak.pl



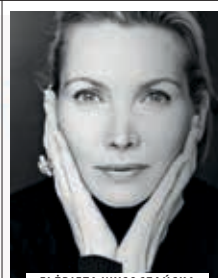
ZYGMUNT SOLORZ-ŻAK



WALDEMAR DĄBROWSKI



dr IRENA ERIS



ELŻBIETA WYSZCZKA



prof. KRZYSZTOF MATYJASZEWICZ



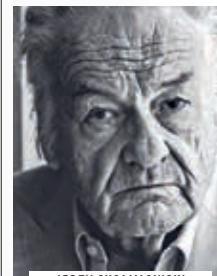
JAN A. P. KACZMAREK



KRZYSZTOF PASTOR



ks. prof. MICHAŁ HELLER



JERZY SKOLIMOWSKI



KAMIL STOCH



oburzyć, czyli wywołać w nich emocje, które będą podstawą do obcowania ze sztuką.

Jan Koszutski: U nas również ogromnym zainteresowaniem cieszą się warsztaty czy kuratorskie oprowadzanie po wystawie. Zorganizowane jesienią zeszłego roku Desa Design Days przyciągnęły tłumy odbiorców, którzy chcieli zobaczyć z bliska proces twórczy. Myślę, że społeczeństwo szuka możliwości edukacji – naszą misją jest wyjść mu naprzeciw.

Joanna Wodzyńska: Tubądzin zaprasza do siebie uczniów, aby pokazać glinę jako materiał działań artystycznych. Prezentujemy także, jak wygląda proces produkcyjny płytki ceramicznej, a nawet zachęcamy do stworzenia obrazu, który od razu przenosimy na płytkę. Edukacja powinna zaczynać się w przedszkolu, aby jak najwcześniej kształtować wrażliwość dziecka na piękno.

Olga Wysocka: Dyskutujemy w sali warsztatowej, w której Zachęta codziennie organizuje spotkania z dziećmi i dorosłymi; tutaj się rysuje, maluje, lepi. W zeszłym roku udało nam się zamknąć plac Małachowskiego dla ruchu kołowego, dzięki czemu znów – jak przed 100 laty – jest przestrzenią działań artystycznych. W tym miejscu Paweł Althamer i Roman Stańczak wspólnie z Grupą Nowolipie przygotowali projekt Wiatrołomy, w ramach którego na drzewach powalonych przez wiatr realizowano projekty artystyczne z udziałem widzów. Zaintrygowani przechodnie zaczęli się włączać w te działania. Wrażliwość można pobudzić u ludzi w każdym wieku. Również w dorosłych jest wiele energii czekającej na uruchomienie.

Paweł Potoroczyn w Instytucie Adama Mickiewicza zamiast słowa „gadżet” kazał nam używać określenia „wehikuł narracji”. Nie chodzi przecież o sprzedawanie produktu, ale o pewną opowieść. Oto kubek przedstawiający pracę Ryszarda Winiarskiego, a przygotowany przez Marka Cecułę ze Studia Design Ćmielów. Za pomocą kubka opowiadamy o artyście, którego znają zapewne osoby interesujące się sztuką. Ale czy wszyscy wiedzą, że Winiarski, zanim został malarzem, ukończył studia na politechnice, interesował się rachunkiem prawdopodobieństwa, a wszystkie jego prace są odzwierciedleniem związków nauki i sztuki? Wiele działań realizujemy na styku z biznesem, bo potrzebujemy wzajemnej inspiracji. Kultura powinna przekazywać wiedzę i inspirację biznesowi, który powinien je wykorzystywać.

Paweł Potoroczyn: Pablo Picasso dostał kiedyś zaproszenie na kolację do barona Rotszylda. Mówi żonie: „Jak pójde, wynudzę się jak mops – sami bankierzy, finansisci itd.”. Po kolacji, przy deserze, cygarach i koniaku, Picasso mówi do barona Rotszylda: „Panie baronie, dzie-

kuje za fantastyczny wieczór, który spędziłem w gronie pańskich przyjaciół na rozmowach o kulturze i sztuce. Bo jak spotykam się z moimi kolegami artystami, to rozmawiamy głównie o pieniądzach”. Mam jeszcze fajniejszą anegdotę. Czesław Miłosz wrócił do Polski. Dziennikarz go pyta: „Mistrzu, gdyby został pan ministrem kultury, jak brzmiałaby pańska pierwsza decyzja?”. A on mówi: „Przywróciłbym grekę w szkołach”. Na co dziennikarz odpowiada: „Ale to jest w gestii ministra edukacji”. Na co Miłosz nie ukrywa zdziwienia: „To teraz są osobne ministerstwa?”.

Ta opowieść jest podziękowaniem dla wszystkich państwa, którzy wspomnieli o edukacji. To, co się udało zniszczyć w Polsce definitywnie w ciągu ostatnich 30 lat, to edukacja następnych pokoleń uczestników kultury. Dla kogo tak się staramy popularyzować kulturę, skoro szkoła nie uczy odczytywania jej kodów i rozumienia jej toposów? Dzisiaj zadaniem szkoły jest wychować nowego Polaka, nowego patriotę. Tymczasem są dwa cele, które w Polsce kultura może i powinna zrealizować. Po pierwsze, ostatnie 20 lat przekonuje nas, że nie wymyślono lepszej szczepionki na populizm niż kultura, edukacja i edukacja kultury. Po drugie, kilka lat temu karierę zrobiło pojęcie pułapki średniego dochodu. Skąd się bierze owa pułapka? Ze słabości kultury, a konkretnie z niskich marż. A skąd się biorą niskie marże na produkcie? Z niewielkiej intelektualnej wartości dodanej, czyli ze słabości kultury.

Od 30 lat, niczym kaznodzieja, mówię o transferze pieniądza do kultury i kultury do pieniędzy. Właściwie już się prawie udało, już nam prawie uwierzyli. Aż nastał rok 2008 i okazało się, że nie kultura jest częścią gospodarki, tylko gospodarka jest częścią kultury. I są na to empiryczne dowody: jaka kreatywność, taki sukces w biznesie; jaka innowacyjność, takie marże. I jaka kultura, taka gospodarka. A dziś jeszcze pewnie należałoby powiedzieć: jaka kultura, taka demokracja.

Magdalena Kąkolewska: Jakkolwiek niezwykle cenię pasje kolekcjonerskie i zakupy sztuki, to uważam, że obowiązkiem biznesu jest wspieranie działań, które generują twórczy rozwój. Wspieramy artystów, żeby mogli nas czegoś nauczyć, ale też po to, aby sami się mogli rozwijać.

Popadliśmy w czasie naszej rozmowy w pesymizm – skoro nie ma edukacji, co mamy robić? Coś zrobić trzeba! Można organizować działania otwarte dla publiczności, które wspierają edukację w zakresie sztuki. Nie zastąpi to oczywiście edukacji w szkołach; uważam wręcz, że trzeba przywrócić lekcje sztuki. Jako biznes możemy kreować wydarzenia artystyczne. Jeżeli choć jeden widz doświadczy emocji, to już nasze działania mają sens. Gdybym miała spuentować, apelowałabym do kultury, aby chętniej współuczestniczyła w „judymowskich” próbach edukowania i budowania relacji z widzami i biznesem. A biznesowi zalecałabym pokorę i pozytywistyczną pracę. Nie mówiliśmy dzisiaj nic o przywództwie i liderach, którzy mogliby czerpać garściami z doświadczeń artystów. Jak widać, styków biznesu i kultury jest bardzo wiele.





© ARCHIWUM KONKURSU MONIUSZKOWSKIEGO TWON



Stanisław Moniuszko – obok Fryderyka Chopina – zajmuje w polskiej muzyce XIX w. miejsce najważniejsze. Jego dzieła głęboko zakorzeniły się w naszej wyobraźni narodowej i do dziś nie straciły siły artystycznego oddziaływania. Witold Rudziński

Wielkie śpiewanie w Warszawie

Katarzyna Budzyńska

Za niespełna trzy miesiące w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w Warszawie odbędzie się jubileuszowa, X edycja Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Stanisław Moniuszki. 5 maja, w dniu urodzin kompozytora, to wielkie wydarzenie zainauguruje uroczysta gala otwarcia z udziałem zaproszonych gości, w tym laureatów poprzednich edycji. Do biura Konkursu napłynęła rekordowa liczba zgłoszeń – ponad 380 – z blisko 50 państw Europy, obu Ameryk, Azji, Afryki i Australii; najwięcej z Polski, Ukrainy, Rosji, Korei i USA, ale także z Kostaryki, Portoryko, Japonii, Nigerii, RPA, Nowej Zelandii i Madagaskaru. Do rywalizacji stanie blisko 80 wybranych uczestników, adeptów sztuki wokalne wyłonionych w wyniku wnikliwej preselekcji. Ich zmagania będzie śledzić i oceniać znamienite jury pod przewodnictwem krytyka muzycznego Petera Maria Katony,

obecnie dyrektora ds. obsad w londyńskiej Royal Opera House w Covent Garden. Zaproszenie przyjęli także m.in. Jonathan Friend (Metropolitan Opera), Tobias O. Hassan (Staatsoper Berlin), Boris Ignatov (Staatsoper Stuttgart), Alain Perroux (Festival d'Aix-en-Provence), Nicholas Payne (Opera Europa), a także nasi znakomici śpiewacy Ewa Podleś i Piotr Beczała.

Ku pokrzepieniu serc

O muzyce Stanisława Moniuszki napisano już bardzo wiele. Jego dorobek imponuje różnorodnością, bogactwem melodii i głębokim zakorzenieniem w naszej tradycji muzycznej. Odzwierciedla jej polski, niepowtarzalny charakter. Przez lata kształtował podstawy rodzimej kultury i wskazywał rodakom ich własną tożsamość. Pomagał także przetrwać trudne czasy. Nasz narodowy kompozytor był również bez wątpienia wielkim patriotą – jak pisał o nim w 1921 r. Zdzisław Jachimecki, badacz jego twórczości – „krew z krwi i kość z kości Polakiem”. Jego opery „Halka” i „Straszny dwór” – dotyczące sedna polskości zarówno w warstwie tekstowej, jak i muzycznej – do dziś są inspiracją dla wielu twórców teatralnych, a dorobek pieśniarski stanowi istotę polskiego repertuaru wokalnego. Moniuszko odegrał znaczącą rolę w historii Polski, zaś w swojej twórczości dawał wyraz temu, że „naród żyje naprawdę, gdy żyje jego kultura”.

Stanisław Moniuszko (1819–1872) po raz pierwszy przystąpił próg Teatru Wielkiego w 1857 r. Niedługo potem jego opera „Halka” odniosła ogromny sukces. Został mianowany stałym dyrygentem i otrzymał tytuł dyrektora opery. Nadal komponował – powstawały dzieła operowe, kantaty i msze, wreszcie niezliczone pieśni. Z pewnością należy uznać Moniuszkę za twórcę gatunku polskiej pieśni artystycznej. „Śpiewnik domowy” – dwanaście zeszytów zawierających blisko trzysta utworów do słów poetów polskich, zagranicznych oraz twórców ludowych – uczynił go jednym z największych kompozytorów pieśni w Europie. Tak oto Stanisław Moniuszko zyskał sobie miano ojca opery narodowej.

Rok 2019 – Rok Stanisława Moniuszki

Niestety, dzisiejsza wiedza na temat Moniuszki, jego życia i twórczości, nie jest zbyt imponująca. Znakomitą okazją, by poprawić taki stan rzeczy, jest Rok Stanisława Moniuszki, ogłoszony w związku z 200. rocznicą urodzin kompozytora przez Sejm i Senat Rzeczypospolitej Polskiej, a także (na wniosek Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego) przez Konferencję Generalną UNESCO z poparciem Polskiego Komitetu tej organizacji. Dziesiąta edycja Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Stanisław Moniuszki, tak jak wiele innych wydarzeń organizowanych w całej Polsce, również wpisuje się w uroczyste obchody tegorocznego jubileuszu.

Idea powołania Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Stanisława Moniuszki powracała regularnie w rozważaniach za-



© ARCHIWUM KONKURSU MONIUSZKOWSKIEGO TWON

Bogusław Kaczyński
i Maria Fołtyn

równy Departamentu Muzyki w ówczesnym Ministerstwie Kultury i Sztuki, jak i w środowiskach muzycznych. Wreszcie, w 1988 r., ministerstwo wraz z Filharmonią Narodową i Towarzystwem Miłośników Muzyki Moniuszki podjęły decyzję o zorganizowaniu międzynarodowej imprezy, która miałaby przybliżyć twórczość Moniuszki młodym polskim i zagranicznym wokalistom. W ten sposób stworzono Międzynarodowy Konkurs dla Młodych Wokalistów im. Stanisława Moniuszki. Zadanie propagowania spuścizny kompozytora realizowane jest nieprzerwanie od 1992 r. W międzyczasie zmieniono nieznacznie nazwę – co trzy lata w Warszawie odbywa się Międzynarodowy Konkurs Wokalny im. Stanisława Moniuszki, nazywany również Konkursem Moniuszkowskim. A sam kompozytor, przepełniony polskością twórca oper narodowych i „Śpiewników domowych”, zaakceptowany przez utalentowaną wokalnie młodzież, stał się z biegiem lat niejako obywatelem świata.

Maria Fołtyn (1924–2012)

Była wielką osobowością polskiego życia muzycznego, kobietą niezwykłą, absolutną pasjonatką, heroiną walczącą o niemożliwe niczym bohaterki jej scenicznych wcieleni z operowego repertuaru. Znakomita śpiewaczka i animatorka życia muzycznego po latach kariery wokalne zajęła się reżyserią operową. Szczególną pozycję w dorobku reżyserskim Marii Fołtyn zajmował repertuar polski, zwłaszcza opery Stanisława Moniuszki, których była niestrudzoną propagatorką w kraju i za granicą. „Straszny dwór” zrealizowała w Bukareszcie, Tokio i Samarze, zaś „Halkę” zaprezentowała w Hawanie, Meksyku, Ankarze, Nowosybirsku, Osace i Kurytybie. W latach 1977–1998 pełniła funkcję dyrektora artystycznego Festiwalu Moniuszkowskich w Kudowie-Zdroju. W 1984 r. założyła Towarzystwo Miłośników Muzyki Moniuszki, rok później została jego pierwszym prezesem. Jej nieustająca pasja i ogromne zaangażowanie zaowocowały wieloma cennymi przedsięwzięciami.

Wspólnie z Towarzystwem Miłośników Muzyki Moniuszki w 1992 r. zorganizowała I Międzynarodowy Konkurs Wokalny im. Stanisława Moniuszki, a następnie jego kolejne edycje. Dwie pierwsze, pod egidą Ministerstwa Kultury, przyjęła pod swe skrzydła Filharmonia Narodowa. Kolejne trzy edycje zagościły w Teatrze Wielkim. Wtedy też, w wyniku starań ówczesnej dyrekcji, wielka inicjatywa Marii Fołtyn, okupiona przez lata wielką pracą i osobistym zaangażowaniem, doczekała się trwałej, instytucjonalnej stabilizacji. W 2006 r. ówczesny minister kultury i dziedzictwa narodowego Kazimierz Michał Ujazdowski wpisał prowadzenie Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Stanisława Moniuszki do podstawowych zadań narodowej sceny operowej. Teatr Wielki w Warszawie był bowiem

domem artystycznym kompozytora, który tu właśnie tworzył, pracował, święcił swoje największe triumfy i stąd został odprowadzony na miejsce wiecznego spoczynku. Było więc oczywiste, że Konkurs powinien odbywać się w siedzibie Opery Narodowej. Wszystko to stało się fundamentem wydarzenia, które dzisiaj jest największym przedsięwzięciem tego rodzaju w Polsce, z powodzeniem też mierzy się z najważniejszymi konkurentami w Europie i na świecie.

Reguły Konkursu

Konkurs składa się z trzech etapów. W dwóch wokaliści śpiewają z akompaniamentem fortepianu, w trzecim, finałowym – z orkiestrą. Dobór programu następuje na podstawie listy repertuarowej przygotowanej dla uczestników przez organizatorów Konkursu. Lista zawiera zestaw utworów, które kandydaci mogą zaśpiewać w zależności od etapu. I tak w pierwszym etapie są to arie operowe (z XVIII lub XIX w.) i pieśni polskie (z XIX lub XX w.), w drugim etapie – arie operowe z tego samego okresu, ale inne niż w pierwszym etapie, oraz pieśni z repertuaru światowego (z XIX i XX w.). Wreszcie na etap trzeci składa się prezentacja polskiej arii operowej, arii operowej lub operetkowej z repertuaru Stanisława Moniuszki i arii operowej z repertuaru światowego.

Do Konkursu mogą zgłaszać się młodzi śpiewacy wszystkich narodowości. Zachowany musi być jednak limit wiekowy. Wybrani przez jury uczestnicy, poddani ocenie podczas przesłuchań, staną przed wielkim wyzwaniem i ogromną szansą. Głos, talent, lata nauki i determinacja zostaną zauważone, docenione i uhonorowane, również finansowo. A jest o co walczyć. Ustanowione regulaminem nagrody dla laureatów i finalistów to sumy rzędu kilku tysięcy euro, imponująca jest też lista wyróżnień pozaregulaminowych.

Konkurs Moniuszkowski od początku istnienia był wielkim wydarzeniem na kulturalnej i muzycznej mapie Warszawy i Polski. Jego kolejne edycje obejmowały patronatem najważniejsze osoby w kraju, m.in. ministrowie kultury Andrzej Siciński, Kazimierz Dejmek, Bogdan Zdrojewski i Piotr Gliński; prezydenci Aleksander Kwaśniewski i Lech Kaczyński z małżonką oraz prymas Polski, kardynał Józef Glemp.

Jurorzy i laureaci

Kolejne edycje Konkursu gromadziły znakomite, kompetentne gremia jurorów, w skład których wchodziłi wybitni artyści, wielcy pedagodzy, znani dziennikarze muzyczni, jednym słowem osoby mające decyzyjny głos w kształtowaniu wydarzeń na polskiej i międzynarodowej scenie muzycznej. Zasiadały w nich wyjątkowe osobistości: Irina Archipowa, Leyla Gencer, Teresa Berganza, Larisa Gergieva, Mirella Freni, Martha Eggerth, Éva Marton, Guo Shuzhen,

Neil Shicoff, Sergio Segalini, Ewa Podleś, Teresa Żylis-Gara, Krystyna Szostek-Radkova, Stefania Toczyska, Helena Łazarska, Bogusław Kaczyński, Jacek Kasprzyk, Jerzy Artysz, Bogdan Paprocki, Wiesław Ochman, Ryszard Karczykowski, Andrzej Dobber i in. Nie sposób wymienić wszystkich. Od 2013 r. (VIII edycja) w jury zasiadają również menedżerowie i doradcy ważnych teatrów operowych (m.in. Opery Hamburskiej, Theater an der Wien, Houston Grand Opera) i prestiżowych festiwali muzycznych (Bregenzer Festspiele, Festival d'Aix-en-Provence). Zmiana ta miała swój wymierny efekt – dawała uczestnikom szansę na angaż niezależnie od konkursowych zmagania.

Minione kilkanaście lat pokazało, że wiele werdyktów jury zyskało potwierdzenie w karierach laureatów. Spośród polskich finalistów, którzy odnieśli sukces, stali się gwiazdami wokalistyki i goszczą na polskich, europejskich i światowych scenach operowych oraz wielkich estradach koncertowych, wymienić można m.in. Aleksandrę Kurzak, Urszulę Kryger, Małgorzatę Walewską, Katarzynę Trylnik, Wiolettę Chodowicz, Marcina Bronikowskiego, Jacka Janiszewskiego, Adama Zdunikowskiego, Rafała Bartmińskiego, Mariusza Kwietnia, a także Aleksandrę Kubas, Ewę Tracz, Łukasza Golińskiego, Andrzeja Fiołczyka, Krzysztofa Bączyka i Jakuba Józefa Orlińskiego.

Konkurs dzisiaj

Zmagania uczestników poprzedniej, IX edycji Konkursu Moniuszkowskiego po raz pierwszy można było oglądać na platformie VOD Teatru Wielkiego – Opery Narodowej. Transmitowano na żywo zarówno wszystkie przesłuchania, jak i galę finałową. Dzięki temu Konkurs trafił do większego grona odbiorców.

Kiedy świat pożegnał Marię Fołtyn, dyrektorską i organizacyjną pieczę nad Konkursem przejęła Beata Klatka. Od najmłodszych lat związana z muzyką, flectka, pedagog, koordynator Programu Kształcenia Młodych Talentów i szefowa Akademii Operowej w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej. Wspierana przez ekipę świetnych współpracowników, z powodzeniem realizuje przekazane przez swoją wielką poprzedniczkę dziedzic-

two: dba o Konkurs, który Maria Fołtyn stworzyła i uczyniła ważnym wydarzeniem w świecie wokalistyki. Kolejni artyści, również z najodleglejszych krajów, włączają do swojego repertuaru pieśni i arie twórcy polskiej opery narodowej.

Uważamy Fryderyka Chopina za światowego ambasadora polskości, lecz nie wolno nam zapominać o Stanisławie Moniuszce, którego życie i twórczość tak ściśle związane były z Polską i narodem. Mamy zobowiązanie wobec naszego wielkiego kompozytora, dlatego powinniśmy nadal pielęgnować jego dzieło. Chociażby poprzez organizowanie Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Stanisława Moniuszki.



Plakat Rafała Olbińskiego



© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM

o kobietach i sporcie

Czy „mała Polka” mogła zakpić z Hitlera? Czy można zdobyć olimpijskie złoto i o tym nie wiedzieć? I czy na Księżycu da się zagrać w golfa? Na te i wiele innych pytań odpowiadają prof. Jerzy Bralczyk, językoznawca, specjalista z zakresu języka mediów, reklamy i polityki, sympatyk sportu; Andrzej Person, były senator RP i dziennikarz sportowy; Stefan Szczepłek, dziennikarz i komentator sportowy; oraz Krzysztof Przybył, prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego, redaktor naczelny kwartalnika „Teraz Polska”.

Krzysztof Przybył: Celem dzisiejszego, kameralnego spotkania jest poszukiwanie ciekawych historii, niezwykłych biografii i inspirowanych przykładów, dla których wspólnym mianownikiem będą kobiety i sport. Oczywiście raczcie, panowie, swoim zwyczajem, nie stronić od dygresji...

Stefan Szczepłek: Już mam pierwsze skojarzenie – Maria Kwaśniewska, oszczepniczka, nazywana małą Polką, która zakpiła z Hitlera. Otóż podczas igrzysk olimpijskich w Berlinie, w sierpniu 1936 r., w trakcie wręczania medali oszczepniczkom dwie z nich pozdrowiły Hitlera charakterystycznym gestem uniesionej dłoni. Trzecia, z polskim godłem na piersi, tylko się uśmiechnęła. Kiedy Führer zwrócił się do niej słowami: „Gratuluję małej Polce”, odpowiedziała: „Pan też niezbyt wysoki”. Jej medalowy rzut na 41,8 m można zobaczyć w słynnym filmie Leni Riefenstahl „Olimpiada”. Z Berlina wróciła także z tytułem miss olimpiady. Ale to słynne zdjęcie z Hitlerem przydało jej się szczególnie, kiedy w 1944 r.

pomagała wydostać się z obozu w Pruszkowie więźniom zatrzymanym po Powstaniu Warszawskim. W wywiadach mówiła: „Pokazywałam przy bramie tę moją fotografię z Hitlerem. Żandarmi traktowali ją jak auswajs. Bili w czapę i przepuszczali transport chorych. Wyprowadzałam ludzi na zewnątrz do Pruszkowa, potem brałam do Podkory do domu. W moim domu miałam obóz przejściowy, w którym mieszkał m.in. Stanisław Dygat”. Być może jego powieść „Pożegnania” odnosi się do tamtych wydarzeń z Podkory.

Maria Kwaśniewska-Maleszewska urodziła się w 1913 r. w Łodzi. Była wszechstronną sportsmenką, trenującą gimnastykę, koszykówkę i siatkówkę. W 1927 r. postanowiła skupić się na lekkoatletyce i rozpoczęła treningi w Łódzkim Klubie Sportowym. Już w 1930 r. została mistrzynią Polski w skoku w dal. Razem z drużyną zdobyła mistrzostwo Polski w hazenie oraz brąz w koszykówce na

III Światowych Igrzyskach Kobiet w Pradze. Po wojnie Maria Kwaśniewska wróciła do sportu i w 1946 r. po raz piąty została mistrzynią Polski w rzucie oszczepem. Nadal grała też w koszykówkę. W 1949 r. zakończyła sportową karierę i zaczęła pracować w Polskim Komitecie Olimpijskim oraz Polskim Związku Lekkiej Atletyki. Do końca życia bardzo dbała o aktywność fizyczną. Można było ją spotkać w dresie w ogrodzie Saskim. Zmarła w 2007 r.



Maria Kwaśniewska-Maleszewska

Andrzej Person: W starożytności kobietom nie wolno było nawet wejść na stadion. Kiedy w 1896 r. baron de Coubertin powoływał do życia igrzyska olimpijskie, również początkowo nie widział w nich miejsca dla kobiet. Ale już cztery lata później kobiety wystartowały po raz pierwszy w turnieju golfowym w podparyskim Compiègne, który zaliczał się do rozgrywek olimpijskich. Brało w nim udział 10 zawodniczek z Francji i USA, a zwyciężyła Amerykanka Margaret Abbott, która przyjechała z córką do Paryża, by zwiedzić wystawę światową. Przy okazji panie postanowiły zagrać turniej golfa, po czym wróciły do domu, nie dowiedziawszy się, że Margaret go wygrała i została mistrzynią olimpijską. Zmarła w 1955 r., nie zdając sobie sprawy, że turniej w Compiègne został uznany za część igrzysk. Długo nie wiedziały o tym także jej dzieci, dopiero w latach 60. rodzina wystąpiła do Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego po należytej matce tytuł pierwszej złotej medalistki.

Od kilkunastu lat obowiązuje zasada, że liczba zawodników i zawodniczek na igrzyskach olimpijskich musi być taka sama. Istnieją jednakże dyscypliny olimpijskie, w których występują tylko kobiety, są to softball (w latach 1996–2008), gimnastyka artystyczna, pływanie synchroniczne i siedmiobój. Jedyną dyscypliną, w której nie ma osobnych konkurencji dla kobiet i mężczyzn, jest jeździectwo.

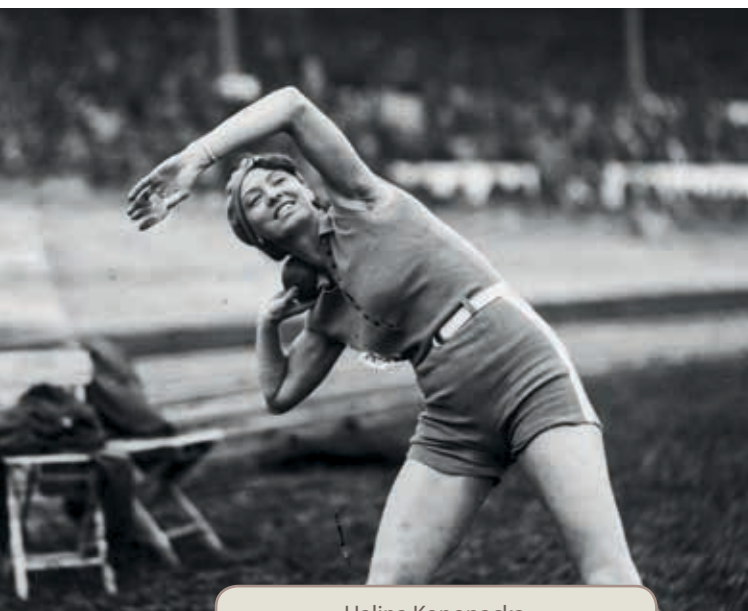
W 1900 r. w igrzyskach w Paryżu wystartowały kobiety. Jako pierwsze na olimpijskie boisko wyszły dwie francuskie zawodniczki uprawiające krokiet: pani Jeanne Filleaul-Brohy i panna Marie Ohnier. Pierwszą mistrzynią olimpijską została brytyjska tenisistka Charlotte Cooper. W Paryżu swój debiut olimpijski miały następujące dyscypliny: golf, jeździectwo, łucznictwo, piłka nożna, piłka wodna, rugby, żeglarstwo, wioślarstwo, pelota baskijska, krokiet i krykiet. W stolicy Francji odbyły się „igrzyska bez medali” – wybito je dopiero po zakończeniu zawodów i rozesłano pocztą. Wielu olimpijczyków nigdy swych medali nie otrzymało.

Stefan Szczepłęk: Szczególnie podziwiam odporność i wytrzymałość kobiet. Na igrzyskach olimpijskich kobiety wystartowały po raz pierwszy w 1900 r. w Paryżu, a lekkoatletki – w 1928 r. w Amsterdamie. Maraton kobiet został włączony do programu igrzysk olimpijskich dopiero w 1984 r. w Los Angeles. Szczególnie pamiętne są sceny z udziałem Szwajcarki Gabrieli Andersen-Schiess, która wpadła na metę (na 37. miejscu) półżywa, nie wiedząc, co się z nią dzieje. Dzisiaj kobiety startują w zawodach Ironmana, a niepokonana Szwajcarka Daniela Ryf cztery razy z rzędu zdobyła mistrzostwo świata kobiet w triathlonie na dystansie 70,3 mil (1,9 km pływania, 90 km trasy kolarskiej, 21,1 km biegu). Jej wyniki są lepsze od tysiąca mężczyzn.

Andrzej Person: Warto zwrócić uwagę na fenomen sióstr Polgár. Ojciec szachistek László Polgár uważał, że „kiedy dziecko rodzi się, już jest potencjalnym geniuszem”. Dlatego postawił na naukę domową języków, matematyki i gry w szachy, którą uważał za obiektywną i łatwą do zmierzenia. Zamiast chodzić do szkoły Zsuzsa, Judit i Zsófia trenowały grę w szachy po 10 godzin dziennie. Do Zsuzsy należy rekord świata w grze symultanicznej. Podczas 16 godzin i 30 minut udało jej się rozegrać 326 partii (309 wygrała, 14 zremisowała, 3 przegrała). W 1991 r. jako pierwsza kobieta wywalczyła tytuł „męskiego” arcymistrza. Obecnie mieszka w Nowym Jorku, gdzie prowadzi swoją szkołę szachową. Zmieniła obywatelstwo i teraz nazywa się Susan Polgar.

Judit Polgár, najmłodsza siostra, osiągnęła największe sukcesy. Już w wieku 15 lat zdobyła tytuł mistrza Węgier seniorów, stając się najmłodszym arcymistrzem szachowym w historii. Jest pierwszą kobietą, której udało się osiągnąć próg 2700 punktów rankingowych. Dla porównania: Garri Kasparow ma 2830 punktów, najlepszy Polak – 2650, a najlepsza (poza nią) kobieta – 2550. W 2003 r. awansowała do elitarnego grona superarcymistrzów. W latach 1989–2015 nieprzerwanie znajdowała się na pierwszym miejscu na światowej liście rankingowej Międzynarodowej Federacji Szachowej. Judit zakończyła karierę w 2014 r., po olimpiadzie szachowej w Tromsø. Jedyna z rodziny nie wyprowadziła się z Węgier.

Stefan Szczepiek: Chciałbym wrócić na rodzimy grunt i podkreślić, że polski sport sukcesami kobiet stoi. Zwróciłbym uwagę na Halinę Konopacką, która w 1928 r. w Amsterdamie zdobyła pierwszy złoty medal olimpijski dla Polski, ustanawiając jednocześnie rekord świata w rzucie dyskiem z wynikiem 39,62 m. Przez całą karierę reprezentowała AZS Warszawa. Uprawiała rzut dyskiem, rzut oszczepem, pchnięcie kulą, skok wzwyż i skok w dal. Do końca swojej kariery nie została pokonana w rzucie dyskiem w żadnych zawodach. W 1931 r. wycofała się z czynnego życia sportowego. Złoto olimpijskie przyniosło jej rozgłos, czyniąc z niej pierwszą polską celebrytkę, jak byśmy dzisiaj powiedzieli. Dopomogły w tym niezwykła uroda oraz talent w takich dziedzinach sztuki, jak po-



Halina Konopacka

ezja i malarstwo. A także odwaga i męstwo. Gdy wybuchła II wojna światowa, we wrześniu 1939 r., towarzyszyła mężowi, Ignacemu Matuszewskiemu, ministrowi skarbu, przy ewakuacji złota Banku Polskiego, którą ten zorganizował i nadzorował. Była kierownicą jednej z ciężarówek na trasie przez Rumunię nad Morze Czarne i dalej do Francji. Po klęsce Francji wyjechała z mężem przez Hiszpanię do USA, gdzie mieszkała do końca swych dni. Zmarła w 1989 r.

Andrzej Person: Stanisława Walasiewicz już takiej pozycji nie osiągnęła, choć zdobyła olimpijskie złoto (w Los Angeles w 1932 r.) i srebro (w Berlinie w 1936 r.). Urodziła się w Polsce, ale jej rodzina wyemigrowała do USA, kiedy miała zaledwie trzy miesiące. Już jako nastolatka była uzdolnioną biegaczką i startowała w wielu zawodach lekkoatletycznych. Bez obywatelstwa amerykańskiego nie mogła wziąć udziału w igrzyskach w 1928 r. Przyjechała zatem do Polski i trenowała w klubie Warszawianka. Na olimpiadzie w Los Angeles okazała się najszybszą biegaczką na 100 m, wyrównując rekord świata czasem 11,9 s. Tego samego

dnia zajęła szóste miejsce w rzucie dyskiem. W ciągu swojej kariery 14 razy poprawiała rekordy świata. Walasiewiczówna zginęła w 1980 r. podczas napadu na sklep, postrzelona przez napastnika. Zgodnie z amerykańskim prawem ciało zostało poddane sekcji zwłok i wtedy okazało się, że była osobą interseksualną. W Polsce zawrzało. Wielu chciało odebrać jej wywalczone medale i anulować ustanowione rekordy.

Stanisława Walasiewicz w latach 1933–1946 zdobyła 24 razy tytuł mistrzyni Polski – w biegach na 60 m, 100 m, 200 m, 80 m przez płotki, skoku w dal, skoku w dal z miejsca, rzucie oszczepem, trójboku, pięcioboju. Była 54-krotną rekordzistką Polski. Pod koniec lat 30. Walasiewiczówna powróciła do Stanów Zjednoczonych, gdzie startowała i wielokrotnie wygrywała amerykańskie mistrzostwa, mimo że nadal nie była oficjalnie obywatelką tego kraju. W 1947 r. wyszła za mąż za boksera Harry'ego Neila Olsona, dzięki czemu uzyskała obywatelstwo amerykańskie i odtąd nazywała się Stella Walsh Olson. Po zakończeniu kariery sportowej była trenerką i działaczką polonijną, współpracowała z PKOl.

Jerzy Bralczyk: W okresie międzywojnia sława sportsmenek była co najmniej równa sławie sportowców. I ich liczba też. Popatrzmy choćby na kariery Jadwigi Wajsówny, Marii Kwaśniewskiej czy Jadwigi Jędrzejowskiej. Podobnie było po wojnie. Warto wspomnieć Elżbietę Duńską-Krzesińską. W kraju wywiązała się narodowa dyskusja na temat jej warkocza, którego ślad na piasku przeszkodził w zdobyciu srebrnego medalu w skoku w dal na olimpiadzie w Helsinkach w 1952 r. Mimo znakomitego skoku sędziowie sklasyfikowali ją dopiero na 12. miejscu. Przyczyną degradacji naszej zawodniczki był długi warkocz, który przy lądowaniu pierwszy dotknął piasku i zostawiał na nim ślad. Sędziowie długo zastanawiali się, co jest śladem zawodnika: ślad ciała czy warkocza.

Ponieważ wcześniej nie odnosiliśmy sukcesów w grach zespołowych (poza brązowymi medalami olimpijskimi naszych siatkarek w latach 1964 i 1968), zawodników lekkoatletycznych traktowaliśmy jako cudowną drużynę – wunderteam. Film „Mąż swojej żony” Barei, nakręcony na podstawie sztuki „Mąż Fołtasiówny” Jerzego Jurandota, najlepiej pokazuje, jak wielka była popularność lekkoatletyki i sportsmenek w latach 60.

Stefan Szczepiek: Nie bez przyczyny można mówić o niezwykłej urodzie naszych pań. Wspomnę w tym momencie choćby Barbarę Janiszewską. Specjalizowała się w biegach krótkich, szczególnie w biegu na 200 m. Trzykrotnie startowała w igrzyskach olimpijskich, a w 1960 r. w Rzymie zdobyła brązowy medal w sztafecie 4 × 100 m. Wielkie sukcesy odniosła podczas mistrzostw Europy – zdobyła dwa złote i dwa brązowe medale. Nie każdy wie, że jest matką aktora Łukasza Nowickiego.



Kazimiera Muszałówna i Stanisława Walasiewicz

Andrzej Person: Jeżeli już jesteśmy przy aktorstwie, to wspomnę o Apolonii Chałupiec, którą świat zna jako Polę Negri. Urodziła się w Lipnie, gdzie osiedlił się jej ojciec pochodzący ze Słowacji i noszący nazwisko Chalupiec. On spolszczył je na Chałupiec, natomiast jego brat, który zamieszkał w Warszawie, pozostał przy oryginalnym brzmieniu. Nawiasem mówiąc, krewny słynnej ciotki Poli Negri Igor Chalupiec, finansista, był prezes PKN Orlen, Banku Pekao SA, ale też brydżysta, pochodzi właśnie z linii warszawskiej. Pola Negri to pierwsza aktorka w historii Europy, która zrobiła wielką karierę w Hollywood, stając się najjaśniejszą gwiazdą kina niemego.

Stefan Szczepłęk: Zastanawiam się, czy są aktorki wywodzące się ze świata sportu. Przypomniał mi się Johnny Weissmuller, aktor znany z ról Tarzana, który w latach 20. XX w. był jednym z najlepszych pływaków, olimpijczykiem, zdobywcą pięciu złotych medali w pływaniu i jednego brązowego w piłce wodnej.

Jerzy Bralczyk: Nie przypominam sobie takiego transferu wśród kobiet. Choć sport to rodzaj aktorstwa. Przychodzą mi na myśl w tej chwili bokserzy Kulej i Szczepański, którzy wystąpili w filmie „Przepraszam, czy tu biją?”, oczywiście w roli pięściarzy. Sport uczy pokory, pracowitości, wytrwałości i szacunku. Ale też daje sławę, a ten atrybut szczególnie przydaje się pragnącym wejść do świata polityki. Znajomość ze sportowcem czy spotkanie z nim wielu uważa za przywilej. Sława pomaga zaistnieć w nowym środowisku, stąd wielu byłych sportowców wśród polityków, posłów, senatorów, dyplomatów.

Andrzej Person: Nie jest to może szczególnie związane z tematem rozmowy, ale chciałbym zwrócić uwagę na pewien fakt. Według Brytyjczyków największym wydarzeniem XX w. było lądowanie na Księżycu. 21 lipca 1969 r. dowódca Apollo Neil Armstrong jako pierwszy człowiek stanął na Księżycu i wypowiedział słynne zdanie: „To jest mały krok dla człowieka, ale wielki skok dla ludzkości”. Jednak chcę przypomnieć innego astronautę, mianowicie Alana Sheparda, który na Księżycu... zagrał w golfa. Zrobił to w lutym 1971 r. Zamontował główkę swojego kija golfowego do instrumentu służącego do nabierania księżycowego gruntu. Gra w golfa miała na celu zbadanie odległości, na jaką powędruje piłeczka w sześciokrotnie słabszym polu grawitacyjnym. Pierwsze uderzenie było nieudane. Po drugim strzale piłeczka, według Sheparda, szła kilometrami. W rzeczywistości długość lotu wyniosła około 15 m. Co ciekawe, po wylądowaniu na Ziemi Shepard otrzymał pismo od Royal and Ancient Golf Club of St Andrews z uwagą, że ponieważ nie zagrał po swoim uderzeniu powierzchnią Księżyca, powinien dopisać sobie dwa punkty karne.

Drugim najważniejszym wydarzeniem ubiegłego wieku według Brytyjczyków był przeszczep serca, którego dokonał Christiaan Barnard 3 grudnia 1967 r. w klinice w Kapsztadzie. Zabieg się udał. Niestety, po 18 dniach pacjent zmarł na zapalenie płuc.

I proszę sobie wyobrazić, że na trzecim miejscu w tym rankingu – najważniejszych wydarzeń dla ludzkości w XX w. – znalazł się wyczyn brytyjskiego biegacza Rogera Bannistera, który w 1958 r. przebiegł milę w czasie poniżej 4 minut.

Andrzej Person: Zbigniew Boniek, niegdyś świetny piłkarz, a dziś prezes Polskiego Związku Piłki Nożnej, zasłynął ostatnio niefortunnym stwierdzeniem na Twitterze: „ja gdy z @Piechocinski rozmawiamy o piłce, to nam baba niepotrzebna”. Ową „babą” była Karolina Hytrek-Prosiecka, ówczesnie jedna z ważniejszych menedżerek polskiej Ekstraklasy. Obraził nie tylko panią Karolinę, ale także kilkaset tysięcy kibicek, zawodniczek, działaczek, komentatorek, sędzi, prezesek klubów oraz żon, partnerek, matek i córek piłkarzy, które właśnie futbolowi chciały lub musiały porządkować swoje życie.

Stefan Szczepłęk: W latach 70. mówiło się, że dziewczyny idą do piłki nożnej kobiet, aby pozbyć się kompleksów. Dzisiaj idą, bo są ambitne i chcą osiągnąć sukces na miarę Lewandowskiego. Albo zostać drugą Agnieszką Winczo. To polska piłkarka grająca na pozycji napastnika. Swoją profesjonalną karierę zaczynała w Golu Częstochowa, a pierwszy Puchar Polski zdobyła w 2002 r. z Czarnymi Sosnowiec. W latach 2008–2011 grała w Unii Racibórz, z którą trzykrotnie zdobyła mistrzostwo Polski i dwukrotnie sięgnęła po puchar kraju. W reprezentacji rozegrała 21 spotkań, w których trzykrotnie zapisała się na liście strzelców. W 2011 r. postanowiła sprawdzić się w niemieckim klubie BV Cloppenburg. Już siódmy rok Agnieszka gra u naszych zachodnich sąsiadów, osiągnęła status gwiazdy kobiecego futbolu i zdobyła dwukrotnie tytuł królowej strzelczyń 2. Bundesligi.

Krzysztof Przybył: Nie ma jednak żadnej Polki, która osiągnęłaby taką pozycję w sporcie światowym, jak Robert Lewandowski. Nawet Agnieszce Radwańskiej się to nie udało. Chociaż kiedy szła jako chorąży polskiej reprezentacji olimpijskiej w 2012 r. na stadionie w Londynie – a było to dwa tygodnie po meczu z Williams o finał Wimbledonu – rozpoznawalność miała stuprocentową. Trzeba też docenić jej niepowtarzalny styl gry, pełen finexji i inteligencji. Warto również przyznać, że jest o wiele bardziej znana na świecie niż Irena Szewińska, Justyna Kowalczyk czy Otylia Jędrzejczak, które mogą pochwalić się zdobyciem trzech medali podczas jednych igrzysk olimpijskich. Justyna Kowalczyk jest także pierwszą i, jak do tej pory, jedyną Polką, która zdobyła złoto na zimowych igrzyskach.

Andrzej Person: To wszystko prawda, ale jestem przekonany, że gdyby nie tragiczny w skutkach wypadek Roberta Kubicy, który na pewien czas przekreślił jego karierę w Formule 1, to właśnie on biłby teraz wszelkie rekordy popularności i rozpoznawalności, choć w naszym kraju nikt poza nim tego sportu nie uprawia.

Krzysztof Przybył: Wracając do kobiet, należy uznać, że najbardziej znaną i najwybitniejszą Polką – choć nie sportsmenką – jest Maria Skłodowska-Curie. Dwa Noble tylko to potwierdzają. Czy możemy na koniec odejść od sportu i podać inne nieoczywiste przykłady kobiet, które były pionierkami w swoich dziedzinach?

Jerzy Bralczyk: Pierwszą na świecie kobietą pełniącą funkcję ministra i ambasadora była Aleksandra Kołłontaj, rosyjska polityczka socjaldemokratyczna i komunistyczna.

Stefan Szczepłęk: A ja chciałbym przywołać postać dr Eugenii Lewickiej, która propagowała stosowane w Skandynawii metody leczenia słońcem, powietrzem i ruchem. Prowadziła w Druskenikach park klimatyczny i tam właśnie wiosną 1924 r. poznała marszałka Piłsudskiego, który będąc na wypoczynku, nagle w nocy zaniemógł. Sprowadzono do niego mieszkającą w pobliżu lekarkę, właśnie Eugenię Lewicką. Po pewnym czasie ich znajomość stała się bardzo zażyłą, w grudniu 1930 r. wyjechali razem na Madagaskar. Wraz z nimi przebywali tam jeszcze płk lek. Marcin Woyczyński i Mieczysław Lepecki. Z nieznanых powodów Eugenia opuściła wcześniej wyspę. Po przyjeździe do Warszawy odwiedziła ją żona Piłsudskiego, Aleksandra, a spotkanie zakończyło się sprzeczką. Kilka dni później znaleziono Lewicką nieprzytomną w Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego na warszawskich Bielanach, gdzie pracowała. Po dwóch dniach Lewicka zmarła, nie odzyskawszy przytomności. Nie wiadomo, czy było to samobójstwo, nieszczęśliwy wypadek, czy umyślne otrucie.

Przyjaciółką dr Lewickiej była Kazimiera Muszałówna, jedna z pierwszych polskich dziennikarek zajmujących się sportem. Uczestniczyła we wszystkich ważniejszych wydarzeniach sportowych. Do historii przeszły jej bezpośrednie komentarze z olimpiady w Berlinie.

Krzysztof Przybył: Tak oto możemy spiąć klamrą naszą pogawędkę, którą zaczęliśmy od historii „małej Polki” w Berlinie.

Olimpijski Konkurs Sztuki i Literatury

Głównym założeniem igrzysk olimpijskich było propagowanie idei „w zdrowym ciele zdrowy duch”. Stawiając na rozwój ciała i rywalizację między narodami, założono, że sport jest równie ważną płaszczyzną rozwoju człowieka, jak jego edukacja. Postulat artystycznego podejścia do ludzkiego ciała i aktywności fizycznej podjęto dopiero w czasie igrzysk w Sztokholmie w 1908 r. Wtedy po raz pierwszy w historii odbył się Olimpijski Konkurs Sztuki i Literatury, a rywalizację stoczono w pięciu dyscyplinach: architekturze, malarstwie, muzyce, rzeźbiarstwie i literaturze. W 1928 r. w Amsterdamie dokonano dalszego podziału i w kategorii literatury rozróżniano epikę, lirykę i dramat, zaś w dziedzinie muzyki można było zdobyć nagrodę za piosenkę, utwór instrumentalny bądź orkiestrowy. W Olimpijskich Konkursach Sztuki i Literatury Polacy zdobyli łącznie osiem medali. Jedyną polską medalistką była Janina Konarska-Słonimska, która w Los Angeles w 1932 r. zdobyła srebro za drzeworyt „Narciarze”.



Nagrania gigantów

Polskie Radio jest jednym z największych na rynku wydawców płyt. Muzyka poważna, pop, rock czy jazz to tylko niektóre kategorie z przepastnego katalogu wytwórni.



© POLSKIE RADIO (2)

Polskie Radio jest instytucją istniejącą tak długo, że wydaje się, iż wszystko o niej wiadomo. Powstało w 1925 r., więc liczy niemal tyle lat, co niepodległa Polska. Większość osób kojarzy je z audycjami nadawanymi przez cztery główne programy: Jedynekę, Dwójkę, Trójkę i Czwórkę. Jednak ta ogromna instytucja oferuje dużo więcej. Polskie Radio jest także jednym z największych na rynku wydawców płyt. Wytwórnia, z którą współpracują wielkie nazwiska, a o której mało kto wie, kryje się pod nazwą Agencji Muzycznej Polskiego Radia (AMPR). Jej katalog zawiera zarówno pozycje komercyjne, jak też ambit-

ne czy wręcz niszowe – jest tak różnorodny, że nie ma właściwie odpowiednika na krajowym rynku. Odzwierciedla zróżnicowane propozycje muzyczne wszystkich anten Polskiego Radia.

Jednym z najnowszych wydawnictw jest płyta „Sonoristic Penderecki by Penderecki”, która ukazała się pod koniec stycznia bieżącego roku. Ta długo oczekiwana pozycja zawiera dzieła z awangardowego okresu twórczości Krzysztofa Pendereckiego. Album przybliży jego kompozycje z lat 60. i 70., nowatorskie dokonania w stylu znanym dziś jako sonoryzm. W tamtym czasie były one powiewem świeżości i miały wielki wpływ na wielu



innych kompozytorów, a samemu twórcy przyniosły międzynarodowy rozgłos. Wyjątkowy album został nagrany w 2017 r. przez Narodową Orkiestrę Symfoniczną Polskiego Radia (NOSPR) w Katowicach pod dyktando maestra Pendereckiego (są to jego najnowsze nagrania). Na płycie znajdziemy utwory: „Emanacje” na dwie orkiestry smyczkowe, „De natura sonoris I” na wielką orkiestrę symfoniczną, „De natura sonoris II” na orkiestrę symfoniczną, „Polimorfia” na 48 instrumentów smyczkowych, „Fluorescencje” na wielką orkiestrę symfoniczną. Pierwszy egzemplarz płyty trafił do rąk samego kompozytora – Krzysztof Penderecki odebrał ją przy okazji obchodów swoich 85. urodzin.

Innym przykładem z dziedziny muzyki poważnej jest niedawno wydana płyta „Melodie na psalterz polski” Mikołaja Gomółki. Nagranie dokonane przez Chór Polskiego Radia pod kierownictwem artystycznym Agnieszki Budzińskiej-Bennett to ogromne przedsięwzięcie wydawnicze promujące najznakomitszą polską muzykę dawną. Do projektu zaproszeni zostali wybitni instrumentalści z kraju i zagranicy, jak na przykład Marc Lewon, profesor lutni w Schola Cantorum Basiliensis, czy zespół Compass Viol Consort, grający muzykę renesansową. „Melodie na psalterz polski” zawiera ponad 150 krótkich utworów utrzymanych w układzie czterogłosowym. Psalmi – przełożone na język polski przez Kochanowskiego i umuzyycznione przez Mikołaja Gomółkę – stanowią najbardziej znane i jedyne zachowane do dziś dzieło kompozytora, ogromnie istotne dla kultury polskiej. Wydawnictwo to – poza ogromną wartością muzyczną – ma także na celu przybliżenie publiczności utrwalonego w parafrazach Kochanowskiego piękna i bogactwa dawnego języka polskiego. W tym roku zostało nominowane do Fryderyków i odbiło się szerokim echem w świecie kultury.

Trzy miesiące wcześniej ukazała się płyta skierowana do zupełnie innych odbiorców. Album „Męskie Granie 2018” jest bestsellerem i cieszy się zainteresowaniem szerokiej publiczności. Seria sygnowana jako „Męskie Granie” jest poświęcona kultowej trasie koncertowej, organizowanej od 2010 r. w największych polskich miastach. Jest swoistym przeglądem tego, co najlepsze w ambitnej odsłonie muzyki rockowej czy popowej. Pierwsza część albumu „Męskie Granie 2018” zawiera między innymi niepowtarzalne „zderzenia” muzyczne – zespołu Organek i Kazika, Natalii

Przybysz i jej rodziców, Darii Zawiałow i Małgorzaty Ostrowskiej, grupy Lao Che i Dawida Podsiadły – oraz utwory „ØNA” (stworzony przez zespół Organek i zaproszone artystki) i „Czemu nas tam nie ma?” (w wykonaniu grupy Coma i jej gości). Druga płyta to zapis koncertu Męskie Granie Orkiestra 2018 – projektu stworzonego specjalnie na potrzeby tegorocznej trasy. Jego

filarem byli Krzysztof Zalewski, Dawid Podsiadły i Kortez.

Pod szyldem Agencji Muzycznej Polskiego Radia ukazuje się również wiele istotnych pozycji jazzowych. Polskie Radio, wykorzystując ogromny potencjał leżący w przepastnych archiwach, postanowiło wydać serię „Komeda w Polskim Radiu”. Każda z płyt to unikatowe zapisy wczesnych występów Krzysztofa Komedy. Na pierwszym krążku znajdziemy takie perełki, jak na przykład nagrania z II Festiwalu Muzyki Jazzowej w Sopocie z 1957 r. czy III Festiwalu Jazz Jamboree z 1960 r. Innym gigantem jazzu wydawanym przez AMPR jest Adam Makowicz, wybitny pianista, który jako jeden z niewielu Polaków ma na koncie występy w Carnegie Hall w Nowym Jorku czy na Newport Jazz Festival. Już 16 marca ukaże się na winylu „Swinging Ivories” – zapis recitalu Adama Makowicza w Studiu Koncertowym im. Witolda Lutosławskiego.

Warto jednak zwrócić uwagę także na twórców młodego pokolenia, których płyty wydaje Agencja Muzyczna Polskiego Radia. Dobrym przykładem jest Tomasz Chyła Quintet, którego „Circle-songs” jest bez wątpienia jedną najważniejszych płyt jazzowych w ostatnim czasie. Młodzi muzycy z Tomasz Chyła Quintet odwołują się do mainstreamowego jazzu, ale jest to muzyka podszyta młodzieńczą energią. Tytuł albumu (z ang. pieśniokrąg) to termin wywodzący się z chóralistyki, z którą silnie związany jest lider formacji. Oznacza improwizowany, wielogłosowy utwór muzyczny oparty na powtarzalnych motywach dźwiękowych. Muzycy z Tomasz Chyła Quintet po mistrzowsku zmieniają atmosferę. „Circle-songs” zostało docenione w plebiscycie „Jazz Forum” drugim miejscem w kategorii płyta roku, a samą grupę okrzyknięto „nową nadzieją”.

Muzyka poważna, pop, rock czy jazz to tylko niektóre kategorie z różnorodnego katalogu Polskiego Radia. Gdyby zajrzeć weń głębiej, znajdziemy także liczne albumy prezentujące muzykę ze wszystkich regionów Polski, w tym wielopłytkową serię „Muzyka Źródeł”. Są także nagrania nawiązujące do historii, jak choćby „Pieśni Polskich Powstań Narodowych”. Agencja Muzyczna Polskiego Radia pracuje również przy prestiżowych wydawnictwach okolicznościowych dla takich instytucji, jak Senat czy Komenda Główna Policji. Trudno zamknąć różnorodność katalogu AMPR w prostych ramach. Aby samemu się o tym przekonać, najlepiej posłuchać Polskiego Radia lub wejść na stronę Sklep.polskieradio.pl.

Karol Skarzewski

Agencja Muzyczna Polskiego Radia



**POLSKIE
RADIO**

Agencja Muzyczna Polskiego Radia poleca album:



Wiecznie młoda awangarda !

Do kupienia w sklepach muzycznych i na:



sklep.polskieradio.pl

partner:



TERAZ POLSKA



Adam
Szejnfeld

*Posel do Parlamentu
Europejskiego
www.szejnfeld.pl*

Czas decyzji

Amsterdam, Haga czy też Rotterdam to powszechnie znane holenderskie miasta, które bez problemu niemal każdy wskaże na mapie. Zupełnie inaczej jest w przypadku Maastricht. To stosunkowo niewielkie miasto na południu Holandii, wciśnięte między Belgię i Niemcy. Aż dziw bierze, że właśnie Maastricht wybrano na miejsce uroczystości podpisania (7 lutego 1992 r.) traktatu słusznie uznawanego za jeden z najważniejszych dla procesu integracji Starego Kontynentu. Niestety w Polsce rocznica tego wydarzenia minęła niemalże bez echa.

Bez wątpienia przełom lat 80. i 90. ubiegłego wieku był okresem niezwykle dynamicznym. Opadła żelazna kurtyna, Okrągły Stół doprowadził do bezkrwawego obalenia komunizmu w Polsce i zmiany ustroju na demokratyczny, a jednocześnie wywołał Jesień Narodów, która uwolniła państwa Europy Środkowo-Wschodniej spod wpływów ZSRR. Podjęta została wtedy także historyczna decyzja o zjednoczeniu Niemiec. Te wszystkie wydarzenia skłoniły europejskie elity do refleksji nad tym, co dalej powinno się dziać w Europie, abyśmy już nigdy nie wrócili do waśni, kłótni i wojen, ale rozpoczęli współpracę i współdziałanie. W końcu wyciągnięto wnioski, zaś traktat z Maastricht zawierał odpowiedzi na powyższe pytania.

Jeśli my w Polsce chcemy obecnie pamiętać o dniu 1 maja jako rocznicy wejścia naszego kraju do Unii Europejskiej, to powinniśmy pamiętać również i o rocznicy podpisania tego niezwykle ważnego traktatu. Wtedy bowiem przedstawiciele ówczesnych 12 państw członkowskich Wspólnot Europejskich uznali, że współpraca gospodarcza to już zdecydowanie za mało i czas na zupełnie nowy etap europejskiej integracji, czyli powołanie Unii Europejskiej. Potem wprowadzono wspólną walutę (od 1 stycznia 1999 r.), stworzono wspólną politykę zagraniczną i politykę bezpieczeństwa, pogłębiono współpracę w obszarze spraw wewnętrznych i wymiaru sprawiedliwości, aż w końcu ustanowiono obywatel-

stwo UE. To są koronne dowody na to, że traktat z Maastricht posiada niebagatelne znaczenie – nie tylko prawne, ale i historyczne – dla procesu tworzenia nowej, europejskiej wspólnoty.

Od przyjęcia traktatu minęły niemal trzy dekady. Dzisiaj obserwujemy inne niż wtedy emocje. Rosną bowiem odśrodkowe siły antyunijne. Rozwijają się partykularyzmy krajowe i nacjonalizmy narodowe. Podsycaje to populizm niektórych środowisk narodowych oraz poszczególnych partii politycznych. Wszystko to zagraża bytowi i przyszłości Unii. Przełomowym symbolem czasu, w którym żyjemy, może być Brexit, który ma się dokonać 29 marca br. Bezprecedensowe wystąpienie państwa członkowskiego ze Wspólnoty może być, jeśli się ziszczy, poważnym ciosem nie tylko dla samego Zjednoczonego Królestwa, ale i dla całej Unii. To, co się stało w Londynie, powinno być więc przestrogą dla pozostałych krajów UE, by skutecznie walczyły z populistami, propagandystami i manipulatorami, którzy wbrew oczywistym faktom próbują zniechęcić Europejczyków do współpracy na Starym Kontynencie. Jest to szczególnie ważne dla nas, bo nikt lepiej niż my w Polsce nie wie, jakie są skutki walki wpływów i interesów niewspółpracujących ze sobą, lecz toczących spory i wojny europejskich państw. Zawsze na tym traciliśmy!

Przypadająca więc 1 maja br. 15. rocznica akcesji Polski do Unii Europejskiej powinna być nie tylko doskonałym momentem na podsumowanie naszego członkostwa, lecz również na snucie planów na przyszłość. Bowiem już kilka tygodni później, 26 maja, w niedzielę, oddając głos w wyborach do Parlamentu Europejskiego, sami będziemy współdecydować, czy chcemy wesprzeć te siły, które sprzyjają europejskiej jedności oraz silnej Polsce w zjednoczonej Europie, czy też postawimy na tych, którzy opowiadają się za rozpadem, rozkładem i powrotem sytuacji sprzed 60 lat... Niedziela 26 maja będzie czasem decyzji, których skutki odczuje już nie tylko nasze pokolenie i nasz kraj, ale i cała Europa. Musimy więc zdecydować mądrze i rozważnie.



Anna Stasiak-
-Apelska

Prezes Zarządu
Krakowskiego Teatru
Komedia sp. z o.o.

Polska kultura i Polonia w USA

W lutym 2019 r. w Miami po raz czwarty odbył się Kongres 60 Milionów – Globalny Zjazd Polonii. Skąd ta liczba? Ponieważ przyjmuje się, że na świecie żyje 60 mln Polaków. Kongres organizowany jest w różnych miejscach globu. W tym roku odbędzie się jeszcze pięć spotkań – w Londynie, Berlinie, Buffalo, Rzeszowie i Nowym Jorku – których celem jest poszerzanie relacji międzynarodowych opierających się na polskich wartościach, ze szczególnym uwzględnieniem ich gospodarczego wymiaru.

W tym roku zostałam zaproszona – jako prezes Krakowskiego Teatru Komedia, który jest laureatem XXVII edycji Konkursu „Teraz Polska” – na Kongres do Miami, by wziąć udział w panelu dotyczącym współpracy polonijnej i promocji kultury polskiej w USA. To bardzo przyjemne uczucie móc uczestniczyć w tak ważnej dla Polski dyskusji, szczególnie że Polonia w Stanach Zjednoczonych jest tą najliczniejszą. W czasie debaty poruszano różne aspekty kulturowe, m.in. odniesiono się do osiągnięć naszych inżynierów, artystów, sportowców oraz do fak-

nie zawsze jest doceniany. Spektakl Krakowskiego Teatru Komedia pt. „Pan Tadeusz z M3”, autorstwa Jana Jakuba Należytego, mówi o tym, jak ważne jest, że możemy swobodnie używać języka ojczystego. Sztuka przywołuje także okoliczności powstania naszego hymnu narodowego – „Mazurka Dąbrowskiego”. Pan Tadeusz, XIX-wieczny bohater z eposu narodowej Adama Mickiewicza, uczy współczesną rodzinę Sopliców szacunku i miłości do siebie jako Polaków, opowiada o Józefie Wybickim, o trudach, jakie podejmowali Polacy, dążąc do niepodległości, podkreśla znaczenie możliwości porozumiewania się w języku polskim. Spektakl jest o tyle wyjątkowy, że Tadeusz oraz Zosia i Telimena, które zjawiają się za tytułowym bohaterem, mówią trzynastozgłoskowcem. „Pan Tadeusz z M3” jest jednym z trzech spektakli, które składają się na cykl „100 lat radości z niepodległości”, zapoczątkowany w 2018 r., w 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości. Teatr przygotowuje kolejne spektakle ku czci bohaterów narodowych i ich czynów, które przybliżyły nas do odzyskania niepodległości. Sztuki będą wystawiane w różnych miejscach Polski i na świecie, np. na plaży, statku,

Mikołaj Rej pisał: „A niechaj narodowie wždy postronni znają, iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają”. Fakt, że na co dzień możemy posługiwać się własnym językiem, nie zawsze jest doceniany.

tu, że każdy z nas, Polaków, jest ambasadorem swojego kraju na świecie. To właśnie Polacy podróżujący i opowiadający o Polsce, jej historii, zwyczajach, artystach, jedzeniu itd., dają innym narodom możliwość zapoznania się z jakże bogatą polską kulturą.

Niezwykle istotnym elementem kultury jest także język każdego narodu. Już Mikołaj Rej pisał: „A niechaj narodowie wždy postronni znają, iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają”¹. Fakt, że na co dzień możemy posługiwać się własnym językiem,

zamku czy w kopalni, by w sposób ciekawy promować kulturę polską zarówno wśród Polonii, jak i ludzi innych narodowości.

Wartości szczególne, takie jak np. wolność, poszanowanie godności i praw człowieka, są ogromnie ważne dla wszystkich Polaków. Zarówno w kraju, jak i za granicą. Dlatego ukazywanie przez Krakowski Teatr Komedia wydarzeń historycznych, które wpłynęły na odzyskanie przez nasz kraj niepodległości, jest swoistym spoiwem łączącym widzów.

¹ Mikołaj Rej (1505–1569), polski poeta i prozaik, jako pierwszy pisał wyłącznie w języku ojczystym.

Dlaczego dzisiaj zmiany w biznesie są trudniejsze?



© ARCHIWUM GRAŻYNY PIOTROWSKIEJ-OLIWA

Grażyna
Piotrowska-
-Oliwa

*Prezes Virgin Mobile
Polska*

Zapewne wszyscy zgodzimy się ze stwierdzeniem, że obecne tempo zmian jest tak szybkie, że niekiedy nie jesteśmy w stanie za nimi nadążyć.

Aby zrozumieć, z czym musimy się zmierzyć, trzeba spojrzeć na historyczny kontekst. Pierwsza fala transformacji biznesowej wprowadziła standaryzację procesów. Zapoczątkował ją Henry Ford, który zorganizował produkcję samochodów w taki sposób, aby mogły być tworzone na linii produkcyjnej. Jednym słowem, stworzył odpowiednie standardy. Dodatkowo każdy z kroków w tym procesie można było zmierzyć, zoptymalizować, a następnie ponownie wystandaryzować, aby uzyskać lepszą wydajność.

Druga fala transformacji, która rozpoczęła się w latach 70. XX w. i osiągnęła swój szczyt w latach 90., przyniosła automatyzację procesów. Dzięki postępowi w dziedzinie IT (komputerom stacjonarnym, dużym bazom danych i oprogramowaniu) wiele firm, takich jak np. Walmart, zautomatyzowało swoje procesy, dzięki czemu stały się światowymi liderami. Z kolei inne były w stanie zmienić się całkowicie. Dla przykładu: UPS przekształciła się z firmy świadczącej usługi dostarczania paczek w globalną firmę logistyczną.

Poprzednie dwie fale transformacji charakteryzował proces, w którym innowatorzy mieli więcej czasu na testowanie technologii oraz zbadanie jej wpływu na nasze środowisko biznesowe, a w konsekwencji wystandaryzowanie procesu. Jednak rozwój technologii (Big Data, IoT) sprawił, że wszystko przyspieszyło. Zarówno rynek, jak i klienci mają dziś większe potrzeby, które chcą zaspokajać jeszcze szybciej. Wiodące firmy w wielu branżach, widząc te potrzeby, ponownie zaczęły usprawniać procesy tak, aby były one szybsze, bardziej elastyczne i dostosowane do preferencji i zachowań w danym momencie. Ta zdolność adaptacyjna napędzana jest przez dane zbierane w czasie rzeczywistym, na podstawie których od razu podejmowane są strategiczne decyzje biznesowe. Jest to novum, bowiem wcześniej zbieranie i analizowanie danych zajmowało wiele czasu. Trudność polega więc na tym, że musimy zbierać dane, adaptować i dostosowywać je w zasadzie w tym samym czasie. I co najważniejsze, nie ma tu mowy o standa-

ryzacji, bo kiedy ją wprowadzać, skoro co chwilę mamy nowe dane oraz nowe potrzeby klienta? Badania IDC wskazują, że do 2025 r. będziemy wytwarzać 160 zetabajtów danych rocznie. To w przybliżeniu 152 biliony sezonów seriali w jakości HD. Taka ich ilość sprawia, że nie widać miejsca na wspomnianą wcześniej standaryzację.

Z drugiej strony pojawia się paradoks polegający na tym, że chociaż wspomniane procesy nie są standaryzowane lub rutynowe, to mogą zapewnić firmom wielokrotnie lepsze wyniki. Potrzebujemy również zmniejszyć koszty inwestycji w nowe rozwiązania, dlatego podejście, w którym działamy i uczymy się szybciej, jest niezbędne. To z kolei wymaga od nas równie dużego wysiłku, co kiedyś, pomimo dostępu do nowoczesnych technologii.

Bez wątpienia weszliśmy już w czwartą falę transformacji, w której prym wiodą Big Data i AI. Tu właśnie pojawia się kluczowe pytanie, na ile nowoczesne, bardzo dynamiczne i często bardzo samodzielne technologie da się wystandaryzować, aby nie doprowadzić do chaosu. Takie pytanie powinni postawić sobie zajmujący się sztuczną inteligencją. Już na samym początku musimy określić, czy będzie ona w stanie wytworzyć samodzielne standardy. Uważam, że powinniśmy dać jej pewien zakres samodzielności. Jeśli na to nie pozwolimy, nie dowiemy się, jakie nowe możliwości może nam ona pokazać. Z drugiej strony musimy mieć mechanizm kontrolny, który w razie problemów pozwoli nam szybko zareagować na niepożądane zachowania. Bo co mogłoby się wydarzyć, gdyby wytworzyła standardy przeciwne całej naszej cywilizacji?

Patrząc na historię, wnioski nasuwają się praktycznie same: mimo że korzystamy z lepszych technologii i danych niż w poprzednich dekadach, to rozwijanie biznesu nie jest prostsze niż kiedyś. Musimy ufać danym i maszynom, które te dane analizują, a następnie na ich podstawie podejmować decyzje biznesowe. Oczywiście na samym końcu pozostaje intuicja biznesowa, która na przestrzeni lat nie zawiodła wielu przedsiębiorców, mimo posiadania przez nich odpowiednich danych i ustandaryzowanych procesów. Maszyna maszyną, ale bez człowieka – jak dotąd – ani rusz.

© KAMIL BROSKO/BROSKO.COM



3 grudnia

W Warszawskim Domu Technika NOT odbyło się spotkanie wigilijne Klubu „Teraz Polska” z udziałem laureatów Konkursu „Teraz Polska”, współpracowników i przyjaciół Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego.

© PZPS



12 stycznia

W studiu telewizyjnym Polsatu w Warszawie odbyła się Gala 90-lecia Polskiej Siatkówki, podczas której uhonorowano gwiazdy i zasłużone postacie kilku siatkarskich pokoleń. Jedną z niespodzianek było oficjalne ogłoszenie przez przedstawiciela Międzynarodowej Federacji Siatkarskiej gospodarzy mistrzostw świata w piłce siatkowej kobiet w 2022 r. Imprezę zorganizują wspólnie Polska i Holandia. Gala była jednocześnie okazją do świętowania 20 lat wspierania polskiej siatkówki przez markę Plus.

© OLGA RAINKA



12 stycznia

Podczas uroczystej gali Pracodawcy RP przyznali Wektory 2018 tym Polakom i instytucjom, którzy w ubiegłym roku osiągnęli szczególnie znaczące sukcesy lub zaważyli na rozwoju polskiej gospodarki. Laureatem Super Wektora 2018 został Zbigniew Jagiełło, prezes PKO Banku Polskiego, za zmianę największego polskiego banku w sprawną i elastyczną firmę mogącą konkurować z największymi międzynarodowymi rywalami.

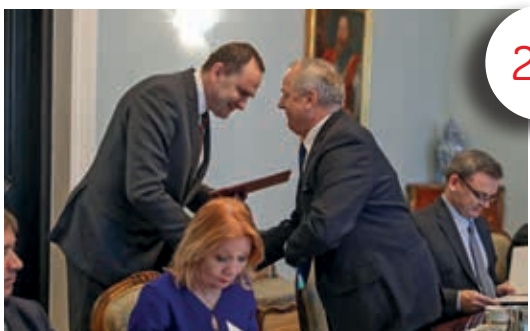
© FAKRO



19 stycznia

W Zabrzu Ryszard Florek został wyróżniony Kryształowym Laurem Umiejętności i Kompetencji za stworzenie jednej z największych na świecie firm produkujących okna dachowe, która z powodzeniem konkuruje na rynkach międzynarodowych. Ryszard Florek jest współzałożycielem i prezesem firmy Fakro, wicelidera na światowym rynku okien dachowych i schodów strychowych, laureata Konkursu „Teraz Polska”. Równie ważna jest jego działalność na rzecz rozwoju gospodarczego kraju, którą realizuje poprzez Fundację Pomyśl o Przyszłości.

© PREZYDENT.PL



22 stycznia

Krzysztof Przybył, prezes Fundacji „Teraz Polska”, został powołany do Kapituły Polskiej Wystawy Gospodarczej – projektu wystawienniczego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Celem Kapituły jest wybór polskich firm, które ze względu na osiągnięcia i produkty stanowiące dorobek polskiej gospodarki zostaną zaprezentowane w pawilonach PWG.



© BUSINESS CENTRE CLUB

26 stycznia

W Teatrze Wielkim w Warszawie Business Centre Club wyróżniło 10 firm statuetkami Lidera Polskiego Biznesu. Złotą Statuetką BCC uhonorowano gen. Fredericka B. Hodgesa, byłego dowódcę United States Army Europe, za wkład w spójność Sojuszu Północnoatlantyckiego, wzmacnianie jego wschodniej flanki, a także za przyjaźń wobec Polski.



© PIOTR SUMARA/PLS

27 stycznia

We Wrocławiu już po raz czwarty rozegrano finał Pucharu Polski w siatkówce mężczyzn. W tym roku puchar zdobyła ZAKSA Kędzierzyn Koźle, wygrywając 3:1 z Jastrzębskim Węglem.



© MARCIN ŻURAWICZ

7 lutego

W Miami na Florydzie rozpoczęła się kolejna edycja Kongresu 60 Milionów – Globalnego Zjazdu Polonii. Ideą wydarzenia jest integracja polskich środowisk biznesowych działających w kraju i poza jego granicami, a nazwa odwołuje się do liczby Polaków żyjących na całym świecie. W Miami debatowano o setnej rocznicy ustanowienia stosunków dyplomatycznych między Polską a USA. Analizowano relacje, które mogą się przyczynić do polepszenia współpracy polskich środowisk w USA z ojczyzną.



© FAKRO

12 lutego

W Poznaniu rozpoczęły się targi budowlane Budma 2019, organizowane przez Międzynarodowe Targi Poznańskie, partnera Konkursu „Teraz Polska”. Udział w nich wzięło wielu laureatów Konkursu, m.in. firmy Blachy Pruszyński oraz Fakro.



© FORUM GOSPODARSTWA

4 marca

W Warszawie rozpoczęło się XI Forum Gospodarcze Time: Sieci 5G dla Przemysłu 4.0. To spotkanie przedstawicieli, członków krajowych i zagranicznych organizacji oraz przedsiębiorstw europejskiego przemysłu cyfrowego. Dzięki wymianie myśli ekspertów z całej Europy z przedstawicielami administracji rządowej, nauki oraz biznesu zostaną określone potrzeby przedsiębiorców, a także warunki i zmiany konieczne dla rozwoju sieci 5G i przemysłu 4.0. Fundacja „Teraz Polska” jest partnerem tego wydarzenia.



© WORLD FOOD POLAND

7 marca

W Warszawie rozpoczęły się WorldFood Poland – VI Międzynarodowe Targi Żywności i Napojów. To wydarzenie oferuje możliwość spotkania przedstawicieli polskiego sektora rolno-spożywczego z międzynarodowymi partnerami oraz nawiązania nowych relacji biznesowych na świecie. Fundacja „Teraz Polska” jest partnerem tego wydarzenia.

THINKTANK



ZAPRASZAMY DO SPOŁECZNOŚCI
LUDZI AKTYWNYCH I PRZEDSIĘBIORCZYCH!

dołącz do nas!

www.think-tank.pl

www.facebook.com/osrodekTHINKTANK

www.twitter.com/THINKTANK.PL



Poczta Polska

150. ROCZNICA URODZIN STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO



Kolekcjonuj znaczki i kartki pocztowe w prosty i wygodny sposób!
Zamów abonament filatelistyczny w najbliższej placówce
pocztowej bądź za pośrednictwem strony internetowej:
www.filatelistyka.poczta-polska.pl